

Pieczeń sarnia

1971

Rozdział I

Noc cofa się w głąb lasu. Srebrzysta szarość osiada na pniach drzew i stłoczonych wokół polany krzakach. Zapach ziół staje się jeszcze bardziej intensywny. Cisza przed świtem jest pełna oczekiwania, oczekiwania na nowy dzień.

Lechocki przeciągnął dłonią po lufie sztucera. — Chyba nic z tego nie będzie — szepnął.

— Tak czasem bywa — odparł równie cicho Stefaniak. Był zmęczony. Od wieczora siedzieli na ambonie, wbijając wzrok w szeroką polanę, porośniętą młodziutkimi sosenkami.

— Wracamy? — spytał Lechocki.

Nagle Kazimierski dotknął jego ramienia. — Jest, panie inżynierze. Tam, na prawo, koło jałowców.

Huknął strzał. Kozioł dał potężnego susa i padł nieruchomy.

Zeszli z ambony i zbliżyli się do leżącego w wilgotnej trawie zwierzęcia. Płowe ciało było sprężone, jakby przygotowywało się do następnego skoku.

— Strzelony na komorę — powiedział z uznaniem Kazimierski.

— Pogratulować — uśmiechnął się wesoło Stefaniak, zadowolony, że jego gość nie odjedzie rozczarowany. Z różnych względów zależało mu na Lechockim i specjalnie dla niego zorganizował to polowanie.

Lechocki, ogromnie podniecony, oglądał swą zdobycz. — Piękna sztuka. Niech pan spojrzy, panie dyrektorze, jakie rogi.

— Tak. Bardzo ładne — przyznał Stefaniak.

Kazimierski wyjął nóż i z dużą wprawą zabrał się do patroszenia kozła. Lechocki nie mógł się nacieszyć swym sukcesem. — Piękna sztuka, piękna sztuka — powtarzał.

Wrócili do bryczki. Stary Walenty pomógł załadować kozła, mruknął coś pod nosem, co mogło być dowolnie interpretowane, wygramolił się z powrotem na swoje miejsce i cmoknął na konie. Znudzone długim oczekiwaniem siwki ruszyły rażnym kłusem.

Stefaniak był bardzo śpiący. Marzył o szklance gorącej herbaty i o ciepłym łóżku. Byłby się zapewne zdrzemnął w powrotnej drodze, ale Lechocki bez przerwy zabawiał go rozmową. — Jestem panu niesłychanie wdzięczny, panie dyrektorze. Zrobił mi pan naprawdę ogromną przyjemność. Nie wyobraża pan sobie nawet, jaka to dla mnie satysfakcja.

— Cała przyjemność po mojej stronie — powiedział sennie Stefaniak. Lechocki jednak nie przestawał mówić. W dalszym ciągu zachwycał się swoim kozłem, a wyczerpawszy ten temat, począł rozwódzić się nad malowniczością okolicy, nad pięknem lasu i nad urokami letniego poranka. Potem, nie zrażony milczącym, nastrojem swego towarzysza, znowu wrócił do kozła. — Myślałem już, że nic z tego. Słowo honoru. Przykro, jak się tak przesiedzi do świtu i nic.

— A ja byłem pewny, że wyjdzie — wtrącił się do rozmowy Kazimierski. — Przecież go obserwowałeś. Stale wychodził na tę uprawę. Dlaczegoż dzisiaj miałby nie wyjść?

Stefaniak chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Miał nadzieję, że może wreszcie Lechocki zmęczy się tą konwersacją. Gdzież tam. Mówił, jak nakrecony przez całą drogę.

Wjechali wreszcie w bramę. Walenty strzelił z bata, bryczka zatoczyła szeroki łuk wokół ogromnego klombu i zatrzymała się przed pałacem.

Wysiedli. Stefaniak rozprostował zdętwiałe nogi i z dobrze udaną wesołością spojrzął na swego gościa. — No, panie inżynierze, teraz maleńkie śniadanko, a potem do łóżeczka. Kiedy pan chce wracać do domu?

— Jutro muszę być w biurze. Więc wyjadę albo dziś wieczorem, albo jutro z samego rana, jeżeli, oczywiście, nie nadużywam zbyt pańskiej gościnności.

— Ależ, co znowu — zaproponował energicznie Stefaniak. — Wie pan przecież doskonale, że jest pan dla nas jednym z najmiłszych gości. Pojedź pan jutro rano. Jeszcze sobie porozmawiamy.

Do śniadania siedli we dwóch. Lechockiemu apetyt najwyraźniej dopisywał. Zjadł jajecznicę z sześcioro jaj i specjalnie się nie certował, kiedy mu gościnny gospodarz podsunął półmisek z wędliną.

— Czy pan będzie na zebraniu kółka łowieckiego, panie dyrektorze?

— A kiedy ma być to zebranie? — spytał Stefaniak.

— W przyszłym tygodniu, w piątek. Warto, żeby pan był. — Mamy kilka spraw do omówienia. Wołczyński zreferuje sprawę kłusownictwa. Zdaje się, że to pana interesuje.

— To mnie nawet bardzo interesuje. To jest zagadnienie, które powinno być jakoś centralnie rozwiązane. Wszystko, co się dotychczas robi, to są tylko półśrodki,

— Należałoby zaostrzyć sankcje karne — powiedział Lechocki i nalał sobie trzeci kubek kawy.

Po śniadaniu Stefaniak odprowadził gościa do jego pokoju, życzył mu dobrego wypoczynku i poszedł do sypialni.

Pani Maria nie spała. Siedziała w szlafroku przy oknie i była w bardzo złym humorze, co jej się teraz coraz częściej zdarzało.

— Dlaczego nie śpisz? — spytał Stefaniak, czując, że spokojny sen w wygodnym łóżku oddala się od niego w zawrotnym tempie.

— To wszystko nie ma najmniejszego sensu! — wybuchnęła nie odpowiadając na jego pytanie. — Calutką noc w lesie. Czy ty masz dobrze w głowie? Rozumiem, jak przyjeżdżają goście zagraniczni i musisz, ale żeby sprowadzać sobie jakiegoś inżyniera i z nim do białego rana... Przecież mógł pojechać na to polowanie Kazimierski albo Mazurek. Nie musiałeś ty.

— Musiałem. Nie wypadało mi wysłać go z samym Kazimierskim. Zrozum, że ja mam pewne obowiązki towarzyskie. Trzeba mieć wokół siebie ludzi życzliwych. Inaczej daleko się nie zajedzie. Nie można myśleć tylko o własnej wygodzie. Na inżynierze Lechockim zależy mi z różnych względów.

— E... — zachnęła się pani Maria. — Nie przesadzaj z tym Lechockim. Nie taka znowu ważna figura. A poza tym musisz pamiętać o tym, że przede wszystkim jesteś dyrektorem stadniny, a nie jakimś wielkim łowczym.

— Przestań, Maryniu — zdenerwował się wreszcie Stefaniak. — Wiesz doskonale, że ja swoich obowiązków nie zaniedbuję.

— Ciekawe, jak taki niewyspany będziesz urzędował?

— Gdybyś mi nie wierciła dziury w brzuchu, tobym się jeszcze parę godzin przespał. Nie męcz mnie. Błagam cię. Ja naprawdę jestem zmęczony. Chcę się położyć. Porozmawiamy innym razem.

— A że ja jestem niewyspana, to cię wcale nie interesuje.

— Dlaczego więc nie śpisz?

— Jakżeż mogę spokojnie spać, kiedy się denerwuję, że ty nie śpisz, tylko się tam gdzieś objasz po lesie?

— Nigdzie się nie objasz. Siedzieliśmy na ambonie i czekaliśmy, aż kozioł wyjdzie.

— No, naturalnie. Kozioł jest dla ciebie ważniejszy ode mnie.

Stefaniak wzruszył ramionami. — Co się z tobą dzieje? Jesteś potwornie rozdrażniona. Proponuję, żebyśmy napili waleriany i poszli spać.

— Już piłam walerianę.

— To napij się jeszcze. Nie zaszkodzi ci. I błagam cię, męcz mnie rozmowami i wymówkami o takiej nieodpowiedniej porze. Porozmawiamy sobie na te tematy spokojnie wieczorem albo jutro. Bądź taka dobra. Pani Maria westchnęła głęboko i poszła po walerianę. Leżał bez ruchu, wpatrując się w wypłowiałą, brudną tapetę. Nie wiadomo, dlaczego właśnie w tej chwili myślał tym, że trzeba już wreszcie odnowić mieszkanie. Dawno byłby to zrobił, ale nie mógł się zdecydować. Wyobrażał sobie, ile to będzie narzekań i utyskiwań, że to źle, że tamto niedobrze. „Przecież ona nigdy z niczego nie jest zadowolona — myślał nieomal z rozpaczą. — Nieszczęśliwe usposobienie, ale dlaczego właściwie ja mam być do końca życia ofiarą tego jej usposobienia?”

Nie mógł zasnąć. Zdenerwowała go rozmowa z żoną. Miał dosyć tych ciągłych wymówek, tego nieustannego narzekania, labidzenia. Czuł, że dłużej już nie może, że albo zwariuje, albo zrobi coś strasznego. Wzdrygnął się i podciągnął koldrę pod brodę. Od pewnego czasu łąpał się na tym, że myśli o śmierci Maryni i że taka ewentualność nie napawa go smutkiem, a wprost przeciwnie. To go przerażało. W takich momentach starał się ją bronić, usprawiedliwiać. „Ona w gruncie rzeczy jest dobrą, poczciwą kobietą — tłumaczył sam, sobie. — To nie jej wina, że ma takie nieznośne usposobienie. Nie ulega wątpliwości, że dba o niego, troszczy się po swojemu, chce, żeby było wszystko jak najlepiej. Czyż można potępiać człowieka, że urodził się z takim, a nie innym charakterem? Trzeba też wziąć pod uwagę, że nie miała najłatwiejszego życia. Straciła jedynego syna, a i on, jej mąż, nie zawsze był w stosunku do niej w porządku.” Wynajdywał tego rodzaju argumenty, przemawiające na jej korzyść, ale czuł, że to wszystko na nic, że takie przekonywanie samego siebie do niczego nie prowadzi. Był krańcowo wyczerpany i po prostu już nie mógł dłużej. Bez względu na to, czy miał rację, czy nie miał racji, nie mógł i koniec. Więc co? Rozwód? Czy miał prawo zostawić teraz samą tę kobietę, z którą przeżył tyle lat, zniszczoną, niemłodą, schorowaną? Co robić? Był bezsilny, zupełnie bezsilny. Znajdował się w jakimś ciasnym, zamkniętym kręgu, z którego nie widział wyjścia. Gdyby chociaż zgodziła się zamieszkać w, jakimś mieście, w Warszawie, w Krakowie, „w Poznaniu. Parokrotnie już jej to proponował. Nie chciała. „Nie mogę cię przecież zostawić samego” — mówiła. Tłumaczył jej, że doskonale sam da sobie radę, a ona odpocznie trochę od obowiązków gospodarskich, namawiał, mówił, że ją od czasu do czasu odwiedzi, że taka rozłąka dobrze robi każdym małżeństwie. Nic nie pomagało, nie i nie. Nie miał odwagi zażądać rozwodu, Marynia nie chciała wyjechać i zamieszkać osobno. Więc co?

Pani Maria usnęła po podwójnej porcji waleriany i spała spokojnie, oddychając głęboko. Nie przeczuwała, jakie myśli gnębią jej męża.

Magda nie była malkontentką. Wprost przeciwnie, umiała cieszyć się życiem. Wesoła, energiczna, doskonale dawała sobie radę z gospodarstwem, z mężem i z trojgiem dzieci. Przed ich domem było mnóstwo kolorowych kwiatów, do których się uśmiechała.

Roboty dużo, bo to i ugotować, i posprzątać, i ogródek wypielić, i uprać, nie mówiąc już o dzieciach, świniaku, kurach, kaczkach. No i o chłopą także trzeba trochę zadbać. Oj, było tego chodzenia, było. Calutki dzień w ruchu, a wstawało się do dnia. Ale nie narzekała. Młoda była, silna, robota, jak to się mówi, paliła jej się w rękach. Pieniędzmi także umiała zarządzać i przysłowiowy koniec z końcem związać. Swojego Staszka kochała, dzieci chowały się zdrowo. Czegóż więcej chceć od życia?

Mimo iż Magda krańcowo różniła się od pani Marii, Kazimierski przeżył podobną scenę, jak jego zwierzchnik. Widocznie to był taki pechowy dzień.

— Dosyć mam takiego życia. Po całych nocach cię nie ma. Co to, za nocnego stróża wysłałam, czy jak?

— Ależ, Magdziu, co cię ugryzło? Czegóż ty chcesz ode mnie? Przecież ja służbowo...

— Do diabła z taką służbą. Nigdy cię w nocy nie ma. Wiecznie sama w tym łóżku. Co ty sobie wyobrażasz, że ja mam osiemdziesiąt lat?

— Nie krzycz tak. Dzieci pobudzisz.

— No to co, że pobudzę? Niech wstają. Myślałam, że chociaż przed północą wrócisz, ale gdzie tam.

— Mówiłem ci przecież, że na kozła jedziemy. A jak się na kozła jedzie, to nigdy nie wiadomo, kiedy się wróci.

— Dosyć już mam tych wszystkich twoich kozłów, polowań, nocnych objazdów.

Kazimierski wzruszył ramionami. — O co ci chodzi? Mogłabyś mieć pretensję, jakbym do jakiej dziewczuchy po nocy jeździł.

— Jeszcze by tego brakowało! — wybuchnęła, chwytając stojący na stole garnek. — To tak? To już ci dziewczuchy w głowie? Takiś ty?!

— Ale dajże spokój. Nie w głowie mi żadne dziewczyny.

— A cóżeś się ty tak za tą Jadźką wczoraj w oborze oglądał? Co? A w ogóle to po co polazłeś do

obory?

— Miałem interes do Machowiaka.

— Do Machowiaka? Co? A w oborze musisz sobie wszystkie dójki obejrzeć.

Kazimierski stracił cierpliwość. — Przestań, do cholery — wrzasnął, aż Magda przysiadła. — Dawaj śniadanie i nie zwracaj mi głowy oborą. Zmęczony jestem jak pies, a ty tu mi gadasz byle co. Jak wychodziłaś za mnie za męża, to przecież wiedziałaś, że ja jestem strażnikiem łowieckim. A to taka służba, że człowiek musi i w nocy do lasu jechać.

— Miałeś mieć wolny dzień.

— Miałem, ale dyrektor zaprosił tego inżyniera. Trzebyło jechać. Dyrektor też się nie wyspał. Co ty myślisz?

— Jak kto ma taką żonę jak dyrektor, to woli całą noc w lesie przesiedzieć — powiedziała Magda ze złością. — zresztą co mnie dyrektor obchodzi. Ty dla mnie jesteś ważny, a nie dyrektor.

— No, dajesz to śniadanie, czy nie? Bo jak nie, to jadę gospody.

— Daję, — już daję. — Pobiegnij do kuchni.

Poszedł za nią i poklepał ją po plecach. — No, Magda, no. Przestań się awanturować, bo nie ma o co.

Nie umiała długo się złościć. Uśmiechnęła się i zarzuciła mu ręce na szyję. — Tak mi ciebie dzisiaj brakowało, Stachu, tak bardzo brakowało.

Przygarnął ją do siebie. — Przecież wiesz, Magda, że ja tylko ciebie kocham i że na żadne dójki nie patrzę. Po chwili siedzieli przy stole i dmuchali na gorące mleko. Magda już przedtem przygotowała śniadanie, a ta awantura wynikała ot tak sobie, ni z tego, ni z owego.

— Słyszałaś nowinę? — spytała, smarując chleb margaryną.

— Jaką nowinę?

— Podobno Wojtasik wrócił.

— No to co? Odsiedział swoje i wrócił.

— Powiadają, że się odgraża.

— Niech się odgraża. Co mnie to obchodzi?

— Nie boisz się?

Kazimierski wzruszył ramionami. — Bać się? Wojtasika? Cóżeś ty?

— Uważaj, Stachu, żeby on ci jakiej krzywdy nie zrobił.

— Daj spokój. Niech na uważa. Następnym razem takim małym wyrokiem się nie wykręci. Nie bój się. Będzie siedział cicho. A jakbym ja się chciał każdego bać, to co by ze mnie był za strażnik łowiecki?

— Boję się o ciebie. Wojtasik, jak sobie popije...

Kazimierski odsunął od siebie talerz, przeciągnął się i ziewnął. — Daj mi spokój z Wojtasikiem. Spać mi się chce.

— Łóżko masz przygotowane. I jeszcze jedna nowina. Franek przyjechał.

— Jaki Franek?

— No, jak to jaki? Kociuba, Franek Kociuba.

— Nie może być — ucieszył się Kazimierski. — Franuś? No, to bardzo dobra nowina. Dawno żeśmy go nie widzieli. Ciekawe, czy się zmienił w tej Warszawie.

— A co by się miał zmienić. Franuś, to zawsze nasz Franuś. Słyszałam, że stary Kociuba przyjęcie urządza na cześć syna porucznika. Pewnie i nas zaproszą.

— No, to sobie tego popijemy — powiedział wesoło Kazimierski. — Cieszę się, że Franek przyjechał. Lubię go. Fajny chłopak.

Na obiad były kurczęta i szparagi. Pani Maria postanowiła zrobić przyjemność swojemu Oleczkowi, który przepadał za szparagami. Chciała załagodzić poranną scenę. Czuła, że to było zupełnie niepotrzebne. Nie po raz pierwszy zresztą zdawała sobie sprawę z tego, że pewnych rzeczy nie należało mówić i że powinna oszczędzić zdenerwowania sobie i mężowi. „Mam paskudne usposobienie — myślała w chwilach samokrytyki. — Zatruję życie temu nieszczęśliwemu człowiekowi. Muszę się zmienić, stanowczo muszę się zmienić.” Niestety, nigdy nie potrafiła

zrealizować swego postanowienia i w dalszym ciągu postępowała tak samo. To po prostu przekraczało jej możliwości psychiczne. Zaraz bowiem następnego dnia wpadała w swój normalny stan wiecznego niezadowolenia, rozżalenia i strachu. Była obdarzona dość bujną wyobraźnią, przy pomocy której przeżywała straszliwe sceny. Widziała siebie i męża w katastrofach kolejowych, lotniczych i samochodowych. Wyobrażała sobie wojnę atomową i straszliwą ogólnoswiatową zagładę. Wystarczyło, żeby Stefaniak pojechał bryczką do lasu, a już przesuwały jej się przed oczami tragiczne sceny z rozjuszonym odyńcem lub z zabłąkanym w te strony wilkiem. Za każdym razem witała męża tak, jakby wracał z tamtego świata. „Spróbuj pisać powieści sensacyjne — proponował jej wielokrotnie. — Marnujesz talent.” Ale pani Maria nie miała zdolności literackich, umiała tylko przeżywać, a nie pisać.

Pragnąc jakoś zatrzeć przykre wrażenie swego porannego występu, starała się być uprzejma dla Lechockiego, którego nie darzyła specjalną sympatią. Drażniła ją jego pewność siebie, zarozumiałość i rzadko spotykana u mężczyzn gadatliwość. Lechocki mógł mówić bez przerwy na każdy temat. Robił wrażenie dźwiękowej encyklopedii. Wystarczyło nacisnąć odpowiedni guzik, a wiadomości płynęły wartkim strumieniem. W towarzystwie był osobą pożyteczną, ponieważ praktycznie wszystkich wyręczał w konwersacji. Czasami jednak bywał męczący. „On chyba musi czytywać do poduszki dużego Larousse’a” — mawiała pani Maria.

I teraz przy obiedzie Lechocki zabawiał swoich gospodarzy żwawą rozmową. Prześliznął się zgrabnie po tematyce politycznej, zahaczył o pogodę, a następnie począł rozwodzić się nad trudnościami w produkcji. W dalszym ciągu swojego monologu omówił najnowsze wydawnictwa, ponarzekał na polską kinematografię i dłużej zatrzymał się na sztukach teatralnych. Mówił płynnie, z ogromną swadą, i robił wrażenie człowieka zorientowanego pierwszorzędnie we wszystkich absolutnie dziedzinach. Pani Maria przytakiwała mu uprzejmie, nie będąc w stanie wtrącić ani jednego zdania. „Ten człowiek mógłby brać udział w Zgaduj–Zgadulach” — myślała nie bez pewnego podziwu.

Stefaniak jadł w milczeniu szparagi. Był rad, że nie musi wysilać się na rozmowę. Oratorski talent swego gościa traktował jak szum fal morskich. Po prostu wcale nie słuchał tego, co mówił Lechocki. Pograżył się we własnych rozmyślaniach.

## Rozdział II

Wielka była we wsi sensacja. Franek Kociuba przyjechał. I to nie żaden tam sierżant z wiejskiego posterunku, ale porucznik Kociuba z warszawskiej komendy. Już na parę tygodni przed tym „epokowym” wydarzeniem stary Kociuba rozповідаł wszystkim wokoło, że spodziewa się odwiedzin syna. Ten i ów pokpiwał sobie nawet z koniuszego. „Cóż to, król jaki przyjeżdża albo cesarz? — mówili ze śmiechem. — A może prezydent Starów Zjednoczonych?”

— Głupiście — burczał koniuszy. — Co mi tam król czy prezydent? Dla mnie mój Franek ważniejszy.

Maciejczakowie także niecierpliwie wyczekiwali na przyszłego zięcia, nie mówiąc już o Hance, która co rano zdzierała kartkę z kalendarza, licząc dni do przyjazdu.

Wreszcie przyjechał. Wesoły, elegancki, opalony, zupełnie tak, jakby nie w Warszawie, ale nad morzem siedział. Mundur nowiutki, prosto od krawca, świetnie dopasowany, a spodnie tak odprasowane, że kantami można by chyba kielbasę kroić. Co tu dużo gadać, szykowny oficer.

Witali go wszyscy po kolei, wycalowali, wyściskali, aż sio nawet trochę ten nowiutki mundur pomiał. Radość była ogólna, i to nie tylko w rodzinie Kociubów i Maciejczaków, ale i dawni koledzy, i przyjaciele przybiegli przywitać się z Frankiem. Ten i ów może był trochę onieśmielony oficerskim mundurem, ale Franek walił kumpli pięścią po plecach na znak, że się nie zmienił i że mu woda sodowa do głowy nie uderzyła.

— Zmężniałeś, Franuś, zmężniałeś — mówił koniuszy, klepiąc syna po szerokich barach. — Służysz ci widać ta Warszawa. Nie płacz, matka, no, czego płaczesz? — zwrócił się do żony.

— To z radości — odparła Kociubowa. — Tyle czasu nie widzieliśmy naszego chłopca. Bój się Boga, cały rok. Jakże ci tam, Franuś, w tym mieście?

— Jakoś sobie radzę, mamó. Z początku trudno się było przyzwyczać. Strasznie mi było brak łąk, pól, lasów. Nie mogłem oddychać. Zdawało mi się chwilami, że się uduszę. Ale teraz przywykłem.

— Potrzebne ci to było, Franeczku? Nie mogłeś w Pegeerze pracować?

— No, coś ty? — oburzył się koniuszy. — Nie rozumiesz, że chłopak karierę robi? Niedługo pułkownikiem zostanie. Co tu gadać o Pegeerze?

— Ale oddychałby dobrym powietrzem i byłby blisko nas.

Franek, nie chcąc przedłużać sprzeczki rodziców, zmienił temat rozmowy. — Niedługo was na wesele zaproszę — powiedział wesoło.

— Kiedy się żenisz? — spytali jednocześnie.

— Myślę, że na Boże Narodzenie. W październiku albo najdalej w listopadzie powinienem dostać mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią.

— Lepiej trzy, Franeczku, lepiej trzy — powiedziała Kociubowa — bo jak przyjdą dzieci, to będzie wam ciasno.

— O, widzę, że mamie pilno do wnuków — roześmiał się Franek.

Po wstępnych powitaniach zaczęła się zwada. Chodziło to, u kogo ma się odbyć przyjęcie, u Kociubów czy u Maciejczaków. — Taki jest zwyczaj, że przyjęcie urządza się domu narzeczonej — upierała się Maciejczakowa. — Ale my jesteśmy od was starsi wiekiem — argumentował koniuszy. — A i ludziom poręczniej do nas przyjść, a nie latać po lesie. — Wreszcie, targ w targ, stanęło na tym, że w najbliższą niedzielę urządzą przyjęcie Maciejczakowie, a w następną niedzielę zaprosi się gości do Kociubów.

Tyle było zamętu z tymi rodzinnymi sprawami, że młodzi wcale nie mieli czasu dla siebie. Dopiero na drugi dzień po przyjeździe udało się Frankowi chwycić Hankę za rękę i uciec z nią za pałac do opuszczonego parku.

Nic się tu nie zmieniło. Może tylko chwasty bardziej wybujały, rzeczka gęściej zarosła sitowiem, a kamienne posągi pokryła grubsza warstwa zielonej pleśni.

— Dawniej lubiłeś tu przychodzić — powiedziała cicho Hanka.

Skinął głową. — Tak, przychodziłem tu, żeby pomarzyć.

— Czy mam być zazdrosna o te twoje marzenia?

Otoczył ją ramieniem. — Niemądra jesteś. Wtedy wyobrażałem sobie, jak tu było przed stu, przed dwustu laty. Musiały tu się odbywać wspaniałe bale. Krynoliny, kolorowe fraki, białe peruki, na tarasie orkiestra, lampiony.

— Chciałbyś żyć w tamtych czasach?

Franek wzruszył ramionami. — Bo ja wiem. Jako jakiś księżę czy inny hrabia, to może bym i chciał, ale jak miałbym być chłopem pańszczyźnianym, to pewnie bym nie chciał.

— A ja bym nie chciała, żebyś wtedy żył, bo teraz nie miałabym ciebie. Już by i śladu po twoim grobie nie było.

— Co ty mi o grobach opowiadasz? — roześmiał się Franek. — Mów mi o naszym weselu.

— No więc kiedy?

— A na Boże Narodzenie.

— Na pewno?

— Na pewno. Chyba żebyś sobie innego znalazła.

— Coś ty, Franek? — Oparła policzek o jego ramię. — Tak mi bez ciebie smutno, tak smutno, że czasem to mało nie płakałam. Ty nie wiesz... Ty nie możesz zrozumieć...

Pocałował ją. — Niedługo już będziemy razem. Zobaczysz, jak nam będzie dobrze ze sobą.

— Nie mogę się doczekać. Aż mnie coś w dołku ssie.

Przeszli przez półokrągły mostek, przerzucony przez rzeczkę, i znaleźli się wśród splątanych krzaków leszczyny.

— To tutaj gdzieś znalazłeś wtedy trupa tej dziewczyny — powiedziała cicho.

Żachnął się. — Daj spokój. Nie chcę rozmawiać o takich rzeczach. Przyjechałem na urlop i żadne kryminalne sprawy mnie nie obchodzą. Powiedz mi lepiej, co ze Staszkiem?

— Jeździ, jak dawniej, na koniach. Teraz wysłali go na jakiś kurs. Mają go tam dokształcać. Martwię się o niego, bo to ujeżdżanie koni to przecież żaden zawód. To dobre dla młodego

chłopaka, ale jak się zestarzeje, to co? Trzeba mieć jakiś fach w rękę.

— Niechby został zootechnikiem.

— Ale na to trzeba się uczyć, a on do nauki nie bardzo się garnie.

— A co u Kazimierskich?

— W porządku. To dobre małżeństwo. Są ze sobą szczęśliwi.

— Magda to pierwszorzędną dziewczyną — powiedział z przekonaniem Franek.

— Podoba ci się?

— Przecież wiesz, że mi się kiedyś podobała.

— Bardziej niż ja?

— Jakby mi się bardziej od ciebie podobała, tobym się z nią ożenił. Na co to głupie gadanie?

— Chciałam wiedzieć.

— No, to już teraz wiesz — odburknął Franek. Stracił humor i był zły na Hanke, że popsuła miły nastrój. Najprzód o trupie, a teraz znowu jakieś idiotyczne sceny zazdrości.

Wzięła go mocniej pod rękę. — Jak ty mało znasz kobiety, Franeczku.

— Wszystkie baby są jednakowo głupie — mruknął, wzruszając ramionami.

— Nie złość się.

— E, bo tak gadasz nie wiedzieć co. — W takim razie pocałuj mnie i już nie bądź zły. Pocałował.

Przez chwilę szli w milczeniu. Franek z prawdziwą przyjemnością wciągał w nozdrza wilgotny zapach roślin.

Hanka znowu zaczęła mówić o Kazimierskich. — A wiesz, że wczoraj spotkałam w spółdzielni Magdę?

— No i co?

— Mówiła mi, że jest niespokojna o swojego Stacha.

— Zdradza ją?

— Nie, skądże. Tylko to paskudna robota. Dużo ludzi już sobie ponarazał.

— Trudno, żeby kłusowników częstował cukierkami.

— Ty żartujesz, a Magda jest rzeczywiście zdenerwowana. Bo widzisz... Wojtasik. Michał Wojtasik. Wiesz?

— Wiem. Bandzior. I cóż Wojtasik?

— Siedział w więzieniu przez Kazimierskiego.

— Złapał go na kłusowaniu?

— Właśnie.

— No, to słusznie, że go posadzili.

— Coś chyba półtora roku. Teraz wyszedł i odgraża się, że się zemści na Kazimierskim, że swego nie daruje.

Franek energicznie potrząsnął głową. — E, głupstwa. Takie tam gadanie. Nie można tego brać poważnie.

— Sam powiedziałeś, że to bandzior.

— Ale nie wariat. Jak dostał półtora roku, to teraz będzie siedział cicho jak mysz pod miotłą. Nikomu chyba nie pilno na szubienicę. Magda zupełnie niepotrzebnie się denerwuje.

— Kocha Stacha. Cóż dziwnego, że się o niego niepokoi.

— Hanka. A może ty byś mi coś weselszego opowiedziała, co? — zaproponował Franek.

Roześmiała się. — Masz rację, Franeczku. Przepraszam cię. Sama nie wiem, dlaczego ci opowiadam o takich przykrych sprawach. Tak jakoś.

— Cieszysz się, że będziemy mieszkać w Warszawie? — spytał.

— Pewnie, że się cieszę. Ale...

— Co znowu? Jakie „ale”?

— Bo widzisz... ja teraz straciłam rok.

— Przecież wiem. Matka chorowała. Musiałaś być w domu.

— Chciałabym się dalej uczyć, Franeczku.

— A któż ci broni?

— A ty nie będziesz miał nic przeciw temu?

Tak go zaskoczyły te słowa, że aż przystanął. — Ja? A dlaczego miałbym mieć coś przeciw temu, żebyś ty się uczyła?

Zmieszła się. — Bo to różnie bywa w małżeństwie. Czasem mąż jest niezadowolony, jak żona studiuje. Chce, żeby tylko nim się zajmowała i domem. Znam takie wypadki.

— Cóżes ty, Hanka? — obruszył się Franek. — Uważasz mnie za idiotę? Kobieta powinna zdobyć fach. Różnie w życiu bywa. Mąż może umrzeć albo go jaki bandzior kropnie i co wtedy?

— Nie mów tak. Błagam...

— Wszystko się może zdarzyć. A poza tym uważam, że w ogóle powinnaś skończyć studia.

Pocałowała go. — Cieszę się, że tak myślisz.

— A ja się martwię, jak mogłaś sądzić, że ja myślę inaczej?

— Nie gniewaj się, Franeczku, ale po ślubie mężczyzna często robi się zupełnie inny, zaczyna mieć rozmaite wymagania.

— Ja się nie zrobię inny. Spokojna głowa.

Wrócili. Kociubowa już czekała z kolacją. — A cóżeście tak długo spacerowali? — spytała.

— Dajże, matka, spokój — wtrącił się koniuszy. — Tyle czasu się nie widzieli. Przecie muszą się nagadać.

Jedli z takim zapalem, aż im się uszy trzęsły. Potrawy znikwały ze stołu w zawrotnym tempie. Pod koniec kolacji stary Kociuba powiedział: — Powiadają, że zakochani nie mają apetytu, ale to chyba nieprawda.

Potem rozmawiali o ich przyszłym małżeństwie, śmieli się, żartowali. Weszło było. Wreszcie zrobiło się późno i Franek odwiózł Hanke do domu.

Kiedy się żegnali, Hanka wyściskała swojego chłopaka i spytała: — Przyjedziesz jutro?

— Przyjadę, ale nie wiem kiedy. Chciałbym odwiedzić Stacha, a jego trudno złapać.

— Odwiedź ich. Oczywiście. Magda się ucieszy. — Pośpiesznie otworzyła furtkę.

Franek wzruszył ramionami i wszedł na motor. W powrotnej drodze pomrukiwał niezbyt pochlebnie pod adresem całego rodu niewieściego.

Nazajutrz w godzinach południowych poszedł do Kazimierskich. Zastał ich oboje. Ucieszyli się ogromnie. Tyle przecież wspólnych wspomnień ich ze sobą łączyło. Stach był ciotecznym bratem Franka. Razem spędzili całe dzieciństwo. Jeździli na patykach i wywijali drewnianymi szablami. Potem szkoła, służba wojskowa. Życi byli ze sobą i zaprzyjaźnieni jak rzadko kto. Był w ich życiu taki okres, kiedy trochę na siebie warczeli, bo obaj mieli się ku Magdzie, ale to niedługo trwało. Franek zainteresował się Hanką i ustąpił z placu. Wolał wycofać się z honorem. Po pierwsze, nie chciał wchodzić w drogę przyjacielowi, a po drugie, wyraźnie widział, że Magda woli Stacha. Nie marudzili długo z narzeczeństwem. Pobrali się błyskawicznie i zaraz sypnęły się dzieci, najprzód chłopak, a za dwa lata bliźnięta, chłopak i dziewczynka. We wsi mówili, że jak tak dalej pójdzie, to pięćdziesięciu się doczekają.

Kazimierski serdecznie wyściskał i wycałował krewniaka. — Myśleliśmy już, żeś o nas zapomniał.

— Ale gdzie tam — zaprotestował z ożywieniem Franek. — Gdzieżbym o was zapomniał. Tylko tak mnie rodzinka i teściowie witali, że ani zipnąć nie mogłem. Aha, mam was zaprosić na przyjęcie do Maciejczaków. W tę niedzielę. A w przyszłą niedzielę większy jubel u moich staruszków. Musicie być. Koniecznie.

— Zjesz z nami obiad? — spytała Magda. — Nie rób sobie kłopotu.

— Ale żaden kłopot. Przecież nic specjalnie nie gotuję. Czym chata bogata. Wódkę mam, ale nie dam, bo Stach na służbę jedzie do lasu.

— Podobno masz trochę kłopotu z kłusownikami — powiedział Franek.

— Z nimi zawsze kłopot. Coraz bardziej robią się bezczelni.

— Mówiła mi Hanka, że Wojtasik wyszedł z pudła i że ci się odgraża.

Kazimierski machnął ręką pogardliwie. — Może się odgrażać, ile tylko ma ochotę. Kto by się przejmował takim i głupim baranem.

A ja ci mówię, ty sobie Wojtasika nie lekceważ — wtrąciła się Magda. — To jest bandzior i z nim nie ma żartów.



— Jeżeli odgraża się przy świadkach, to można to podciągnąć pod groźby karalne — powiedział Franek.

Kazimierski skrzywił się. — Kto tam będzie świadczył? Każdy powie, że nic takiego nie słyszał. Nie wiesz, jak to jest? Zresztą nie warto sobie tym głowy zawracać. Magda niepotrzebnie robi panikę. Tak jakbym ja pierwszego życia kłusownika nakrył.

Franek spojrział na Magdę. — Ja także myślę, że nie masz się czym przejmować. Stach nie ułomek, a poza tym do lasu jeździ z bronią. W razie czego na pewno sobie poradzi, a, prawdę mówiąc, nie wierzę w to, żeby Wojtasik ryzykował taki numer.

Magda poszła do kuchni przygotować obiad, a oni siedli sobie przy stole i z uśmiechem patrzyli jeden na drugiego, — Jakże ci tam w tej Warszawie, Franek?

— Jakoś leci. Przyzwyczailem się.

— A nie tęskno ci za wsią?

— Oj, z początku to mi cholernie było markotnie. Ale powoli wciągnąłem się w to życie.

— Szkoda, żeś od nas poszedł — powiedział z przekonaniem Kazimierski. — Inny tu mieliśmy porządek, jak ty byłeś. Bali się ciebie. Rygor był. Najlepszych ludzi zabierają z terenu. To niedobrze.

— Kto teraz jest komendantem posterunku?

— Kazimierz Wójcik. Taki tęgi, czerwony na gębie.

— Znam go — pokiwał głową Franek. — Jak sobie radzi?

— W gruncie rzeczy niezły chłop, tylko za wygodny. Nie chce się ludziom narażać i na różne sprawy przez palce patrzy. Żałuję, że cię tu nie ma. Może pomógłbyś trochę tych kłusowników przepłoszyć.

— To aż tak grasują?

— A coś ty myślał? Za każdym razem, jak pojedę do lasu, wnyki znajduję, a i sarnę potrafią ustrzelić.

— Mają broń?

— No chyba, że mają. Mało to nielegalnej broni po wsiach?

— Cholera — zaklął Franek. — Trzeba by jakąś akcję przeprowadzić.

Kazimierski uśmiechnął się. — Jaką tu akcję przeprowadzisz? Nie żartuj. Gdzie będziesz broni szukał?

— Trzeba by rewizję przeprowadzić u podejrzanych.

— Łatwo ci mówić. Po pierwsze, nie wiadomo, kto jest podejrzany, a po drugie, żadna rewizja nie da. Jak chłop ma broń, to ją tak chowa, że trzeba by chyba jakiego jasnowidza, żeby ją znalazł. Spytaj ojca, jakie Niemcy robili rewizje, a i tak broni nie znajdowali.

Weszła Magda, niosąc dymiącą wazę. — Pomidorowa z kluskami. Lubisz, Franuś?

— Ja wszystko lubię. A gdzie to wasze pociechy?

— W przedszkolu. Dużo ja bym tu zrobiła, jakbym trójkę takich chuliganów miała na karku. Najprzód dają jeść Stachowi, a później idę po dzieci. Gdyby nie to przedszkole, to nie wiem, jak bym sobie dała radę w domu.

— A jak się dzieciaki chowają?

— Dziękować Bogu. Zdrowe.

— Heniek, ten starszy, to chyba będzie bokserem — powiedział Kazimierski. — Okropnie wali kolegów.

— Pewnie to po tobie odziedziczył — uśmiechnął się Franek. — Ty także waliłeś kolegów. I mnie waliłeś, aż kiedyś porządnie ode mnie oberwałeś i odechciało ci się.

Kazimierski parsknął śmiechem. — Pamiętam, doskonale pamiętam. To było tam w tych chwastach za pierwszą stajnią. Masz rację, żeś mi wtedy tego wlał.

Zaczęli wspominać dziecięce lata i tak się zagadali, że zapomnieli o płynącym czasie. W pewnym momencie Kazimierski spojrział na zegarek. — Rany boskie! Muszę jechać. Nie gniewaj się, ale muszę. Służba.

— Ja także już muszę iść — powiedział Franek. — Rodzice czekają na mnie z obiadem. Będzie matka na mnie zła, bo przecież drugiego obiadu nie zmieszczę.

Wyszli przed dom i Kazimierski wyprowadził z szopy swojego „Komara”. Kiedy się żegnali, Franek powiedział: — A swoją drogą, uważaj na tego Wojtasika. Czort wie, co mu może do łba strzelić.

— Bądź spokojny — uśmiechnął się Kazimierski. — A jeżeli mam być z tobą zupełnie szczerzy, to są inni, których mógłbym się bardziej obawiać aniżeli Wojtasika. No, cześć. Trzymaj się. Nie zapominaj o nas.

Kociubowa rzeczywiście była z syna niezadowolona — Oj, Franuś, Franuś. To my tu na ciebie z obiadem czekamy, a ty gdzieś po ludziach się pożywiasz. Taką dobrą zupę pomidorową zrobiłam, na kościach.

Franek pomyślał, że chyba w całej wsi jest dziś na obiad zupa pomidorowa, ale nic nie powiedział.

### Rozdział III

Makowski to był gospodarz jak się patrzy, oszczędny, zapobiegliwy, pracowity. W polu miał zawsze wszystko na czas zrobione i nie narzekał ani na susze, ani na deszcze. Jakoś sobie radził i ze słońcem, i ze zbyt obfitymi opadami. Prawda, że ziemię miał dobrą, korzystnie położoną, ale obchodzić się z tą ziemią umiał. Nie było tam u niego nieużytków, ugorów. Każdy kawałek był racjonalnie, i z pomysłu, wykorzystany. Potrafił także i zahandlować, a ostatnio dostarczał słomę do stadniny, błogosławiąc pegeerowskie kombajny, które słomę dokumentnie niszczyły i ciągle brakowało ściółki pod konie.

Bogaty był chłop ten Makowski. Niejeden w okolicy zazdrościł mu takiego gospodarstwa. Toteż kiedy wydawał za żonę jedyną córkę, bliźni i dalsi sąsiedzi już od paru tygodni szykowali się na wesele. Niejeden nawet skromniej zaczął się odżywiać, żeby na tym przyjęciu móc więcej zjeść i wypić.

Oborowy Machowiak także został zaproszony. Nie miał ochoty iść, bo jakoś kiepsko się czuł, wątroba bardziej niż zwykle mu dolegała. Wykręcał się jak umiał, ale nic nie pomogło. Makowski chłop był twardy i nieustępliwy. — Jakże to, Wawrzek? Do chrztu Kasię trzymałeś, a na jej weselu nie będziesz? Wpadnij chociaż na godzinę, żeby jej przykro nie było. Zabierz ze sobą Ryśka. Będzie ci raźniej w drodze. — Stało na tym, że Machowiak przyjedzie z synem, ale wódki nie tknie i nikt go do picia nie będzie namawiał.

To się tylko tak mówi, że na weselu nikt do picia nie będzie namawiał. Jak go obstarpił weselnicy, jak zaczęli gadać, wydziwiać, obrażać się, to wreszcie Machowiak, rad nierad, wypił szklaneczkę wódki, potem drugą, trzecią, i tak już poszło. Po prostu zapomniał o chorej wątrobie. Ale o żonie nie zapomniał. Obiecał, że wróci najpóźniej o dziesiątej wieczór, a tu już dochodziła druga po północy. Chłop tak się przeraził, że aż trochę wytrzeźwiał. Z Wandą nie było żartów i Machowiak wiedział o tym nie od dzisiaj. — Jedziemy, Rysiu — powiedział, chwytając syna za rękaw. Ale Rysiek szarpnął się. On także miał już dobrze w czubie i nie chciało mu się opuszczać zabawy. — Tata sam pojedzie. Ja zostaję. — Machowiak zaczął go prosić: — Rysiu, syneczku, jedź ze mną. Sam nie mogę, bo się upiłem. Musimy jechać. Matka będzie się strasznie gniewać. — Na wspomnienie matki Rysio zmiękł. — No, dobra, pojedę. — Nie żegnali się z nikim, wsiedli na motor i pojechali.

Początkowo szło im jako tako. Skręcili z szosy w las, żeby sobie skrócić drogę. Zdawało się, że dojadą do domu bez żadnych przygód. Ale w lesie wódka rozebrała Machowiaka. Stęknął jak utrudzony koń i przyhamował. — Rysiu, a może ty siadłbyś przy kierownicy, bo mnie się coś w oczach troi. Boję się, żebym w drzewo nie trzasnął. Przesiądź się ze mną, synku.

Synek jednak nie był w lepszej formie. — Nie da rady, tato. Mnie także wszystko we łbie się kołuje, że ledwie siedzę. Nie ma mowy, żebym miał motor prowadzić.

— To czemużeś, durniu, tyle pił?

— Tata przecie wcale miał nie pić — odciął się Rysiek. — Tata chory na wątrobę.

— Do diabła z wątrobą. Ale co my teraz zrobimy? Ani nam wracać na wesele, ani do domu jechać.

— Musimy trochę wytrzeźwieć — powiedział nadspodziewanie rozsądnie Rysiek.

— Masz rację, synku. Nazbieraj gałęzi, to sobie podścielimy i zdrzemniemy się chwilę.

Rysiek ruszył chwiejnym krokiem w krzaki, chcąc wykonać polecenie ojca. Nagle zaczął krzyczeć: — Tato! Tato!

Co się stało? Czego się drzesz?

— Tato! Tu ktoś leży.

— No co, że leży. Pewnie także z wesela wracał.

— Tato! On się nie rusza! Tato, on sztywny! Rany boskie! Taaato!

Sierżant Wójcik spał jeszcze smacznie. Śniło mu się coś przyjemnego. Było mu tak ciepło i dobrze pod pierzyną. Tylko dlaczego ktoś go szarpie? Co to za szarpanie?

— Kazik! Obudź się! Kazik!

Przewrócił się na drugi bok i zamrugał oczami. — Co się stało? Czego mi spać nie dajesz?

Wójcikowa znowu zaczęła go szarpać. — Kazik, ktoś się do drzwi strasznie dobija. Nie słyszysz?

— No to co z tego, że się dobija?

— Trzeba otworzyć.

— To otwórz.

— Kiedy się boję. Wstawaj, Kazik, idź, zobacz, kto to.

Sierżant Wójcik westchnął ciężko, wstał i poczłapał do drzwi. — Kto tam tak wali, do cholery? — spytał niechętnie.

— Panie sierżancie, to ja, Rysiek Machowiak.

— Czego chcesz o tej porze? Idź do diabła.

— Panie sierżancie... Pan otworzy. Morderstwo.

Wójcik błyskawicznie otworzył drzwi. — Coś ty powiedział?

Rysiek był już tak trzeźwy, jakby od miesiąca nie miał kropli wódki w ustach. — Zamordowali... w lesie... Ojciec został przy trupie, a ja przyjechałem.

— Ale kogo zamordowano?

— Kazimierskiego. Tego strażnika. Leży w krzakach.

— Może pijany?

— Ale skąd pijany. Trup, nieboszczyk. Zabity. Cały we krwi.

— A wy skąd wzięliście się o tej porze w lesie? — spytał podejrzliwie Wójcik.

— Wracaliśmy z tatą z wesela.

— To może po pijanemu coś wam się przywidziało? — Sierżant nie chciał dopuścić do swej świadomości tego, że będzie miał do czynienia z autentycznym morderstwem.

— Nic nam się nie przywidziało! — wykrzyknął zniecierpliwiony Rysiek. — Kazimierski leży w lesie zabity, zastrzelony.

— Skąd wiesz, że zastrzelony?

— Tak mi się zdaje. Tyle krwi...

Wójcik powziął decyzję. — Zaczekaj. Ubiorę się i jedziemy.

Po chwili sierżant wyprowadził z sieni służbowy motor. Rysiek skoczył na swój i powiedział: — A może po drodze wstąpimy po Franka?

— Po jakiego Franka?

— Po Franka Kociubę. Przyjechał. Przecież on jest oficerem milicji.

Wójcik chciał już powiedzieć, że obejdzie się bez Frania, ale w ostatniej chwili rozmyślił się. Nigdy jeszcze nie miał do czynienia z morderstwem i nie bardzo wiedział, jak się powinien zachować w takiej sytuacji. Trzeba było natychmiast zawiadomić komendę wojewódzką. To jasne. Ale obecność Kociuby częściowo uwalniałaby go od odpowiedzialności przy tych wszystkich wstępnych czynnościach.

— Dobra. Jedziemy po Kociubę.

Franek jeszcze spał, ale koniuszy był już ubrany i krzątał się po gospodarstwie. Zobaczywszy sierżanta, zdziwił się: — Dzień dobry. Cóż tak o świcie? Co się stało?

— Ja do waszego syna.

— Franek śpi.

— To go obudźcie. Pilna sprawa, służbowa.

— Ale co się stało?

— O nic nie pytajcie, tylko go budźcie. Szybko.

Koniuszy wzruszył ramionami i wszedł do domu. Po chwili stanął w drzwiach Franek. Był w spodniach i w bluzie od piżamy. Oczy miał jeszcze zaspane. — Co się stało?

— Podobno Kazimierski zamordowany.

— Co?! — Franek skoczył do sierżanta. — Kazimierski? Stach? To niemożliwe! Kto wam to powiedział?

— Rysiek Machowiak razem z ojcem znaleźli trupa w lesie — wyjaśnił pośpiesznie Wójcik.

Franek nie zadawał więcej pytań. Biegiem wrócił do domu, błyskawicznie narzucił na siebie ubranie i wyprowadzał motor. — Jedziemy.

Rysiek prowadził. Nie bez trudności trafił na miejsce zbrodni. Parę razy zawracał. Ze zdenerwowania pomyliły mu się ścieżki w lesie. Kiedy wreszcie znaleźli starego Machowiaka, sierżant Wójcik już nie miał wątpliwości, że to rzeczywiście morderstwo.

— Dobrze, żeście przyjechali, och, jak dobrze, żeście przyjechali — powtarzał Machowiak. Był tak zdenerwowany, że ręce mu się trzęsły, a słowa z trudem przechodziły przez gardło. Co chwila usiłował przełknąć ślinę.

Franek ogromnym wysiłkiem woli opanował wzruszenie. Ukłąkł i uważnie obejrzał zwłoki. — Wygląda na to, że ktoś mu cały ładunek wpakował w serce — powiedział bardziej do siebie samego aniżeli do obecnych. Wyprostował się i wskazując leżącą w trawie strzelbę, spytał: — Nie ruszaliście tego?

— Nic nie ruszałem, absolutnie nic nie ruszałem — zapewnił z ożywieniem Machowiak. — Ja wiem, że nic nie wolno ruszać.

— To dobrze — pokiwał głową Franek. Następnie zwrócił się do sierżanta. — Ja tu zostanę, a wy jedźcie zaraz na posterunek i zadzwoncie do komendy wojewódzkiej. Niech natychmiast przyjeżdżają. Powiedzcie dokładnie, co się stało.

Wójcik wsiał na motor i odjechał. Franek zaczął przesłuchiwać Machowiaka i jego syna.

Major Grabicki przywitał się z Kociubą jak ze starym, dobrym znajomym: — Cieszę się, że was widzę, kolego. Dużo zmieniło się od czasu, kiedy byliście zastępcą komendanta tutejszego posterunku. Słyszałem, że urządziliście się w Warszawie. Jak wam się powodzi w naszej kochanej stolicy? Przypuszczam, że... — Nagle urwał i badawczo spojrzał na zmienioną twarz porucznika. — Co wam jest? Przejęliście się tym morderstwem? Może to wasz znajomy?

— To mój cioteczny brat — odparł Franek i jego własne słowa wydały mu się tak obce, jakby je zupełnie ktoś obcy wypowiedział.

— O! — Grabicki był trochę speszony. — Nie wiedziałem. Przepraszam was. — Uważnie przyjrzał się zwłokom, obszedł pobliskie krzaki i zwrócił się do lekarza, który właśnie skończył swe wstępne czynności. — Postrzał w serce z broni śrutowej?

— Tak — brzmiała odpowiedź. — Strzelono z bardzo małej odległości, prawie przykładając lufę do piersi. — Lekarz ściągnął z dłoni gumowe rękawiczki. — I zapewne to pana zainteresuje, panie majorze, że stwierdziłem także rany tłuczone w tylnej części czaszki. — To znaczy, że najpierw ktoś go uderzył jakimś tępym przedmiotem, a następnie strzelił — powiedział Grabicki. — Jak pan sądzi, panie doktorze, czym morderca mógł uderzyć tego człowieka?

Lekarz poruszył ramionami. — Trudno mi powiedzieć. Mógł to być młotek, klucz francuski, a nawet zwykły kamień. Podczas sekcji zbadamy to dokładniej, ale nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł panu udzielić precyzyjnej odpowiedzi w tej sprawie.

— Czy według pana te uderzenia w głowę mogły spowodować śmierć? — To także wykaże sekcja. Sądzę jednak, że gdyby napastnik ograniczył się do zadania tych ciosów, to skończyłoby się chyba na wstrząsie mózgu. Zresztą w tej chwili trudno mi powiedzieć coś pewnego.

Grabicki pokiwał głową w zamyśleniu. — No cóż... najwidoczniej mordercy zależało na tym, żeby zabić, żeby nie było żadnych wątpliwości co do śmierci tego człowieka.

— A może to zemsta? — podsunął lekarz. — Znamy przecież wypadki, że morderca zaślepiiony nienawiścią znęca się nad ciałem swej ofiary.

— Strzelono do niego z przodu, a uderzono go z tyłu — powiedział Grabicki.

— Ciekawe, czy zamordowany został tutaj, czy też zwłoki przyniesiono z innego miejsca — wtrącił się do rozmowy Kociuba.

Grabicki spojrział z zainteresowaniem na mówiącego. — Nie wiem, kto czyje myśli zgaduje — powiedział z leciutkim uśmiechem — bo ja właśnie zastanawiałem się nad tą sprawą. Trzeba dokładnie zbadać teren dookoła. Może natrafimy na jakiś ślad.

Parogodzinne badanie terenu nic jednak nie dało. W tej części lasu ziemia pokryta była liśćmi i sosnowym igliwem. Trudno było doszukać się odcisków stóp.

Zabrano zwłoki, odjechał lekarz i fachowcy od daktyloskopii, a Grabicki z Kociubą ciągle jeszcze chodzili po lesie. Wreszcie Grabicki machnął ręką zniechęcony. — Zdaje się, że nic tutaj nie zwojujemy. Trzeba wracać. Może macie ochotę przejechać się ze mną do komendy. Pogadamy.

— Chętnie — zgodził się Kociuba. — Po drodze chciałbym tylko wstąpić do rodziców i uprzedzić ich, że wyjeżdżam.

W komendzie Grabicki zaprowadził młodszego kolegę do swojego gabinetu i poczęstował go kawą. — A może nie jedliście jeszcze śniadania? — spytał.

— Śniadania nie jadłem — odparł Franek — ale w tej chwili nie mógłbym nic przelknąć.

— Tak was wzięło?

— Jestem zupełnie wstrząśnięty tym, co się stało. To był nie tylko mój bliski krewny, ale także serdeczny przyciel. Całe dzieciństwo spędziliśmy razem.

— Szczerze wam współczuję — powiedział Grabicki. — Czy ten wasz kuzyn zostawił jakąś rodzinę?

— Tak, żonę i troje dzieci.

— A rodzice?

— Rodziców stracił, jak miał trzy lata. Zginęli w katastrofie samochodowej.

Grabicki wyjął z kieszeni papierosa i stuknął palcem pudełko.

— Zapalicie?

— Dziękuję. Nie palę.

— Domyślam się, że przyjechaliście na urlop.

— Tak. Parszywie mi się zaczął ten urlop.

Grabicki zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nozdrzami. — Miałbym pewną propozycję — powiedział po chwili. — Jak byście się zapatrywali na to, żeby wziąć udział w tym śledztwie?

Kociuba ożywił się. — Właśnie chciałem o to prosić, towarzyszu majorze.

— Bo widzicie... — mówił dalej Grabicki — wasza pomoc w tej sprawie może być dla nas bardzo cenna. To był wasz bliski krewny. Na pewno znane wam są jakieś jego powiązania, sympatie, antypatie. Znacie doskonale teren. Nie mogę wam oczywiście narzucić tej roboty, ale skoro i tak już macie popsuty urlop...

— Ależ jak najchętniej, towarzyszu majorze. Dzień i noc będę pracował, ze skóry wyleżę, żeby tylko dostać tego drania.

— Dziękuję wam za okazaną gotowość do współpracy z naszą komendą. Mam nadzieję, że wspólnymi siłami zdołamy wyjaśnić tajemnicę tej zbrodni. Wasz kuzyn pracował w straży łowieckiej. Czy nie sądzicie, że mordercą może być jakiś kłusownik?

Kociuba skinął głową. — Właśnie o tym chciałem mówić, towarzyszu majorze. Kazimierski swego czasu nakrył na kłusowaniu niejakiego Wojtasika, który dostał półtora roku. Teraz Wojtasik wyszedł z więzienia i podobno odgrażał się, mówił, że się zemści, że swego nie daruje, i takie różne rzeczy.

— Czy sądzicie, że ten Wojtasik mógł dokonać morderstwa?

Kociuba wzruszył ramionami. — Bo ja wiem. Nie znam Wojtasika. Może go kiedyś widziałem, ale nawet nie pamiętam, jak on wygląda. Prawdę mówiąc, to mi się wydaje mało prawdopodobne, żeby chłop po odbyciu wyroku ważył się na taką rzecz jak morderstwo. Zresztą trzeba by zobaczyć tego Wojtasika. Może jakiś patologiczny typ.

— Zajmiemy się nim, oczywiście. Czym on się trudni?

— Ma indywidualną gospodarkę.

— Jeszcze dzisiaj przesłucham go — powiedział Grabicki. — Wiecie, co mnie zastanawia? Nigdzie w pobliżu zwłok nie znaleźliśmy motoroweru. A przecież wszyscy strażnicy łowieccy jeżdżą albo na motorach, albo motorowerach. Z tego, co mówił mi ten Machowiak, wynika, że wasz kuzyn miał motorower, tak zwanego popularnie „Komara”.

— To prawda — przyznał Kociuba. — Nie znaleźliśmy motoroweru. Jaki z tego wyciągnąć wniosek? Albo morderca odjechał na motorowerze Stacha, albo ktoś przeniósł czy przewiózł zwłoki z jakiegoś dalszego miejsca.

— Albo Kazimierski zostawił w lesie motorower i, żeby nie robić hałasu, kawał drogi zrobił na piechotę — uzupełnił Grabicki. — Być może, że tropił kłusownika i chciał cicho podejść.

Franek pokręcił głową z powątpiewaniem. — Wydaje się, że gdyby podchodził kłusownika, to nie dalby się mu tak zaskoczyć. Kazimierski to był człowiek przytomny i doświadczony. Miał broń w ręku. Nie pozwoliliby, żeby tamten zaszedł z tyłu i uderzył w głowę.

— Zgoda — przytaknął Grabicki. — Pod warunkiem jednak, że miałby do czynienia z kimś nieznanym albo kimś nie wzbudzającym zaufania. Jeżeli natomiast spotkał w lesie dobrego znajomego, to mógł zrezygnować ze środków ostrożności. No, na przykład gdyby was spotkał, to przecież nie bałby się...

— Takiej ewentualności nie wziąłem pod uwagę — przyznał Kociuba. — To prawda, że jeżeli morderca był dobrze mu znanym człowiekiem...

Grabicki zgasił papierosa, skończył pić kawę, która już wystygła, i powiedział: — Musimy jednak przeczesać dokładnie las i znaleźć ten motorower. To może nam rzucić jakieś światło na sprawę. Jeżeli oczywiście morderca nie zabrał go ze sobą, chociaż wątpię. To zbyt obciążający dowód rzeczowy.

— Nie mamy żadnej pewności, że zbrodni dokonał człowiek przewidujący i inteligentny — zauważył Kociuba. — Kłusownikami często bywają ludzie prymitywni, nie wybiegający wyobraźnią poza chwilę obecną. Poza tym dochodzi element chciwości. Może szkoda mu było zostawić motorower. Liczył na to, że go na razie gdzieś schowa, następnie przemaluje. W tej chwili chyba nie warto zastanawiać się nad różnymi ewentualnościami. Musimy być jakieś konkretne dane lub choćby tylko jakieś poszlaki.

— I ja tak myślę — zgodził się Grabicki. — Teoretycznymi rozważaniami do niczego nie dojdziemy. Trzeba się wziąć do konkretnej roboty. Ja pogadam sobie z tym Wojtasikiem, a wy może pojeździecie po lesie i pokręcicie się między ludźmi. Radzę zajrzeć do gospody. Przy wódce o różnych rzeczach ludzie rozmawiają.

Wracając do domu, Franek przypomniał sobie to, co powiedział przy pożegnaniu Stach: „A jeżeli mam być z tobą zupełnie szczerzy, to są inni, których mógłbym się bardziej obawiać aniżeli Wojtasika”.

## Rozdział IV

Major Grabicki początkowo miał zamiar posłać po Wojtasika i sprowadzić go do komendy. Zmienił jednak zdanie. Doszedł do wniosku, że więcej może się dowiedzieć, rozmawiając z kłusownikiem w jego domu. Zabrał więc ze sobą sierżanta Bugała i wszedł do służbowej „Warszawy”.

Dom Wojtasika stał samotnie pod lasem. Do wsi było ze trzy kilometry, a może i więcej. Ziemia nie pierwszej jakości, piaszczysta.

— Jęczmień lichey — powiedział, kiwając głową, sierżant Bugała. — A owies to chyba jeszcze gorszy.

Kierowca nacisnął hamulec. Wysiedli.

W ogródku, otoczonym szczerbatym płotem, rosły malwy. Kury gromadnie kręciły się wokół zabudowań gospodarskich, sprzecząc się od czasu do czasu z kaczkami, które swą żarłocznością znacznie przewyższały kokoszki i koguty. Chudy pies szamotał się na łańcuchu, szczekając rozpaczliwie.

Grabicki skinął na Bugałę i pchnął skrzypiącą furtkę. Drzwi do sieni były otwarte. Poczuli charakterystyczny zapach gnijących kartofli. — Jest tu kto? — zawołał sierżant. — Jest tu kto? — powtórzył głośniej. Duży, czarny kot zeskoczył z beczek, stojących w głębi sieni, i wybiegł przed dom.

Z izby na prawo wyszła czterdziestoparoletnia kobieta. Była wysoka, bardzo szczupła, a jej podłużna twarz, zakończona wydatną szczęką, czyniła ją podobną do angielskiej klaczy pełnej krwi.

— Panowie do kogo?

— Jesteśmy z milicji.

— To widzę — powiedziała spokojnie, przyglądając się błyszczącym guzikom Grabickiego. — Ale kogo panowie szukają?

— Chcielibyśmy mówić z Michałem Wojtasikiem. Czy to pani mąż?

— Tak. Ale w tej chwili panowie nie mogą się z nim widzieć.

— Dlaczego?

— Bo śpi.

— Śpi? O godzinie pierwszej w południe?

— Chyba jeszcze nie ma przepisu, o której godzinie wolno spać, a o której nie — powiedziała bez uśmiechu. — Mój mąż źle się czuje, położył się i prosił, żebym go nie budziła.

— Dobrze — zgodził się Grabicki. — W takim razie zaczekamy, aż się obudzi, a na razie porozmawiamy sobie z panią.

— Ja nie mam z panami nic do rozmawiania.

Grabicki miał zamiar energicznie zareagować, ale w ostatniej chwili postanowił przyjąć inną taktykę. — Taka kulturalna osoba jak pani nie zamknie nam chyba drzwi przed nosem — powiedział z czarującym uśmiechem. — Jestem nawet pewien, że poczęstuje nas pani szklanką herbaty.

Zmierzyła go badawczym spojrzeniem od stóp do głów, jakby chcąc się przekonać, czy to nie są kpiny. Grabicki jednak utrzymywał się idealnie w swojej roli. Ciągłe robił wrażenie bardzo uprzejmego człowieka, który przyszedł odwiedzić serdecznych znajomych. Zarówno w jego ruchach, jak i w wyrazie twarzy, nie było cienia jakiegokolwiek żartobliwości czy drwiny.

Wojtasikowa zawahała się chwilę, ale w końcu powzięła decyzję, szerzej otworzyła drzwi, odsunęła się i powiedziała: — Niech panowie wejdą. Proszę siadać. Mam akurat gotowaną wodę. Zaraz zaparzę herbatę.

„Metoda działa” — pomyślał Grabicki. Przysunął sobie wyściełane krzeselko i usiadł koło okrągłego stołu, nakrytego koronkową serwetą. Bugała ulokował się koło niego. Patrzył na oleodruk, przedstawiający Chrystusa modlącego się na Górze Oliwnej.

Gospodyni wyszła do kuchni i po jakimś czasie wróciła, niosąc dwie szklanki, napełnione aromatycznym płynem. Grabicki stwierdził, nie bez pewnego zdziwienia, że herbata była doskonała, świeżo zaparzona, a i gatunek musiał być nie z tych najtańszych. Nie omieszkał też wyrazić swego zachwytu.

Widać było, że gospodyni jest zadowolona z pochwały. Na jej końskiej twarzy zarysowało się coś w rodzaju uśmiechu. — Sama lubię dobrą i mocną herbatę — powiedziała. — Mleka nigdy nie pijam.

Grabicki pomyślał, że gdyby pijała mleko, to może nie byłaby taka wyschnięta, ale oczywiście nie zdradził się z tą refleksją. Wyjął paczkę „Giewontów” i poczęstował amatorkę mocnej herbaty. Zapaliła chętnie, głęboko zaciągając się dymem. Był coraz bardziej zdziwiony i zaintrygowany. Ta kobieta w niczym nie przypominała przeciętnej wiejskiej gospodyni. Był tak zaskoczony wyglądem i zachowaniem się żony kłusownika, że nie bardzo wiedział, jak poprowadzić rozmowę.

Sierżant spojrział w okno i powiedział: — Ktoś idzie.

— To mój mąż.

— Podobno źle się czuje i śpi — zauważył Grabicki.

— Mój mąż bardzo lubi sypiać na sianie — odparowała bez wahania.

Wszedł Wojtasik. Chłop był duży, barczysty i, w przeciwieństwie do żony, nie wyglądał na zagłodzonego. Patrząc na niego, można było raczej sądzić, że jest to człowiek, który nie odmawia

sobie jadła i napitku. Zatrzymał się gwałtownie w drzwiach, a na jego kwadratowej, gąbczastej twarzy odmalował się wyraz zaskoczenia, połączonego z hamowaną złością.

— Jak ci się spało na sianie, Michałku? — spytała pośpiesznie Wojtasikowa i zaraz dodała: — Ci panowie z milicji mają do ciebie jakiś interes.

— O co chodzi? — Chrypliwy głos o nosowym zabarwieniu nie brzmiał zbyt zachęcająco. Wąskie, błyszczące oczy, podparte workami wątrobianymi, patrzyły tak, jak gdyby ich właściciel miał zamiar rzucić się na nieproszonych gości.

Grabicki wstał. — Chcielibyśmy pana prosić o chwilę rozmowy — powiedział uprzejmie.

— Czego ode mnie jeszcze chcecie? — warknął kłusownik. — Swoje odsiedziałem i nie ma o czym gadać. Chyba nie będziecie mnie do końca życia prześladować, co?

— Panie Wojtasik — Grabicki mówił spokojnie, ale stanowczo. — Wiemy, że teraz na wsi gorący okres i ze roboty jest dużo. Chcieliśmy panu zaoszczędzić czasu i dlatego przyjechaliśmy do pana. Jeżeli jednak nie chce pan z nami rozmawiać u siebie w domu, to zabieramy pana zaraz do komendy.

Wojtasikowa wzięła męża pod rękę. — Michałku, porozmawiaj grzecznie z panami. — W jej głosie, pozornie łagodnym, a nawet pieścizotliwym, wyczuwało się rozkaz.

Chłop szarpnął się, mruknął coś ze złością pod nosem, ale spokojnie usiadł przy stole i, podparłszy podbródek pięścią, spytał: — No więc o co chodzi?

— Chodzi o Kazimierskiego — powiedział Grabicki. — Wiecie, kto to, prawda?

— Chyba, że wiem. Przez niego siedziałem w kryminale. Czepił się mnie jak rzep psiego ogona.

— Kazimierski został zamordowany.

Wojtasik wybuchnął gardłowym, hałaśliwym śmiechem. — Dawno się to draniowi należało. Jest sprawiedliwość na tym świecie.

Wojtasikowa poruszyła gwałtownie swą końską szczęką i szturchnęła męża w ramię. — Coś ty, Michał? Oszalałeś? Czy ty nic nie rozumiesz? Przecież ci panowie myślą, żeś to ty zabił Kazimierskiego.

W jednej chwili przestał się śmiać i spode łba spojrzął na milicjantów. — Podejrzewacie mnie o to? — spytał agresywnie.

— Tak. Jesteście podejrzani o zamordowanie Kazimierskiego — powiedział spokojnie Grabicki. — Ludzie słyszeli, jak odgrażaliście się w gospodzie, mówiliście, że zemścicie się na Kazimierskim.

Wojtasik zerwał się tak gwałtownie, że aż krzesło z hałasem potoczyło się po podłodze. Twarz nabiegła mu krwią.

— Oczy błyszczały gorączkowo. — Nie dam się... nie dam się... — bełkotał. — To łgarstwo! Ja nie zamordowałem. Chcecie ze mnie zrobić mordercę?! Ale to się wam nie uda! Niedoczekanie wasze!

Grabicki ani przez chwilę nie stracił zimnej krwi. — Siadajcie, Wojtasik, i przestańcie się awanturować — powiedział spokojnie. — W ten sposób nic nie wyjaśnimy, a wy takim zachowaniem pogarszacie tylko swoją sytuację.

Wojtasikowa położyła dłoń na ramieniu męża. — Uspokój się, Michał. Jesteś niewinny i nikt ci nie może zrobić żadnej krzywdy.

— Oczywiście — przytaknął Grabicki. — Jeżeli nie macie z tą zbrodnią nic wspólnego, to mogę was zapewnić, że nikt nie będzie miał do was żadnej pretensji. Siadajcie i porozmawiajcie z nami spokojnie.

Wojtasik sapał jeszcze przez chwilę, ale w końcu podniósł krzesło, usiadł i powiedział, usiłując zapanować nad wzburzeniem: — Różne rzeczy mówi się po wódce, panie majorze. Możliwe, że kłamię Kazimierskiego, możliwe, że obiecywałem odegrać się na nim. Ale przecie co innego kogoś sprać, a co innego zabić. Ja tego nie zrobiłem. Przysięgam na Boga. Nawet nic o tym nie wiedziałem. Dopiero teraz... Od pana usłyszałem, że Kazimierski nie żyje.

— Coście robili w nocy z soboty na niedzielę? — spytał Grabicki.

— W nocy spałem. A co miałem robić?

— A wasza żona?



— Mnie nie było w domu — pośpiesznie wtrąciła się do rozmowy Wojtasikowa. — Wróciłam dopiero rano. Byłam na weselu.

— Na czyim weselu?

— Makowski wydawał córkę za męża.

— Jak to się stało, że pani poszła na wesele, a mąż został w domu?

— Dałam w mordę młodemu Pawłowskiemu — powiedział obojętnie Wojtasik. — I nijak mi później było iść na wesele. Jakoś nie wypadło.

Mój mąż nie ma wyrobienia towarzyskiego i jest bardzo porywczy — wyjaśniła Wojtasikowa.

— Gdzie doszło do tej awantury?

— W gospodzie.

— Kiedy to się stało?

Wojtasik wzruszył ramionami. — Bo ja wiem? Parę dni temu. Może w czwartek. Dokładnie nie pamiętam.

Grabicki poczęstował papierosami swoich rozmówców, a następnie sięgnął do kieszeni po zapalki.

— No więc tak... — powiedział zaciągając się dymem — pani poszła na wesele.

— Pojechałam bryczką — sprostowała Wojtasikowa.

— Sama pani pojechała?

— Sama.

— O której pani wyjechała z domu?

— Dałam mężowi kolację i pojechałam. Była pewnie ósma.

— A kiedy pani wróciła z tego wesela?

— O, było już rano, szósta, może siódma. Nie patrzałam na zegarek.

— Czy mąż był w domu, jak pani wróciła?

— Oczywiście, a gdzie miał być? Dawał kurom jeść.

— Był już ubrany?

— No chyba. My na wsi wcześnie wstajemy.

— A jakie ubranie miał na sobie wtedy pani mąż?

Była wyraźnie zaskoczona tym pytaniem. — Jakie ubranie? Bo ja wiem? Zwyczajne.

— Jak był ubrany pani mąż, kiedy pani wróciła z wesela — nalegał Grabicki.

— Portki miałem na sobie i koszulę — burknął gniewnie Wojtasik. — Goły przecie z domu nie wyszedłem.

— A buty?

— Nie rozumiem. Co buty?

Grabicki miał wrażenie, że Wojtasik pragnie zyskać na czasie.

— Pytam, jakie pan wtedy miał buty na nogach?

Wojtasik wzruszył ramionami. — Pewnie jakieś kapcie.

Co pana tak moje buty interesują?

— W nocy z soboty na niedzielę padał deszcz. Rano było błoto. W kapciach nie wyszedł pan na podwórze. Chyba w gumiakach.

— Może i w gumiakach — zgodził się Wojtasik. — Kto by to pamiętał takie rzeczy.

— Chciałbym zobaczyć te pańskie gumiaki — powiedział Grabicki. Zauważył, że Wojtasik wymienił z żoną błyskawiczne spojrzenie. Podniósł się i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Słysząc było, jak otwiera szafę i wyrzuca z niej z hałasem różne rzeczy. Następnie zajrzał do sieni, kłął, przesuwał jakieś skrzynki, beczki. Wreszcie wrócił. Twarz miał czerwoną i złe błyski w oczach.

— Nigdzie, cholera jasna, nie mogę znaleźć tych gumiaków — powiedział niecierpliwie. — Nie schowałaś ich gdzieś? — spytał zwracając się do żony.

— Mam ważniejsze sprawy na głowie niż pilnowanie twoich gumiaków — odparła.

— Chyba ich nikt nie ukradł — uśmiechnął się Grabicki. — Nie taka znowu łakoma rzecz, stare gumowe baty.

— E, kto by miał ukraść? — mruknął Wojtasik — Zapodziały się gdzieś i tyle.

— Czy ma pan broń? — spytał nagle Grabicki.

Wojtasik wytrzeszczył oczy. — Broń? Jaką broń, panie majorze?

— Nie chodzi mi oczywiście ani o armatę, ani o bombę atomową. Pytam, czy ma pan strzelbę albo karabin?

— A skąd. Skądże ja bym miał takie rzeczy? Przecież na strzelbę trzeba mieć pozwolenie.

Grabicki znowu się uśmiechnął. — Czy sądzicie, że nie ma po wsiach ludzi, którzy posiadają broń palną bez pozwolenia?

— Nie wiem. Może i są tacy. To mnie nie interesuje. Ja w każdym razie broni nie mam i nigdy nie miałem.

— Czasem u kłusowników znajdujemy strzelby albo karabiny przechowane jeszcze z czasów wojny,

— Jaki tam ze mnie kłusownik, panie majorze — westchnął żałośnie Wojtasik. — Śmiechu warte.

— Jednak odsiadywaliście wyrok za kłusownictwo.

— To było nieporozumienie. Pierwszy raz zdarzyła mi się taka rzecz i akurat miałem pecha. Moja żona obchodziła urodziny, a że bardzo lubi pasztet z zająca, to chciałem jej zrobić przyjemność. Zastawiłem wnyki i trzeba trafu, że mnie Kazimierski nakrył. Przyznaję, że źle zrobiłem, ale każdemu czasami się zdarzy jakieś głupstwo palnąć. Zaraz ze mnie zrobili niebezpiecznego kłusownika. Inni są gorsi i nic im nikt nie mówi, a ja akurat podpadłem.

— Mąż mi chciał zrobić niespodziankę — wtrąciła się do rozmowy Wojtasikowa. — Jakbym wiedziała, tobym przecież nie pozwoliła mu na takie głupstwa. Opinię sobie popsuł, w więzieniu siedział. Głupota.

Grabicki wstał. — No... na nas już czas — powiedział, obciągając na sobie mundur. — Żałuję, że pan zgubił i gdzieś te gumiaki. W gospodarstwie to pożyteczna rzecz, szczególnie, jak deszcz pada.

Kiedy wracali do oczekującej ich w pobliżu „Warszawy”, sierżant Bugała pokręcił głową i powiedział: — Ciekawe, co on zrobił z tymi gumiakami. Cholernie go to zdenerwowało.

— Tak — pokiwał głową Grabicki. — Będą mieli się nad czym zastanawiać. Dla nas ważne jest to, że teraz już mamy pewność, że Wojtasik w nocy z soboty na niedzielę był poza domem.

Sołtys Gawroniak miał pogodne usposobienie i optymistyczny stosunek do świata i ludzi. Niczym się specjalnie nie przejmował, a wszelkie przeciwności losu przyjmował z isticie stoickim spokojem, mówiąc, że „jest źle, ale mogłoby być jeszcze gorzej”.

Przedstawicielei władzy przyjął z otwartymi ramionami i nie zwlekając, postawił na stole butelkę wódki, kielbasę, chleb i słoik z musztardą. — Nie zróbcie mi panowie tej przykrości i nie odmówicie skromnego poczęstunku.

Grabicki próbował się wykręcać, ale w rezultacie musiał skapitulować i wypił kieliszek nalewki, która, nawiasem mówiąc, bardzo mu smakowała.

— Przyszliśmy do pana, panie sołtysie, porozmawiać o Wojtasiku. Potrzebujemy trochę informacji o tym człowieku.

Sołtys skrzywił się tak, jakby zamiast nalewki przełknął kieliszek octu. — Co tu dużo gadać, panie majorze. Bandzior i tyle. Kłusownik, awanturnik, ludzi bije. Każdy obchodzi go z daleka, bo chłop mocny i krzywdę może zrobić. Nikt mu się nie chce narażać. Ostatnio podobno pobił w gospodzie tego Pawłowskiego, co to się teraz z córką Makowskiego ożenił. Siedział w więzieniu. Niedawno wyszedł, ale czy go tam rozumu nauczyli, to nie wiem. Chyba nie.

— Znać jego żonę? — spytał Grabicki.

— To suche kobyliisko? Chyba, że znam. Z taką bym nie ożenił, żeby mi nie wiem jaki posąg dawali. Toż strach patrzeć. Takiej kobity jeszcze, jak żyję, nie widziałem. Papierosy ćmi, gorzałę to tak pociąga, że nie każdy chłop da jej radę.

— Dawno Wojtasik ożenił się z nią?

— Nie tak dawno, może będzie z rok albo i tego nie.

— Nie wygląda ona na wiejską kobietę.

— Bo i nie jest ze wsi.

— A skądże on ją wytrzasnął?

— Diabli go wiedzą. Przywiózł sobie to cudo gdzieś ze świata.

Jak się nazywa?

Kelman, Rozalia Kelman. Może to Żydówka albo Niemka. Czort ją wie. W ogóle to bardzo podejrzane to całe małżeństwo. Bo żeby chociaż ładna dziewczyna była, tobym się Wojtasikowi nie dziwił, ale taka pokraka...

— To jego pierwsza żona?

— Gdzież tam. Miał kobieto jak się patrzy. Umarła. Powiadają, że ze zgryzoty.

— Jak myślicie, sołtysie, dlaczego on się z nią ożenił?

— Pojęcia nie mam. Chyba mu się coś we łbie pokiełbało. Ja sobie nie potrafię tego wytłumaczyć.

— Czy wiecie, że zamordowano tu w lasach strażnika łowieckiego, niejakiego Kazimierskiego?

Gawroniak pokiwał głową. — Wiem. Straszna rzecz. Znałem go. Chłop był jak złoto. Pewnie panowie podejrzewacie Wojtasika.

— Na razie nikogo nie podejrzewamy — odparł wymijająco Grabicki.

— Podobno się odgrażał. Przysięgał mu zemstę. Tak ludzie gadają. — Sołtys zamyślił się i po chwili dodał: — Ale mnie się to nie widzi. Chyba, żeby do reszty zwariował. Mógł go poturbować, pobić, ale żeby zamordować... Pewnie, że wszystko jest możliwe, ale po mojemu to Wojtasik nie odważyłby się na taką rzecz.

— Znaliście dobrze Kazimierskiego?

— Tak bardzo dobrze to nie, ale znałem go wiele lat.

— Jak myślicie, kto mógł go zabić?

Gawroniak poruszył ramionami. — Pojęcia nie mam, panie majorze. To jest taka służba, że jeżeli człowiek chce rzetelnie spełniać swoje obowiązki, to musi się niejednemu narazić. Ale tak w ogóle to Kazimierski był chłop porządny z kośćmi i ludzie go lubili. Tylko był cholernie zawzięty na kłusowników. Tym nie przepuszczał.

— Kto tu u was w okolicy od czasu do czasu bawi się kłusownictwem?

— Nie orientuję się, panie majorze — odparł wymijająco sołtys. — Może i są jacyś, ale ja nie wiem. Po prawdzie to ja się tymi sprawami mało interesuję.

Grabicki pomyślał, że sołtys woli się nie narażać. Spytał: — Był pan na tym weselu w sobotę?

— U Makowskich? Byłem.

— Widział pan tam żonę Wojtasika?

— A jakże, widziałem. Chciała nawet ze mną tańcować, alem uciekł. Wstyd mi z taką babą do tańca iść.

— Długo była na tym weselu?

— Tego nie powiem, bo nie pamiętam. Uciekałem od niej jak od zarazy, to i pojęcia nie mam, jak długo się bawiła.

— Lubi się bawić? Często tak chodzi po weselach?

— Często chyba nie, bo mało kto ją zaprasza. Nikt przecie nie chce, żeby mu taką końską szczęką gości wypłaszała.

— Ale z rodziną Makowskich widać jest zaprzyjaźniona

— Tak wychodzi.

— Słyszeliście, że Wojtasik pobił w gospodzie zięcia Makowskiego, to znaczy tego pana młodego.

— Słyszałem, ale o co im poszło, to akuratnie nie wiem. Pewnie dlatego Wojtasik nie był na weselu. Jakoś mu było głupio.

Grabicki wstał, podziękował za poczęstunek i pożegnał sołtysa. W drodze powrotnej prawie nie rozmawiał z sierżantem. Cały czas myślał o dziwnej żonie kłusownika.

## Rozdział V

Magda nie mogła uwierzyć. W jednej chwili zawalił się cały jej świat. Wszystko, co ją otaczało, straciło jakikolwiek sens. Nie warto istnieć. Ludzie się bali, że sobie zrobi coś złego. I bardzo możliwe, że ta tragedia skończyłaby się samobójstwem, gdyby nie dzieci. Zrozumiała, że musi żyć dla nich.

Pierwszą, tę najgorszą, noc spędzili u niej Franek i Hanka. Nie pocieszali, bo i jak tu pocieszać, co

mówić? Każde słowo wydawało się głupie, niepotrzebne, brzmiało jak wyświechtany slogan. Starali się rozmawiać na tematy obojętne, o urodzajach, o gospodarstwie, o pogodzie. Wypadało to wszystko bardzo sztucznie, ale wiedzieli, że milczenie jest jeszcze gorsze.

Magda była pozornie spokojna. Po pierwszym wybuchu rozpacz popadła w odrętwienie. Poruszała się jak automat i patrzyła na mówiących tak, jakby nie rozumiała znaczenia słów. Odgrodziła się całkowicie od ludzi i od otaczającego ją świata. Tylko na widok dzieci uśmiechała się leciutko. Był to bardzo smutny uśmiech.

Na drugi dzień z samego rana Franek odwiózł ją razem z dziećmi do jej rodziców, którzy mieszkali we wsi odległej o dwadzieścia parę kilometrów.

Starzy ludzie, którym już niewiele życia pozostało, nie są tak wrażliwi na cudzą śmierć, choćby ta śmierć zabrała człowieka najbliższego. Rodzice Magdy wycelowali ją, popłakali, pogłaskali po głowie, powiedzieli kilka słów pocieszenia i zaczęli się bawić z wnukami.

Franek został na obiedzie, ale zaraz potem wrócił do stadniny. Chciał jak najprędzej przystąpić do jakiejś akcji. Poprzysiągł sobie, że nawet spod ziemi wydobędzie mordercę Stacha.

W drodze powrotnej miał bezustannie przed oczami Magdę. Ucisnęła go mocno na pożegnanie i, tłumiąc łkanie, powiedziała cichym, przerywam, m głosem: — Dziękuję ci, Franek, dziękuję. A nie zapominajcie podlać kwiaty w ogródku.

Koniuszy chodził zły i markotny. Okropnie żał mu było chłopaka, żał Magdy i dzieci. Z nikim prawie nie rozmawiał, stał się kłótlivy i o byle co awanturował się z żoną, sztorcował masztalerzy, a i Franka nie oszczędzał. Kiedy siedzieli przy kolacji, powiedział: — E, cholera jasna, ten Kazimierski to sam sobie biedy napytał. Potrzebne mu to było?

— O czym ojciec mówi? — zainteresował się Franek.

— A o tym, że z ludźmi trzeba umieć żyć. Nie można tak o byle co na każdego naskakiwać. To co, że sobie chłop od czasu do czasu jakiego zajączka złapie? Nie takie znowu nieszczęście. A Stach był straszny służbista. Narażał się ludziom. No i w końcu tragedia.

— Chyba ojciec poważnie tego nie mówi?

— A cóż ty myślisz, że mam chęć sobie pożartować? Mówię całkiem poważnie, że Kazimierski za wielki był służbista. Czy to jest sens robić tyle hałasu o jednego zająca? Gorsze grandy u nas się dzieją i nikt takiego krzyku nie podnosi. Nie jedną aferę zatuszuje się i dobra jest. Żeby Stach czasami trochę przez palce popatrzył, to do tej pory żywy chodziłby po świecie i nie zostawiłby żony z trojgiem dzieci.

— A ojciec pozwoliłby, żeby w stajni ze skrzyni kradli owies? — spytał Franek.

— Coś ty? — obruszył się koniuszy. — Ja miałbym pozwolić, żeby ktoś koniom owies podkradał? A niedoczekanie. Za łeb bym i...

— A widzi ojciec. Czym dla ojca owies, tym dla Stacha była zwierzyna. Nie mógł przecież pozwolić, żeby kłusownicy zabijali bezkarnie zające, sarny, kuropatwy, dziki. No jakże?

— To wcale nie to samo — upierał się koniuszy. — Jak mi ze skrzyni owies kto ukradnie, to konie będą głodne. A jak chłop, nawet i na wnyki, zająca chwyci, to chłop—będzie syty i cała jego rodzina, a zająca czy tak, czy siak na polowaniu zastrzelą i na piecyste pójdzie.

— E... głupstwa ojciec gada i tyle — zdenerwował się Franek. — Cóż to, ojciec chce, żeby u nas w kraju bezprawie zapanowało czy jak? Stach rzetelnie swoje obowiązki wypełniał i za to mu się należy ludzki szacunek. Dzieci nie będą się wstydziły, że miały takiego ojca. Jakby każdy tak u nas podchodził do swojej pracy jak Stach, to na pewno lepiej by się działo. Ojciec chyba tak tylko ze zmartwienia mówi.

Koniuszy spode łba spojrział na syna. Nie znajdował argumentów. Czuł, że się trochę zagalopował. Postanowił zmienić temat rozmowy.

Niespodziewanie odezwała się Kociubowa, która do tej pory nie brała udziału w rozmowie. — Powiedz mi, Franeczku, czy to aby na pewno Stasia zabili kłusownicy?

— A któż by? — burknął koniuszy. — Pewnie, że kłusownicy. Wszyscy gadają, że to ten Wojtasik, który przez Stacha w kryminale siedział.

— To prawda — powiedział Franek — że ludzie tak mówią, ale to nic pewnego. Mnie się

osobiście wydaje, że Wojtasik bałby się. Przecież zdaje sobie sprawę z tego, że podejrzenie przede wszystkim na niego padnie. Nie znam go, ale powiadają, że to nie jest głupi chłop. A poza tym nie ma żadnej pewności, że Stacha zabił kłusownik. Tak może pozornie wyglądać. Mógł to być zupełnie kto inny i morderstwo mogło być popełnione na zupełnie innym tle.

Kociubowa pokiwała głową. — Dobrze mówisz, synku. Być może, że ktoś miał jakiś żal do Stacha i zabił go w lesie, żeby wyglądało na to, że to kłusownicy.

Od czasu śmierci Kazimierskiego Franek po raz pierwszy uśmiechnął się. — O, widzę, że jak tak dalej pójdzie, to mama jeszcze gotowa do milicji wstąpić.

— A co? Może nie mam racji?

— Ależ oczywiście, że mama ma rację. Cały czas nic innego nie robię, tylko się zastanawiam nad tym, komu, poza kłusownikami, mogło zależeć na śmierci Stacha?

Koniuszy wzruszył ramionami. — Ja o nikim takim nie słyszałem.

— Może ojciec delikatnie przepyta się między ludźmi — zaproponował Franek. — Czasami można się czegoś całkiem niechcący dowiedzieć.

Kociubowa trąciła męża w ramię. — Słuchaj no, ojciec, a jak to było z tą panią, z którą Staś w lecie rozmawiał?

— Nie pamiętam. Z jaką panią?

— No jakże nie pamiętasz? Przecie nam Machowiakowa opowiadała, że widziała Stasia, jak rozmawiał z jakąś panią, która siedziała w czerwonym samochodzie. Przypomnij sobie.

Koniuszy skrzywił się. — Coś sobie przypominam. — Ale przecie z wieloma ludźmi Stach rozmawiał. Nie można każdego podejrzewać.

— Co to, mamo, za pani w czerwonym samochodzie? — zainteresował się Franek.

— Nie wiem, co za jedna. Machowiakowa mówiła... Może zresztą to wszystko łągarstwo, bo Machowiakowie coś tam do Stasia mieli..

— Kłócili się? — spytał Franek.

— Nie wiem, czy były jakie kłótnie, ale że się nie lubili, to pewne.

— Daj spokój, matka — burknął koniuszy. — Jak się nie wie nic pewnego, to po co gadać. A ty, Franek, nie zwracaj sobie głowy babskimi plotkami, bo jak zaczniesz słuchać, co która baba plecie, to całkiem zgłupiejesz.

Franek jednak nie podzielał zdania ojca. Wiedział z doświadczenia, że każda plotka zawiera w sobie jakąś tam choćby niewielką część prawdy, a w śledztwie nawet najdrobniejsza informacja może okazać się cenna. Postanowił, nie zwlekając, porozmawiać z Machowiakową. Powiedział rodzicom, że chce się trochę przejść po kolacji, i wyszedł z domu, zastanawiając się nad tym, jak tu zgrabnie zaaranżować spotkanie z żoną oborowego. Wolał z nią pomówić w cztery oczy, a poza tym nie chciał, żeby ta rozmowa miała charakter urzędowego przesłuchania. Zawsze uważał, że więcej można się dowiedzieć podczas takiej zupełnie nieobowiązującej, sąsiedzkiej pogawędki. Jak tu jednak tak wykombinować, żeby z babą zostać sam na sam? Nie mógł się z nią przecież umówić na randkę. Diabli wiedzą, co by sobie mogła pomyśleć. Pewnie, że nie była już pierwszej młodości, ale jeszcze, jak to mówią, kobieta do rzeczy, i niejeden chłop chętnie by sobie z nią pogawędził we dwójkę na sianie. Przyszedł mu z pomocą przypadek.

Przechodząc koło padoków, spostrzegł Machowiakową. Szła bardzo powoli, z głową spuszczoną, i rozglądała się uważnie. Robiła wrażenie osoby, która coś zgubiła. „Szuka pieczarek” — pomyślał Franek i przesadził żerdź, odgradzając drogę od pastwiska.

— Dobry wieczór, pani Machowiakowa. Wybrała się pani na pieczarki?

Drgnęła gwałtownie i podniosła głowę. — A to pan, panie Franiu. Przestraszył mnie pan.

— Czy ja taki straszny?

— To nie to, tylko tak mnie pan cicho zaszedł z boku, że nie zauważyłam. A jak się człowiek zamyśli...

— A o czymże pani tak rozmyśla? Kłopoty jakie czy co?

— Kłopotów chyba nikomu nie brak.

— Najważniejsze, żeby zdrowie było. A u pani w rodzinie nikt, zdaje się, na zdrowie nie narzeka. Dziękować Bogu. W zeszłym tygodniu Antoś, ten najmłodszy, miał coś z gardłem, ale mu już

przeszło. Lekarz mówił, że to była angina.

— To drobnostka. Gorsze się rzeczy zdarzają. Niech pani powie, co to za tragedia z tym Kazimierskim. Troje dzieci osierocił.

Machowiakowa schyliła się i wyjęła z trawy dużą, dorodną pieczarkę. — Tak, to straszne nieszczęście — powiedziała, wkładając swą zdobycz do koszyka. Nie patrzyła na niego i Franek wyczuł, że nie ma ochoty rozmawiać aa ten temat. Postanowił jednak nie rezygnować. Przez chwilę w milczeniu obserwował żonę oborowego.

— Późne żniwa w tym roku. Dopiero rzepak zebrany, a żyto nawet nie ruszone. — Zauważył, że była trochę zaskoczona nagłą zmianą tematu.

— Długa zima, to i żniwa późno — powiedziała i znowu schyliła się po pieczarkę. Zaraz potem, jakby uważając, że zbyt lakonicznie skwitowała tragedię rodziny Kazimierskich dodała: — Słyszałam, że Magda z dziećmi wyjechała do rodziców. To dobrze. Nie będzie się czuła taka osamotniona. A na pogrzeb przyjedzie?

— Oczywiście — odparł Franek. — Pojadę po nią.

— A kiedy pogrzeb?

— Jak tylko prokuratura pozwoli zabrać zwłoki. Muszą przeprowadzić bardzo dokładną sekcję. Jaki to swoją drogą traf, że akurat pani mąż znalazł trupa Kazimierskiego.

Podniosła głowę i uważnie mu się przyjrzała. — Wracał z wesela, to i znalazł. Nie rozumiem, dlaczego tak pan mówi, panie Franku?

— Że niby jak mówię?

— Że akurat mój mąż znalazł trupa Kazimierskiego. Każdy by przecież znalazł, kto by tamtędy przejeżdżał.

— No chyba — uśmiechnął się Franek. — Tak mi się powiedziało. Daję pani słowo, że nic specjalnego nie miałem na myśli. Dziwi mnie tylko to, że pani nie pojechała z mężem na wesele.

Skrzywiła się. — Ja w ogóle żadnych wesel ani zabaw nie lubię. Nie lubię pić wódki, nie lubię tańczyć, to po co pójde? A zresztą ja tych Makowskich to niespecjalnie...

— Nie lubi ich pani?

— Ano, nie za bardzo. Takie to bogate kułaki. Wydaje im się, że są Bóg wie kim.

Franek miał ogromną ochotę dowiedzieć się, skąd wzięła się ta niechęć do Makowskich, bo przecież doskonale pamiętał, że kiedyś Machowiakowie przyjaźnili się z nimi. Nie chciał jednak zadawać zbyt dużo pytań. — To smutno pani było, jak mąż z synem pojechali się bawić, a pani sama w domu została. Inna sprawa, że dzieci musiał ktoś przypilnować.

— Dzieci na sobotę i niedzielę odprowadziłam, do siostry — powiedziała Machowiakowa. — Chciałam mieć spokój, bo trzeba w końcu kiedyś mieszkanie wybielić.

— I wybieliła pani?

— Zaczęłam, ale nie skończyłam. Jakoś mi nie szło.

— To w sobotę całkiem sama była pani w domu?

— A sama. Czasem dobrze tak samemu sobie posiedzieć.

— Pewnie. Człowiek może podumać o tym i o owym, rozłożyć sobie robotę na następny dzień albo zrobić rachunek sumienia.

— Rachunek sumienia?

— A chociażby. Pani nigdy nie robi rachunku sumienia?

— Przed spowiedzią.

— A ja to nawet i bez spowiedzi — uśmiechnął się Franek. — Warto od czasu do czasu zastanowić się nad samym sobą.

Obrzuciła go szybkim, badawczym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Znowu schyliła się po pieczarkę.

Szli czas jakiś w milczeniu. Pierwsza odezwała się Machowiakowa. — Co pan dzisiaj taki tajemniczy, panie Franku?

— Tajemniczy? Ja? Nic podobnego. Zdaje się pani.

— Wcale mi się nie zdaje. Przecież cały czas czuję, że pan czegoś ode mnie chce, ale nie mam pojęcia, o co chodzi.

Z kolei Franek schylił się, podniósł pieczarkę i wrzucił ją do koszyka. — Będę z panią szczerzy — powiedział, otrzepując sobie ręce z ziemi. — Chciałbym się czegoś od pani dowiedzieć o Stachu Kazimierskim, Podobno widziała go pani kiedyś w lesie w towarzystwie jakiejś kobiety, która siedziała w samochodzie.

Skinęła głową. — Tak, To prawda. Widziałam Kazimierskiego z jakąś kobietą, siedzącą w czerwonym wozie.

— Kiedy to było?

— Dawno, może dwa miesiące temu, a może jeszcze dawniej. Jakoś na wiosnę.

— Gdzie ich pani widziała?

— W lesie.

— A co pani robiła w lesie?

— Spacerowałam.

Uśmiechnął się. — Niech pani wymyśli coś innego, bo w to ja nie uwierzę, że pani wybrała się na spacer do lasu.

— To niech pan nie wierzy. Nie zależy mi na tym.

Franek machnął ręką. — Mniejsza z tym zresztą. Nieważne. Więc wtedy w lesie widziała pani Kazimierskiego i tę babkę w czerwonym wozie?

— Tak.

— Czy nie słyszała pani, o czym mówili?

— Nie. Było za daleko.

— I tej kobiety pani nie zna?

— Nie.

— A jaki to był wóz? Jakiej marki?

— Nie znam się na samochodach. Wiem tylko, że był otwarty.

— To znaczy, kabriolet.

— Nie wiem. Możliwe, że to tak się nazywa.

— Dlaczego pani nie lubiła Kazimierskiego? — spytał nagle Franek.

Była wyraźnie zaskoczona tym pytaniem. — Kto panu siedział, że ja go nie lubiłam? To nieprawda. Nie miałam żadnego powodu, żeby go nie lubić. Mało go znałam... Dlaczegoż miałabym go nie lubić?

— Właśnie nie wiem, a chciałbym to wiedzieć.

— Coś się panu przywidziało, panie Franku. Naprawdę. Dlaczego pan przypuszcza, że ja nie lubiłam Kazimierskiego?

— To się wyczuwa. W każdym pani zdaniu na temat Stacha słyszę jakąś głęboką niechęć.

Wzruszyła ramionami. — Zdaje się panu. Nie miałam najmniejszego powodu, żeby nie lubić pańskiego kuzyna. Coś pan sobie zmyślił. — Zajrzała do koszyka. — No, dosyć już tych pieczarek. Strasznie się z panem zagadałam. Jeszcze sobie kto co pomyśli, jak nas zobaczy na padoku. Dobranoc, panie Franku.

Wracając do domu, Franek zastanawiał się nad tym, jakie powiązania mógł mieć Stach z Machowiakami. Bo że coś tam było między nimi, tego był pewny.

## Rozdział VI

Pogrzeb Kazimierskiego przekształcił się w prawdziwą manifestację. Tłumy zaległy cmentarz. Zjechali się ludzie z całej okolicy, jedni z życzliwości, inni z chęci wzięcia udziału w tej niezwykłej, sensacyjnej sprawie. Bo przecież morderstwo nie trafia się co dzień. Nad świeżą mogiłą przemawiali różni ludzie, a nawet dyrektor Stefaniak.

Magda nie płakała. Była zupełnie spokojna, tak jakby cała ta smutna uroczystość nie jej dotyczyła. Twarz miała nieruchomą, bez żadnego wyrazu, a oczy szklane, niewidzące. Franek prowadził ją pod rękę. Dzieci czepiały się matczynej spódnicy. Głowę nakryła dużą, czarną chustą z frędzlami. Stare kobiety mówiły z westchnieniem: — Mój ty Boże. Tak niedawno szła do ślubu w białym welonie.

Pogrzeb przemija równie szybko, jak każda inna uroczystość. Postali nad grobem, pokiwali głowami, poszeptali między sobą i zaczęli się z wolna rozchodzić. Cmentarz opustoszał. Ostatni wyszli Magda z rodzicami i Franek.

Franek przez cały czas pilnie obserwował rodzinę Machowiaków. Widział obojętną, trochę jakby senną twarz oborowego. Widział głupawy uśmiezek Ryśka. Najwięcej uwagi poświęcił Machowiakowej. Położyła naręcze polnych kwiatów na mogile. Przyjrzał się uważnie jej rosłej postaci, szerokim, nieomal męskim plecóm i muskularnym ramionóm. „Silna baba — myślał. — Diabelnie silna baba.”

Zaraz za bramą cmentarną dogonił Franka sierżant Wójcik.

— Znaleźliśmy.

— Co?

— Motorower Kazimierskiego.

— To dobrze — ożywił się Franek. — Gdzie?

— W lesie, niedaleko szosy. Zostawiłem tam Grzelaka i przejechałem na cmentarz.

— Macie tu motor?

— Mam.

— Jedziemy.

To było dobrych kilka kilometrów od miejsca, gdzie znaleziono zwłoki Kazimierskiego. Franek poznał „Komara” Stacha.

Grzelak, młody chłopak, niezbyt wysoki, ale mocno zbudowany, twarz miał pyzată, zdradzającą dobry apetyt i pogodne usposobienie. Teraz był niezwykle poważny, przejęty ważnością swej roli. — Ja znalazłem, panie poruczniku — pochwalił się. — Dwa dni szukałem i znalazłem.

— Kiedy? — spytał Franek.

— Dzisiaj rano. Zaraz pogałem na posterunek i zameldowałem komendantowi.

— Dobrze spisaliście się — pochwalił go Franek. — Major Grabicki będzie z was zadowolony. Znalezienie motoroweru to ważny krok naprzód w śledztwie. Musimy się teraz zastanowić nad tym, czy to Kazimierski zostawił tutaj motorower, czy też morderca? Spróbujemy znaleźć odciski palców, ale to wątpliwa sprawa. W nocy padał deszcz, a tu las rzadki.

— Mnie się widzi, że jakby morderca zrabował motor, toby go nie zostawił — powiedział Wójcik. — Wzięłyby do domu. Rozebrałyby na części...

Franek pokiwał głową. — Chyba macie rację. Ale jeżeli Kazimierski tu zostawił motor, to znaczy, że morderca odniósł czy odwiózł zwłoki o kilka kilometrów dalej. Pewnie odwiózł, bo przecież nie dźwigałby taki kawał trupa na plecach.

— A może było ich dwóch — podsunął Wójcik. Franek obszedł teren i po jakimś czasie wrócił do milicjantów. — O dwieście metrów stąd jest szosa — powiedział zamyślony — a za szosą kilkuhektarowe pole lucerny. Warto by się rozejrzeć po tym polu, tylko że ten cholerny deszcz pewnie zmył wszystkie ślady.

— Myślicie, że chodzi o sarny? — spytał Wójcik.

— Wszystko jest możliwe. Sęk w tym, że teraz trudno nam będzie cokolwiek znaleźć. No cóż... rozejrzemy się trochę po tej lucernie. Może na coś natrafimy.

Poszli. Zostawili motory w rowie przy szosie i zaczęli chodzić po polu. Bardzo prędko jednak zrozumieli, że jest to przedsięwzięcie zupełnie beznadziejne. Sześć, a może siedem hektarów lucerny. Gdzie tu czego szukać?

— To nie ma sensu — powiedział Franek. — Możemy tak chodzić do Bożego Narodzenia i także nic nie znajdziemy. Wracamy.

Kiedy dochodzili do rowu, w którym stały motory, Grzelak schylił się i podniósł coś z ziemi. — Chustka — powiedział. — Ktoś zgubił chustkę.

— Rzeczywiście, chustka — powtórzył Franek, biorąc kawałek materiału do ręki. — A te plamy to chyba krew.

Major Grabicki był bardzo zadowolony ze znalezienia motoroweru. — Tego ogniwa brakowało nam do pełnego obrazu sprawy. — Zatarł ręce i pochylił się nad szkicem operacyjnym,



sporządzonym naprędce przez Kociubę. — A więc tutaj znaleziono zwłoki, a tutaj motorower. To znaczy i zwłoki, i motorower po tej samej stronie szosy.

— Po tej samej — przytaknął Franek. — Czy to ma jakieś znaczenie?

Grabicki wodził palcem po rysunku. — Tak. Pewne wnioski ewentualnie można z tego wysnuć. Mówicie, że odległość pomiędzy zwłokami a motorowerem wynosiła mniej więcej dziesięć kilometrów.

— Może dziesięć, może osiem, a może dwanaście. To tak na oko, towarzyszu majorze.

Oczywiście. Można by to dokładnie ustalić, ale nie wiem, czy warto. To chyba nic nam nie da. Jak, waszym zdaniem, odbyło się to wszystko?

Kociuba nieznacznie poruszył ramionami. — Trudno powiedzieć. Różnie. Kazimierski mógł być zamordowany zarówno przy motorowerze, jak i w tym miejscu, gdzie znaleziono zwłoki. W pierwszym wypadku morderca musiałby przetransportować trupa o te kilka kilometrów dalej. Nasuwa się pytanie, po co?

— Właśnie. Po co? — podjął Grabicki. — W jakim celu morderca miałby prznosić zwłoki z jednego miejsca na drugie? Chyba tylko w celu zatarcia śladów.

— A jak, towarzyszu majorze, z tą chustką? — spytał Franek. — Jak wypadło badanie? Czy przysłali już wyniki?

— Tak. To krew zwierzęca, najprawdopodobniej sarny albo jelenia.

Franek ożywił się. — To bardzo interesujące. Z tego wynika, że kłusownik zabił sarnę, powalał się jej krwią, wytarł ręce w chustkę, którą zgubił albo wyrzucił.

— Mogło tak być — powiedział Grabicki i zapalił papierosa. — Ale nie mamy żadnej pewności, że ta chustka ma coś wspólnego z morderstwem. Czy wiecie, że w żołądku Kazimierskiego znaleziono w czasie sekcji spory kawał nie strawionej czekolady?

— Czekolady? — zdumiał się Kociuba. — Stach nigdy nie jadał czekolady. W ogóle nie lubił słodczy.

— A jednak zjadł czekoladę, i to przed samą śmiercią.

Franek pokręcił głową. — Dziwne, bardzo dziwne. Nie wyobrażam sobie, żeby Stach miał w kieszeni czekoladę. Wykluczone. Kawałek kielbasy, ćwiartkę wódki, ale czekoladę... Nie, nie...

Grabicki uśmiechnął się. — A jednak. Sekcja zwłok została wykonana bardzo starannie i nie budzi żadnych wątpliwości. Zresztą czekolada nie taka znowu tajemnicza substancja, którą trudno by było zidentyfikować. Jeżeli twierdzicie, że jest rzeczą mało prawdopodobną, żeby Kazimierski jeździł do lasu z czekoladą w kieszeni, to tylko jedna pozostaje nam ewentualność. Ktoś poczęstował czekoladą Kazimierskiego przed samą jego śmiercią. Prawdopodobnie morderca. Jeszcze jeden dowód, że Kazimierski dobrze znał mordercę i nie spodziewał się napaści.

— To na pewno — powiedział z przekonaniem Kociuba. — Gdyby chodziło o kogoś innego, Stach nie dałby się zaskoczyć. Był człowiekiem doświadczonego, miał broń...

Grabicki zgasił papierosa w dużej, szklanej popielniczce i przeszedł się po pokoju. Przez chwilę nic nie mówił. Wreszcie z powrotem usadowił się za biurkiem, schował do szuflady szkiełki i spojrzał na Kociubę.

— Czy nikogo nie podejrzewacie?

— Trochę zastanawiają mnie Machowiakowie.

— Machowiak to ten, który znalazł zwłoki?

— Tak. Oborowy z gospodarstwa.

— Macie w związku z nim jakieś wątpliwości?

Kociuba był zakłopotany. — Nie chciałbym, towarzyszu majorze, rzucać jakichś nieuzasadnionych podejrzeń. Rozmawiałem z Machowiakową. Wydała mi się trochę dziwna. Odniosłem takie wrażenie, jakby chciała coś ukryć, jakby rozmowa ze mną była jej nie na rękę. Zresztą może mi się tak tylko zdawało. W naszej pracy człowiek często bywa przeczulony, widzi rzeczy, które w rzeczywistości wcale nie istnieją.

— A dlaczego w ogóle postanowiliście odbyć rozmowę z Machowiakową? — spytał Grabicki.

Franek opowiedział o tajemniczej nieznanym w czerwonym kabriolecie i o jej rozmowie z Kazimierskim.

Grabicki z niedowierzaniem pokręcił głową. — Hm. To brzmi bardzo tajemniczo, tak tajemniczo, że aż mało prawdopodobnie. Czy nie sądzicie, że ta cała historia jest tylko wytworem bujnej wyobraźni Machowiakowej?

— Ale w jakim celu miałyby zmyślać takie rzeczy?

— Któż to może wiedzieć? Może jest po prostu mitomanką, a może chciała stworzyć jakąś wersję, która by odwróciła uwagę od mej i od jej męża. Nie jesteśmy w stanie tego ustalić, tym bardziej teraz, kiedy Kazimierski nie żyje.

— Stworzyłem sobie pewną teorię w tej sprawie — powiedział Franek. — Ciągłe mi to chodzi po głowie. Chociaż właściwie nie mam żadnych podstaw, żeby tak myśleć.

— Mówcie.

Franek nerwowym ruchem przeciągnął dłonią po czuprynie. — Więc... Tak to sobie wymyśliłem: przypuśćmy, że Kazimierski wiedział o czymś, co kompromitowało Machowiaka i jego żonę. Bali się go. Postanowili pozbyć się niebezpiecznego świadka jakichś swoich machinacji. Machowiak z synem pojechali na wesele. Machowiakowa została w domu, dzieci odprowadziła do siostry i umówiła się z Kazimierskim w lesie. Ładna kobieta, a Stach miał zawsze słabość do ładnych kobiet. Machowiakowa poczęstowała go czekoladą, a następnie uderzyła go czymś ciężkim w tył głowy i zastrzeliła go z jego własnej dubeltówki. Wracający z wesela Machowiak albo znalazł zwłoki przypadkowo, albo, co bardziej prawdopodobne, wiedział, w którym miejscu jego żona dokona morderstwa, i wszystko to zainscenizował, żeby całkowicie odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia.

Grabicki skrzywił się sceptycznie. — Wasza teoria wydaje mi się mocno naciągnięta — powiedział szczerze. — Po pierwsze, to wszystko zbyt skomplikowane jak na mentalność oborowego i jego żony.

— Machowiakowa to baba kuta na cztery nogi — powiedział Kociuba — Inteligentna, sprytna: Wydaje mi się, że jest w stanie obmyślić tego rodzaju plan działania.

Grabicki ciągle jeszcze nie był przekonany. Obracał w palcach długopis i zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Hipoteza Kociuby wydawała mu się bardzo wydumana, ale przecież nie można jej było uznać za zupełnie absurdalną.

— Przede wszystkim musimy mieć pewność, że w ogóle istniał jakiś konflikt między Kazimierskim a Machowiakami.

— Oczywiście — przytaknął skwapliwie Kociuba. — Tę sprawę trzeba gruntownie zbadać. Ja przecież w tej chwili nic nie wiem na pewno. To wszystko są zupełnie luźne przypuszczenia, oparte wyłącznie na intuicji.

Grabicki skinął głową. — Otóż to. Musimy zacząć operować jakimiś konkretnymi faktami. Inaczej nie ruszymy miejsca. Chciałbym, żebyście się dobrze rozejrzeli w terenie. Może jeszcze znajdzie się ktoś, komu zależało na zlikwidowaniu Kazimierskiego. Na razie mamy tylko na rozkładzie Wojtasika, który bez żadnych wątpliwości miał powody, żeby nie żywić do waszego kuzyna przyjacielskich uczuć, oraz Machowiaków, co do których wy macie pewne dosyć mgliste wątpliwości. Warto by się rozejrzeć :za jeszcze innymi kandydatami na morderców.

— Muszę porozmawiać z Magdą, to znaczy, z żoną Kazimierskiego — powiedział Kociuba. — Nie mogłem tego zrobić od razu, bo to był dla niej straszny cios, ale teraz, kiedy się trochę uspokoiła...

— Bardzo słusznie. Od niej możecie się sporo rzeczy dowiedzieć. Ogromnie liczę na waszą pomoc. Obawiam się tylko, że niedługo będę mógł z niej korzystać.

Franek westchnął. — Wziąłem tylko trzy tygodnie urlopu, a czas ucieka.

Grabicki z sympatią poklepał Franka po ramieniu. — Cieszę się, Kociuba, że tak się palicie do tej roboty. Jestem pewien, że we dwóch wpadniemy wreszcie na właściwy ślad. Musimy sobie stworzyć jakiś ogólny plan działania. Myślę, że wy skontaktujecie się z żoną Kazimierskiego, a następnie postaracie się dowiedzieć czegoś o Machowiakach. Ja spróbuję rozpracować Wojtasika.

— A właśnie. Co z Wojtasikiem? — spytał Franek. Grabicki zrobił niewyraźną minę. — Trudno mi coś konkretnego powiedzieć o tym człowieku. Tylko raz z nim rozmawiałem. Nie zrobił na mnie zbyt miłego wrażenia, ale to może być zupełnie subiektywne. Zastanowiła mnie jego żona.

— Żona?

— Tak. Podobno ożenił się niedawno po raz drugi. Ta kobieta zupełnie do niego nie pasuje. On jest takie sobie proste chłopisko, a ona... Ciekawe, w jaki sposób skojarzyła się ta para?

— Może się zakochał. Kobiecie przeważnie bardzo imponuje, jeżeli mężczyzna zakocha się, choćby nawet nie dorównywał jej poziomem intelektualnym.

Grabicki potrząsnął głową. — Wydaje mi się, że w tym wypadku to nie wchodzi w rachubę. Absolutnie nieatrakcyjna kobieta, chuda, brzydka, nie pierwszej już młodości. Nie, nie, zupełnie nieprawdopodobne, żeby Wojtasik zakochał się. To stało zrobiło na mnie raczej takie wrażenie, że to ona zmusiła go do małżeństwa dla jakichś, sobie tylko wiadomych, celów. Gdybyście mogli dowiedzieć się czegoś na ten temat, to byłbym wam bardzo zobowiązany.

— Dobrze — powiedział Kociuba. — Spróbuję przepytac się między ludźmi. Może uda mi się zdobyć trochę informacji.

— Ale musicie to zrobić bardzo dyskretnie. Żona Wojtasika nie powinna się domyśleć, że interesujemy się jej osobą. A teraz jeszcze jedna sprawa, także wymagająca dyskrecji i dużego taktu.

— Słucham, towarzyszu majorze?

— Chodzi mi o gości zagranicznych. To znaczy... — Grabicki zapalił nowego papierosa i zaczął chodzić po pokoju. Milczał, jakby zastanawiając się nad tym, jak ma sformułować swoje myśli. Odezwał się znowu po dłuższej chwili. — Przyjeżdżają tu różni goście zagraniczni, jedni na odstrzał, inni na konną jazdę. Na polowanie przeważnie przyjeżdżają Niemcy.

— To prawda — przytaknął Franek, przypominając sobie rozmowę z ojcem.

— Otóż — ciągnął dalej Grabicki — chciałbym wiedzieć, komu Kazimierski w ostatnich czasach towarzyszył na polowaniu. Te informacje należałoby zebrać w ten sposób, żeby nawet dyrektor Stefaniak nie zorientował się, że te sprawy nas interesują.

Kociuba uważnie patrzył na mówiącego. — Przypuszczacie, towarzyszu majorze, że...

— Nic nie przypuszczam — przerwał mu energicznie Grabicki. — To może jest z mojej strony pewna przesadna gorliwość, ale wydaje mi się, że w tej sprawie nie powinniśmy przeoczyć żadnej ewentualności. Czy wiecie, że Kazimierski dwa lata temu odbył podróż do Niemiec Zachodnich?

— Tak, wiem. W Hamburgu mieszka jego siostra. Wyszła za mąż za Niemca. Przysłali mu zaproszenie i pojechał. To była dla niego duża atrakcja. Nigdy w życiu nie był za granicą.

— Oczywiście, oczywiście — pokiwał głową Grabicki. — Ale... No cóż... Różne rzeczy zdarzają się na świecie. Bywa i tak, że nieposłusznego i niewygodnego agenta likwiduje się w obawie, żeby nie sygnął.

Kociuba zerwał się ze swego miejsca. Twarz mu pałała.

— To wykluczone, towarzyszu majorze, to absolutnie wykluczone. Stach... Kazimierski nigdy nie poszedłby na taką robotę.

Grabicki położył mu rękę na ramieniu. — Uspokójcie się. Ja przecież nie podejrzewam Kazimierskiego o współpracę z obcym wywiadem. Nic takiego nie powiedziałem. Ale mam dużo większe od was doświadczenie życiowe i wiem, że w rozmaity sposób można się uwikłać w jakąś paskudną sytuację. Bywa tak, że zupełnie niewinny człowiek... Nie mówiąc już o skomplikowanych formach szantażu.

Franek energicznie potrząsnął głową. — Nie wierzę. Kazimierski nie był małym dzieckiem. Miał głowę na karku i zdawał sobie sprawę z konsekwencji...

— Nie bierzcie sobie tego tak do serca — powiedział pojednawczo Grabicki. — Zaczynam żałować, że w ogóle poruszyłem ten temat.

— Bo to absolutnie nieprawdopodobne, towarzyszu majorze, żeby Kazimierski...

Grabicki usiadł i wskazał krzesło Kociubie. — Siadajcie, kolego, i posłuchajcie, co wam powiem. Bywają w życiu sytuacje wytworzone przez jakiś niezwykle niefortunny zbieg okoliczności. Zupełnie niewinny człowiek może stać się ofiarą takiego zbiegu okoliczności. Ktoś na przykład wyjeżdża do Niemiec Zachodnich czy do jakiegoś innego kraju i tam usiłują go zwerbować do roboty szpiegowskiej. Odmawia, ale przypadkowo dowiaduje się pewnych rzeczy albo widzi pewnych ludzi, których nie powinien zobaczyć. Wbrew swej woli staje się dla obcego wywiadu

człowiekiem niebezpiecznym. Jeżeli jeszcze do tego na naszym terenie spotka człowieka, którego mógłby skompromitować, to może zapaść decyzja zlikwidowania go.

Franek słuchał uważnie. Już nie był taki wzburzony. — To wszystko prawda — powiedział cicho. — Nie sądzę jednak, żeby Kazimierski...

— To są przecież tylko czysto teoretyczne rozważania — mówił dalej Grabicki. — Nie mam absolutnie żadnych podstaw, aby twierdzić, że w tym wypadku zaistniała właśnie taka sytuacja. Chodzi mi tylko o to, żeby naszym dochodzeniu niczego nie przeoczyć.

— Rozumiem — Franek zupełnie się uspokoił. — Dobrze, towarzyszu majorze, spróbuję się dowiedzieć, z jakimi gośćmi zagranicznymi Kazimierski ostatnio jeździł na polowanie. I ta babka w czerwonym kabriolecie nie daje mi spokoju.

— Właśnie — podchwycił skwapliwie Grabicki. — Jeżeli ta cała historia nie jest wyłącznie wytworem wyobraźni żony oborowego, to rozmowa Kazimierskiego z tajemniczą nieznaną, siedzącą w czerwonym kabriolecie, wygląda dość sensacyjnie. U nas nie widuje się tego typu wozów. Ale nie bawmy się w domysły. Musimy zdobyć trochę konkretnego materiału, i to jak najprędzej.

Po wyjściu od majora Franek poszedł coś zjeść, a następnie wrócił do stadniny. Miał głowę pełną spiętrzonych, chaotycznych myśli, które musiał trochę uporządkować. Nie wierzył w to, żeby Stach wdał się w jakąś aferę szpiegowską, ale musiał przyznać rację Grabickiemu, że nie można było całkowicie wykluczyć takiej ewentualności.

Chciał w samotności zastanowić się nad tym wszystkim. Poszedł do swojego ulubionego parku za pałacem. Tutaj panowała idealna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu kumkaniem żab albo kwileniem jakiegoś ptaka.

Franek usiadł na porośniętym mchem ogromnym kamieniu i oparł głowę o potężną, może stuletnią olchę. Raz jeszcze pragnął dokładnie przeanalizować całą rozmowę majorem. Nagle tuż koło siebie posłyszał cichy, niespokojny szepot: — Panie poruczniku... panie poruczniku... — Drgnął gwałtownie i odwrócił się. Z krzaku leszczyny parzyły na niego ciemne, błyszczące oczy.

Kociuba tak był zaskoczony tym nagłym zjawiskiem, że w pierwszej chwili doznał uczucia jakiegoś zupełnie irracjonalnego lęku.

Nie miała chyba więcej niż piętnaście lat. Krótka ostrzyżona czupryna, połatane dżinsy i za luźny, zniszczony sweter. Wyglądała raczej na chłopaka.

— Pan mnie nie zna, panie poruczniku.

— Nie.

— Ale ja pana doskonale znam i wiem, że pan prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa Kazimierskiego. To był bardzo fajny facet. Szkoda go — westchnęła głęboko i podeszła bliżej do Kociuby.

— Czego chcesz? — spytał Franek. Zauważył teraz, że dziewczyna jest dobrze rozwinięta i może mieć szesnaście, a nawet siedemnaście lat.

— Potrzebuję forsę — odparła bez zażenowania. — Muszę mieć tysiąc złotych.

Franek poczuł się bardzo niewyraźnie. — Ode mnie na pewno nie dostaniesz — powiedział i wstał z kamienia.

Filuternie przymknęła jedno oko. — A może?

— Nie zwracaj mi głowy. Idź do domu.

— Szkoda — westchnęła i zrobiła ogromnie strapioną minę. — Szkoda, że pan traci taką okazję.

— Jaką okazję?

— Mógłby się pan dowiedzieć czegoś ciekawego w sprawie zamordowania Kazimierskiego, ale jeżeli pan nie chce...

Kociuba zmarszczył brwi. Ta dziewczyna zaczynała naprawdę działać mu na nerwy. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że ty coś wiesz na ten temat?

— Oczywiście. W przeciwnym razie nie zwracałabym panu głowy i nie traciłabym czasu. Chciałam panu pomóc, ale...

— No więc mów. Dziewczyna uśmiechnęła się chytrze. — A tysiąc złotych?

— Chcesz mi sprzedać tę informację?

— A dlaczegoż miałabym na tym nie zarobić? Panu potrzebna informacja, mnie potrzebna forsa... Normalka.

Franek z trudem powstrzymał się, żeby nie parsknąć śmiechem.

— I na cóż potrzeba ci tyle pieniędzy?

— To już moja sprawa.

— Jak ci na imię?

— Czy musi pan to wiedzieć? A zresztą i tak się pan dowie. Grażyna.

— Posłuchaj mnie, Grażyno — wziął ją za rękę, ale szarpnęła się energicznie i uskoczyła w bok.

— Tylko proszę bez żadnych poufałości! — krzyknęła.

Zmieszał się. — Chciałem ci tylko coś wytłumaczyć.

— Może mi pan tłumaczyć, nie trzymając mnie za rękę. To zupełnie zbyteczne.

Teraz z kolei westchnął Kociuba. — Dobrze. Jak chcesz. Czy wiesz, że obowiązkiem każdego obywatela jest zupełnie bezinteresownie dopomóc milicji w ujęciu mordercy?

— A czy pan przypuszcza, że wszyscy ludzie na świecie wypełniają tak solidnie swoje obowiązki?

— Mam nadzieję, że ty chcesz być dobrą obywatelką.

— Ja chcę mieć tysiąc złotych.

— A czy wiesz, co to jest szantaż?

— Wiem. Ale ja pana nie szantażuję, ja proponuję — Uczciwą transakcję handlową. Informacja za forszę.

— Gdzieś ty się nauczyła takich rzeczy?

— O ja jestem osobą wykształconą. Dużo czytam, oglądam telewizję. Teraz młodzież o wiele wcześniej dojrzewa umysłowo aniżeli kiedyś.

— To widać — mruknął Kociuba. — Ale ja ci i tak tysiąca złotych nie dam.

— Nie, to nie. Jak pan uważa. — Zniknęła tak nagle, jak się pojawiła.

## Rozdział VII

Mogiła Kazimierskiego porosła bujną trawą. Ludzie przestali pasjonować się tajemniczym morderstwem. Życie szeroką falą niesło codzienne zajęcia, troski, kłopoty. Każdy wrócił do swoich spraw. Żniwa były za pasem.

Nawet i Magda nie miała zbyt dużo czasu, żeby oddawać się rozpacz. Trzeba było pomóc rodzicom w gospodarstwie, sprzątnąć, ugotować, zająć się dziećmi. Wieczorem tak była zmordowana, że zasypiała natychmiast. Często nie zdążyła nawet zmówić pacierza. Ale bywały momenty, że jakiś drobniak, jakiś ruch, jakieś słowo przypominały jej Stacha i wtedy taki straszny żal chwycił ją za serce, że miała ochotę krzyczeć, wyć, bić głową o ścianę. Zdawało jej się, że nie wytrzyma, że umrze albo zwariuje. W takich chwilach ratowały ją dzieci. Kiedy posłyszała wołanie: „Mamo...!” — zapominała o swojej tragedii. Poczucie, że jest niezbędna tym małym istotom, że musi dla nich żyć, było silniejsze od wszystkiego.

Franek nieraz myślał o Magdzie i chciał jej pomóc, ale nie bardzo wiedział jak. Czuł, że powinien ją odwiedzić. Nie mógł się jednak na to zdecydować ze względu na Hanię. Wiedział, że jest zazdrosna, i nie chciał jej zrobić przykrości. Rozmowa z rodzicami niewiele dała. Koniuszy w sprawie Magdy miał ustalone zdanie.

— Życie jest życiem — mówił, pykając fajkę, — Jak trochę przyjdzie do siebie, zapomni, to najlepiej, żeby powtórnie wyszła za męża. Kobieta ładna, gospodarna, przyjemna. Na pewno znajdzie sobie chłopca.

— Co też ty wygadujesz, ojciec — oburzyła się Kociubowa. — Dopiero kochanego męża straciła, a ty ją już chcesz swatać? Obraza boska.

— Przecie nie mówię, żeby zaraz — bronił się koniuszy. — Pewnie, że musi trochę tamtego zapomnieć. Ale czas najlepiej goi wszystkie rany. Za rok, może za dwa... Kto to wie? Trafi się jaki porządny człowiek. Kobiecie trudno bez chłopca, a i dzieci lepiej się chowają, jak męską rękę czują nad sobą.

— Dajże spokój — ofuknęła go żona. — Dopiero pogrzeb, a ty już o weselu mówisz.

Franek przysłuchiwał się tym rozmowom rodziców. W duchu przyznawał ojcu rację, ale wiedział, że są to bardzo odległe plany i że nie można w tej chwili szukać Magdzie męża. Należało coś innego dla niej wymyślić, jakoś zorganizować jej życie. Ale jak?

Któregoś popołudnia pojechał motorem do leśniczówki i namówił Hanę na spacer. Poszli do lasu. Sosny pachniały rozgrzaną żywicą, a promienie słońca, przesiane przez gałęzie drzew, błyszcząły złotem na krzakach jałowca.

Szli czas jakiś w milczeniu, trzymając się za ręce.

— Myślę, że powinieneś odwiedzić Magdę — powiedziała Hanka.

Zatrzymał się. — Tak uważasz?

— Oczywiście.

— Chciałem, ale...

— Ale co?

— No wiesz... Tak jakoś...

Spojrzała na mego zdziwiona. — O co ci chodzi?

— Rozumiesz... Bałem się, że może ci będzie przykro, że ja do Magdy...

— Zwariowałaś?! — wykrzyknęła oburzona. — Takie straszne nieszczęście, a ty mogłeś przypuszczać, że ja... Jesteś skończony idiota. Za kogo ty mnie w ogóle uważasz?

Franek stał speszony, zakłopotany. Wyglądał jak uczeń, którego karcni surowy nauczyciel. — Nie wiedziałem, jak się do tego ustosunkujesz — bąknął.

— Jutro pojedziesz do Magdy — powiedziała autorytatywnie. — Teraz, kiedy została sama, musi się jakoś zorganizować. Trzeba jej pomóc. Nie może ciągle siedzieć u rodziców i karmić kury. A zresztą słyszałam, że jej ojciec ma zamiar zrezygnować z gospodarki i przejść na emeryturę.

Franek pokiwał głową. — Tak. Podobno. Ja także o tym słyszałem. Wszyscy teraz dookoła rzucają ziemię. Jak tak dalej pójdzie, to nie będzie u kogo kupić słomy na podściółkę dla koni.

Hanka wzruszyła ramionami. — Cóż chcesz? Młodzi uciekają ze wsi do miasta, a starzy nie mogą sobie dać rady z gospodarką. Brakuje rąk do pracy. Niedługo w ogóle zabraknie indywidualnych gospodarstw chłopskich. A wtedy nasza sytuacja ekonomiczna...

— Daj spokój — przerwał jej Franek, czując, że się zanosi na dłuższy wykład. Indywidualne gospodarstwa chłopskie to był ulubiony konik Hanki. Godzinami mogła mówić na ten temat.

Uśmiechnęła się. — Dobrze, dobrze. Już cię nie będę zadręczała problemami ekonomicznymi. Wiem, że cię to nudzi.

— Wcale mnie nie nudzi — zaoponował energicznie. — Tylko to jest przelewanie z pustego w próżne. I tak nic na to nie poradzimy.

— Ja mam trochę inny pogląd na te sprawy, ale mniejsza z tym. A wracając do naszej poprzedniej rozmowy, to chyba Magda musi się zająć czymś konkretnym i zdobyć jakiś zawód.

— To nie ulega wątpliwości — zgodził się Franek.

— Więc ustalamy, że jutro jedziesz do Magdy.

— A ty nie będziesz miała do mnie żalu?

— Nie wygłupiaj się.

Objął ją i wyściskał z całej siły.

— Oszalałeś? Puść mnie w tej chwili, bo mi wszystkie żebra połamiesz.

— Hanka! Żebyś wiedziała, jaka ty jesteś fajna dziewczyna.

— A cóżeś ty myślał? Głupi.

W doskonałych nastrojach wrócili do leśniczówki.

— Cóż wam się tak oczy świecą? — spytała stara Maciejczakowa.

— Wesoło nam, mam — zaśmiała się Hanka.

Leśniczy pogroził im palcem. — Ej, ej, uważajcie, żeby wam się data chrzcin z datą wesela zgodziła.

Magda okopywała grządki w ogrodzie. Na widok Franka nie mogła powstrzymać łez. Płakała długo, spazmatycznie. Nie próbował jej pocieszać. Nie znajdował słów, które mogłyby przynieść jej ulgę. Czekał, aż się wypłacze.

Wreszcie uspokoiła się, wytarła oczy fartuchem i powiedziała cicho: — Przepraszam, Franuś. Nie gniewaj się, ale jak ciebie zobaczyłam...

Delikatnie pogładził ją po dłoni. — Rozumiem, Magduś, doskonale rozumiem. Trzeba długiego czasu, żeby się w tobie to zagoiło.

— Nigdy, nigdy nie zapomnę Stacha — powiedziała z nagłą energią. — Moje życie już się skończyło i gdyby nie dzieci... Dla dzieci teraz żyję, tylko dla dzieci.

Franek nie bardzo wiedział, co mówić i jak nawiązać do sprawy, z którą tu przyjechał. Nie miał żadnego doświadczenia w tego rodzaju sytuacjach. Nie przypuszczał, że to będzie aż tak trudne.

Zaczął więc wypytywać się o dzieci, o zdrowie rodziców i po jakimś czasie zaproponował mały spacer. Magda zgodziła się chętnie.

Szli szeroką miedzą pomiędzy łanami pszenicy. Ciężkie od dojrzewającego ziarna kłosa kołysały się łagodnie pod podmuchem ciepłego wiatru. Pachniało zbożem, ziołami i nagrzaną słońcem ziemią.

— Wiesz, Magda — powiedział po chwili Franek. — Tak sobie myślałem, że powinnaś się czymś zająć.

— No, przecież z założonymi rękami nie siedzę — odparła urażona. — Roboty mi nie brak.

— Wiem, wiem — przytaknął skwapliwie. — I rodzicom pomagasz w gospodarce, i dziećmi trzeba się zająć, ale ja nie o tym chciałem mówić.

— A o czym?

— Bo widzisz... — Franek odchrząknął i schylił się, żeby zerwać duży, czerwony mak. — Widzisz... Tak sobie kombinowałem, że przecież jesteś młoda, niegłupia kobieta, to może warto by, żebyś się jakiegoś fachu wyuczyła. Teraz, kiedy zostałam sama z dziećmi... Zawsze mogłabyś lepiej zarobić, jakbyś coś skończyła, coś umiała. Rozmawialiśmy nawet na ten temat z Hanką.

— Z Hanką?

— Tak. Zgadało się o tym i o owym, no i właśnie...

— A czegoż ja bym się mogła uczyć?

— Nie wiem, ale teraz tyle jest różnych możliwości, tyle szkół, kursów specjalistycznych, rozmaitych liceów. Musiałabyś się zastanowić, pomyśleć... Nawet i zaocznie coś można skończyć. Rodzice twoi jeszcze nie tacy starzy. Matka zajęłaby się dziećmi. Jakby się koło tego pokręcić, to może można by się o jakie stypendium dla ciebie wystarać. Staszek miał jak najlepszą opinię, zginął w czasie pełnienia służby. Na pewno wzięto by to pod uwagę.

— Dziękuję ci, Franek, i podziękuj ode mnie Hance. Jesteście bardzo kochani, że się o mnie troszczycie.

— A jakże mogłoby być inaczej. No więc jak? Pomyślisz o jakiej nauce?

— Pomyślę.

— To bardzo się cieszę. Dobrze by było, żebyś nawet na jakiś czas pojechała do miasta. Inne otoczenie, inne warunki życia... Nie myślałabyś ciągle o jednym.

Franek umilkł. Dopiero po dłuższej chwili znowu się odezwał: — Słuchaj, Magda... Sam nie wiem, jak to powiedzieć, ale...

— Mów śmiało. Chyba ze mną nie potrzebujesz robić żadnych ceregieli.

Podrapał się w głowę. Miał bardzo zakłopotaną minę. — Bo oprócz tego wszystkiego, to ja bym chciał z tobą porozmawiać trochę o Staszku, tylko nie wiem, czy... czy dla ciebie to jeszcze nie za bardzo przykre.

— Jego śmierć zawsze będzie dla mnie tak samo bolesna. Są rzeczy, których nie można zapomnieć, żeby nie wiem co. Powiedz, o co ci chodzi.

Franek westchnął. Postanowił jasno postawić sprawę.

— Bo widzisz, Magda... Ja trochę pomagam tutejszej milicji. Znam teren, znam ludzi. Mogę się przydać. A niezależnie od wszystkiego przyrzekłem sobie, że znajdę tego mordercę, choćby się pod ziemię skrył. Nie daruję, nie daruję, psia mać, żebym miał za nim na koniec świata jechać.

Uśmiechnęła się smutno. — Ja nie pragnę zemsty. Nic mi po tym, że go powieszają. To mi nie wróci Stacha.

— Ja się na te sprawy trochę inaczej zapatruję — powiedział z ożywieniem Franek. — Ale nie o

tym chcę z tobą mówić. Chciałbym cię prosić, żebyś mi trochę pomogła.

— Pomogła? A jakżeż ja ci mogę pomóc?

— Na pewno możesz. Żona zna swojego męża lepiej niż wszyscy inni ludzie. Wie o różnych sprawach...

— O jakich sprawach? Powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

— No, to już powiem. Chodzi mi o Machowiaków.

— O Machowiaków?

— Tak. Od dłuższego czasu zastanawiam się nad tym, dlaczego Stach z Machowiakami był na bakier? O co im poszło?

Magda przystanąła, odwróciła głowę i zaczęła wyłuskiwać z kłosa niedojrzałe ziarno. — Dlaczego myślisz, że Stach miał coś do Machowiaków? — spytała po chwili.

— Może on miał coś do Machowiaków albo Machowiakowie do niego. Tego nie wiem. Fakt jest, że tam coś między nimi było. Właśnie od ciebie chciałem się dowiedzieć.

— Ja nic nie wiem.

Wziął ją za ramiona odwrócił ku sobie i spojrzał jej prosto w oczy. — Słuchaj, Magda, my tego drania, który zastrzelił Stacha, musimy znaleźć. Rozumiesz? Musimy! Przecież chyba nie chcesz, żeby morderca twojego męża chodził sobie spokojnie na wolności.

— Kiedy ja naprawdę nie wiem. Staszek mi się z takich rzeczy nigdy nie zwierzał.

— Z jakich rzeczy?

— No, z takich różnych nieporozumień w pracy.

— To jednak były między nimi jakieś nieporozumienia.

— Tak mi się zdaje.

— A z czego to wywnioskowałaś?

— Stach parę razy chodził do obory i wracał stamtąd jakiś rozdrażniony, zły. Dawniej nigdy się oborą nie interesował i z Machowiakiem się nie widywał. Parę razy nawet o to pytałam, ale zbył mnie byle czym. Nie lubił, jak się wtrącałam do jego spraw. Już taki był. A poza tym Machowiakowa...

— Co Machowiakowa?

— Złym okiem na mnie patrzyła. Kiedyś spotkałyśmy się w sklepie, to jak na mnie spojrzała... Jakby mnie chciała zabić. Nawet mi dzień dobry nie powiedziała.

— Ale o co konkretnie chodziło?

— Nie wiem.

Franek zawahał się chwilę, ale wreszcie machnął ręką i powiedział: — Mówiła mi Machowiakowa, że widziała, jak kiedyś Staszek rozmawiał w lesie z elegancką babką, która siedziała w otwartym wozie. Słyszałaś coś o tym?

— Tak. Stach mi wtedy opowiadał, że spotkał w lesie jakąś panią, która pytała go o drogę. Ale po te okulary nie zgłosiła się.

— Po jakie okulary?

— Stach przywiózł wtedy z lasu okulary w takim bardzo eleganckim skórzanym futerale. Powiedział, że pewnie ta pani zgubiła, bo właśnie w tym miejscu je znalazł, i że może będzie szukała tych okularów. Ale nie przyjechała.

— Masz te okulary?

— Mam w domu.

— To przeciwsłoneczne?

— Nie. Białe szkła. Ale ja przez nie nic nie widzę. Próbowałam.

— W takim razie optyczne. Chciałbym mieć te okulary.

— Jak tylko wrócę do domu, to ci je dam.

— I Stach nie znał tej babki?

— Mówił, że nie, że ją pierwszy raz widział. Po prostu zabłądziła w lesie, spotkała przypadkowo Stacha i spytała o drogę.

— Po diabła jeździła po lesie wozem?

— Tego nie wiem.



Franek zamyślił się. — Dziwna historia. Elegancka babka jeździ po lesie kabrioletem, gubi okulary... Musiała wyjść z wozu, żeby je zgubić.

— Może i wyszła.

— Ciekawe, bardzo ciekawe.

Magda spojrzała na niego uważnie. — Słuchaj no, Franek, chyba nie przypuszczasz, że Stach się z nią umówił w lesie, że specjalnie z nią się spotkał.

Potrząsnął głową. — Nie, tego nie przypuszczam. Gdyby to była jakaś randka, toby tobie o tym nie opowiadał, a zresztą Stach nie interesował się żadnymi kobietami. Tylko ciebie kochał. Wiem na pewno.

— Tylko mnie kochał — powtórzyła cicho i spuściła głowę.

Umilkli. Magda otarła z łez oczy i ruszyła przodem, Franek szedł tuż za nią, głęboko zamyślony. Dziwne spotkanie Stacha z tą tajemniczą damą zastanawiało go i niepokoiło. Instynktownie wyczuwał, że za tym kryje się coś więcej aniżeli przypadkowe zapytanie o drogę. Ale w takim razie, dlaczego Stach zwierzył się z tego spotkania Magdzie? Przecież to nie było konieczne. A może zauważył, że był obserwowany? Może wiedział, że Machowiakowa... Tak... w tym wypadku jego szczerość byłaby wytłumaczona. Wolał opowiedzieć Magdzie o tej rozmowie i uprzedzić ewentualne plotki. Drugą sprawą, nasuwającą pewne wątpliwości, były te okulary. Trudno przypuścić, żeby ktoś zgubił okulary, a właściwie futerał z okularami, siedząc za kierownicą. Krótkowidz, prowadzący wóz, ma okulary na nosie. Dalekowidz tego nie potrzebuje. Musi natomiast wkładać okulary do czytania i pisania. Można więc było przypuszczać, że owa nieznajoma wysiadła z kabrioletu i wyjęła z torby okulary, chcąc coś przeczytać albo coś napisać. Ale czy dla Stacha Kazimierskiego była ona rzeczywiście osobą nieznajomą?

— Coś się tak zamyślił? — spytała Magda.

Franek uśmiechnął się. — Ano, rozmyślałam o tym wszystkim. To nie są proste sprawy.

— Zostaniesz u nas na obiedzie?

— Dziękuję ci bardzo, ale nie mogę. Muszę wracać. Mam coś jeszcze do załatwienia, a poza tym chciałbym się zobaczyć z majorem Grabickim.

Nie nalegała. Poprawiła chustkę na głowie i zawróciła ku domowi. W drodze powrotnej prawie wcale nie rozmawiali. Franek wszystko, co usłyszał, i to, czego się tylko domyślał, usiłował sobie ułożyć w jakąś logiczną całość, Magda zaś zastanawiała się nad tym, dlaczego w ostatnich dniach krowy zaczęły dawać chudsze mleko.

Dopiero siadając na motor, Franek powiedział: — Zastanów się nad tą nauką. Za parę dni wpadnę do ciebie, to jeszcze o tym pogadamy.

— Dziękuję, Franuś. Podziękuj ode mnie Hance.

Jeszcze tego samego wieczora Kociuba wybrał się do klubo-kawiarni „Ruchu”. Jadwiga Lewandowska, żona podkoniuszego, od wielu lat prowadziła tę pożyteczną placówkę. Mimo swej niepozornej postaci i zabawnej, pucołowatej twarzy, ozdobionej ogromnymi okularami, potrafiła utrzymać w ryzach wiejskich chłopaków, a jednocześnie udało jej się stworzyć w klubie taką atmosferę, że młodzież chętnie tu przychodziła pograć w szachy, przejrzeć czasopisma, popatrzeć na telewizję i wreszcie poflirtować przy filiżance kawy. Nikt nie odważył się przyjść pijany czy choćby pod tak zwanym „humorkiem”. Liczono się bardzo z panią Jadwigą, którą jakimś tajemniczym sposobem zdobyła sobie autorytet i sympatię wśród młodzieży. Nierzadko też dziewczęta zwierzały się jej ze swych kłopotów sercowych, prosząc o radę, a nawet o interwencję w bardziej skomplikowanych sytuacjach. Z Frankiem znali się od dawna.

— Dobry wieczór, panie Franiu. Cieszę się, że nas pan odwiedził. Można pana poczęstować gorącą kawką? Świeżo zaparzyłam.

Kociuba pochylił się nad kontuarem i powiedział cicho: — Chciałbym z panią pogawędzić, pani Jadziu, ale tak trochę poufnie.

Wskazującym palcem pchnęła ku górze zsuwające jej się po nosie ciężkie okulary i rozejrzała się. Niewielka salka była wypełniona młodzieżą. Ani jednego wolnego stolika.

— Jeżeli to coś poufnego, to może lepiej przyjdzie pan, kiedy będę zamykać. Tak około dziesiątej.

— Chyba ma pani rację. Dziękuję.

Wieczór był ciepły, pogodny. Północny wiatr, który dał przez cały dzień, ucichł teraz zupełnie i powietrze było spokojne, łagodne, nasycone zapachem ziół i dojrzewających zbóż. Klacze ze źrebiętami zeszły z pastwiska. W domach masztalerzy tu i ówdzie zabłysło światło. Kończył się pracowity dzień stadniny.

Franek szedł wolno drogą, biegnącą pomiędzy padokami. Myślał o tym, jak życiem Judzkim rządzi nieraz ślepy traf, przypadek. Bo przecież gdyby Kazimierski akurat wtedy nie pojechał do lasu, to, być może, żyłby dotychczas. Jakiś tragiczny zbieg okoliczności, że właśnie tam, w tym miejscu, spotkał się z mordercą. A może umówili się. Może to wszystko było z góry zaplanowane? Może podczas rozmowy wytworzyła się taka sytuacja, że tamten doszedł do wniosku, że musi zabić? Tamten? Skąd pewność, że to był mężczyzna? A może kobieta? Ktoś poczęstował Stacha czekoladą. Ten fakt wskazywałby raczej na to, że zbrodni dokonała kobieta. A może i mężczyzna, i kobieta? W każdym razie to był ktoś, kogo Kazimierski dobrze znał. Inaczej nie dałby się tak zaskoczyć i zastrzelić ze swojej własnej strzelby. Przecież nie był małym dzieckiem. Widział już w życiu niejednego kłusownika.

Wszystko się zmieniło. Jedno naciśnięcie spustu i jest zupełnie inaczej. Magda... dzieci... Cała rodzina rozbita nagle, tragicznie. Jakżeż podły musi być człowiek, który z zimną krwią, z premedytacją zabija. Cóż znaczy jeden nieudany urlop wobec takiej strasznej tragedii. Franek westchnął. Tak się cieszył na ten wyjazd na wieś. Miał to być wesoły, beztroski wypoczynek po wyczerpującej, nerwowej pracy, a tymczasem...

Nagle poderwał się zając, drzemiący pod przydrożnym krzakiem, i przerażony pognął przez pastwisko. Wrony z monotonnym krakaniem usadawiały się na noc na pojedynczych drzewach albo leniwie machając skrzydłami leciały w kierunku lasu. Niebo, rozjaśnione ostatnimi blaskami odchodzącego dnia, poczęło nabierać granatowej barwy. Tylko na zachodzie zostało jeszcze trochę gasnącej czerwieni. Parę minut przed dziesiątą Franek był z powrotem w kawiarni. Chłopcy i dziewczęta rozeszli się już do domów. Tylko nieliczni stali jeszcze przed klubem i, nie mając ochoty zrezygnować z pięknego wieczoru, gawędzili, pailili papierosy i poszturchiwali się wesoło.

— O, dobrze, że pan przyszedł — powiedziała z uśmiechem Lewandowska. — Właśnie miałam zamiar zlikwidować mój kramik. Trzeba trochę się przespać, pogadać z mężem. Bardzo narzeka, że go zaniedbuje, że sam musi sobie szykować kolację.

Franek pokiwał głową. — I nie dziwota. Ja także bym narzekał, jakbym cały dzień żony w domu nie widział.

Wzruszyła ramionami. — Ano cóż... Trzeba przecież i dla innych coś zrobić, nie tylko myśleć o swojej wygodzie. Lepiej, jak chłopaki z dziewczynami tutaj posiedzą, niżby mieli gdzie w rowie wódkę pić.

— Oczywiście. Wspaniałą robotę pani robi. Podziwiam panią, pani Jadziu. Tyle poświęcenia...

— Własnych dzieci nie dochowałam się — powiedziała cicho. — No, to... — Zamyśliła się przez chwilę, ale zaraz otrząsnęła się z melancholijnej zadumy. — Trzeba zamykać. Pomoże mi pan, panie Franiu?

— Już się robi. — Żwawo zabrał się do zamykania okiennic. Potem otrzepał ręce i spojrzał pytająco. — No co? Może panią odprowadzę do domu?

— Dobrze.

Lewandowscy mieszkali na końcu wsi w jednopiętrowa, niedawno postawionym domu. Dalej już był las.

Szli wolno brzegiem szosy. Franek prowadził rower pani Jadwigi.

— Zdaje się, że miał pan do mnie jakiś interes — powiedziała, kiedy milczenie zaczynało się zbyt długo przedłużać.

— Ano właśnie. Chciałem się od pani dowiedzieć czegoś o Grażynie.

— O jakiej Grażynie?

Nie chciał dokładnie powtarzać dziwnej rozmowy w starym parku, powiedział więc tylko: — Taka trochę niesamowita dziewczyna, ruda, w dzinsach, wygląda na postrzeloną.

— Taka dosyć wysoka, piegowata?

— O to, to. Właśnie. Dobrze zbudowana, piegowata...

— To Grażyna Bednarska, bratanica kowala.  
— Nigdy jej tutaj przedtem nie widziałem.  
— Bo dopiero kilka miesięcy temu przyjechała. Matka jej umarła, ojciec pije... Uciekła z domu. Bednarscy ją przygarnęli, ale mają z nią tyle kłopotu, że...  
— Nie chce się uczyć?  
— Gdzie jej tam nauka w głowie. Lata za chłopakami i tyle. Nawet i ja próbowałam z nią rozmawiać, ale to trudna sprawa.  
— Ile ona może mieć lat?  
— Będzie miała z piętnaście.  
— Wygląda na więcej.  
— To prawda. Rosła dziewczucha. Ale co się pan tak tą Grażyną zainteresował, panie Franiu? Lubi pan takie rude i piegowate? A zresztą, trochę dla pana za młoda.  
Franek roześmiał się. — Podejrzewa mnie pani o to, że chcę uwieść nieletnią?  
— A bo ja wiem. Myślę, że każdego mężczyznę można o wszystko podejrzewać.  
— Nie ma pani najlepszego wyobrażenia o płci brzydkiej.  
— Chyba nie.  
— Więc mogę panią zapewnić, pani Jadziu, że nie zakochałem się w tej Grażynce. Chciałem się o niej tylko czegoś dowiedzieć. Po prostu zobaczyłem tutaj nową twarz...  
— Czy ta dziewczyna ma coś wspólnego ze śledztwem w sprawie zamordowania Kazimierskiego?  
— spytała nagle Lewandowska.  
Kociuba potrząsnął głową. — Nie... Skądże... Może tylko pośrednio.  
— To znaczy?  
— To znaczy, że interesuje mnie każda nowa twarz, spotkana na tym terenie, każdy, kto może ewentualnie cokolwiek powiedzieć na temat tej zbrodni.  
Spojrzała na niego uważnie i uśmiechnęła się. — Coś pan kręci, panie Franiu. Powiedział pan przecież, że Grażyna pośrednio może być zamieszana w tę sprawę.  
— Chyba źle to sformułowałem. Po prostu nie to chciałem powiedzieć — wycofywał się pośpiesznie. — Czasem człowiek tak niezręcznie...  
Poprawiła okulary, które znowu zsunęły jej się na koniec nosa. — Niech się pan nie tłumaczy. W gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi. A co do Grażyny, to... No cóż... Trudna dziewczyna, bardzo trudna, a jednocześnie inteligentna, bystra, sprytna.  
— Hm — mruknął Kociuba. — Wydaje mi się, że ta charakterystyka jest bardzo skrótowa, ale trafna.  
— Gdzie pan się z nią spotkał?  
— Tak zupełnie przypadkowo, przechodząc za pałacem.  
Zatrzymali się przed drewnianą furtką, zamkniętą na haczyk. Niski płot odgradzał od drogi kolorowe kwiaty i grządki z warzywami.  
— No to... już chyba pana pożegnaj, panie Franiu — wyciągnęła rękę i dodała: — Niech pan wpadnie do mnie jeszcze kiedyś do klubu. Dostanie pan dobrej kawy. Dobranoc.  
Nie od razu odszedł. Zamyślony postąpił przez chwilę na szosie i patrzył, jak Lewandowska otwiera drzwi i wchodzi od ciemnej sieni. Potem w kwadracie oświetlonego okna zobaczył sylwetkę mężczyzny. To nie było udane małżeństwo.

Prawie cały następny dzień Franek polował na bratanicę kowala. Chciał, żeby to spotkanie wypadło zresztą, tak zupełnie „przypadkowo”. Wolał nie organizować urzędowego przesłuchania. Wiedział, że jak tego typu dziewczyna zatnie się, to nikt z niej niczego nie wydobędzie. Nie miał oczywiście żadnej pewności, czy Grażyna wie cokolwiek i czy cała ta rozmowa w parku nie była po prostu głupim żartem lub wynikiem mitomanii. Dziewczęta w tym wieku bardzo często wymyślają sobie najrozmaitsze niezwykle historie, w które z czasem same zaczynają wierzyć. Nie można było tego wszystkiego brać zbyt poważnie, ale Kociuba postanowił nie zaniedbać niczego, co mogłoby naprowadzić na ślad mordercy.

Spotkał ją dopiero późnym popołudniem. Siedziała nad brzegiem mulistej rzeczki i, podwinąwszy

do kolan dzinsy, moczyła nogi. Zabawiała się rzucaniem w wodę kamieni, grudek ziemi i małych gałązek.

— Dobry wieczór.

Szybko odwróciła głowę. Na jej gęsto usianej piegami twarzy pojawił się drwiący uśmiešek. — A, pan Sherlock Holmes! Dobry wieczór. Może ma pan ochotę puścić kaczkę. Dam panu parę płaskich kamyków.

— Dziękuję. Nie mam ochoty puszczać kaczek, a te kamyczki schowaj sobie na pamiątkę. — Usiadł koło niej zaczął cicho pogwizdywać.

— No i co? Namyślił się pan? — spytała po chwili.

— Nie rozumiem, o czym mówisz.

— Niech pan nie udaje. Doskonale pan rozumie. Mówię tej transakcji, którą panu zaproponowałam. Ta forsa ciągle mi potrzebna. Tysiąc złotych. No, niech będzie dziewięćset, ale ani grosza mniej.

Wzruszył ramionami. — Mnie już nie interesuje ta cała historia. Wracam do Warszawy, do swojej pracy.

— Naprawdę? To pan nie będzie prowadził śledztwa w sprawie Kazimierskiego?

— Nie. Tą sprawą zajmuje się major Grabicki z komendy wojewódzkiej. Z nim możesz sobie pohandlować.

— Jeszcze czego? Żeby mnie zamknął do pudła? Nie, nie... Wolę nie ryzykować.

— A dlaczego to sądzisz, że ja cię nie zamknę do pudła?

Spojrzała na niego spod rzęs i wyduła wargi. W całym jej zachowaniu było coś bardzo sztucznego. Robiło to takie wrażenie, jakby odgrywała jakąś dawno wyreżyserowaną rolę, trochę nonszalancji, trochę drwiny i wreszcie pozornie swobodnego cynizmu. Niewątpliwie chciała pozować na dorosłą, doświadczoną kobietę, która dużo przeżyła i posiada bogate doświadczenie.

— E... pan by mnie nie zamknął.

— Dlaczego tak przypuszczasz?

— Bo pan jest swój chłop, tutejszy. Jak by to wyglądało, gdyby pan chciał mnie zaprowadzić do kicia? Co by ludzie powiedzieli? Po prostu panu nie wypada, jakoś nieładnie...

Nie podjął tego tematu. Od pewnego czasu przyglądał się kilku płaskim kamieniom, które leżały na trawie koło dziewczyny. Wreszcie uległ pokusie. Wstał, zgiął nogi w kolanach i zamachnąwszy się energicznie, rzucił spory, błyszczący krzemień, który pięć razy odbił się od powierzchni wody.

Klasnęła w dłonie. — Brawo! Fantastycznie. A wie pan, że pan jest całkiem fajny. Niech pan jeszcze raz spróbuje.

Następny kamień był mniejszy i odbił się tylko trzy razy.

— Trochę gorzej, ale także w dechę. Ma pan dryg do puszczenia kaczek. A w ogóle to wydaje mi się, że ma pan do wszystkiego dryg. — Zmrużyła oczy i zaczęła mu się tak natrętnie przyglądać, że zaczęło go to niecierpliwic.

— Czego mi się tak przyglądasz?

— Bo mi się pan podoba.

Roześmiał się. — Słuchaj no, moja mała, może byś tak przestała się zgrywać? Co ty na to?

— Ja się nie zgrywam.

— No to się wygłupiasz, co mniej więcej na jedno wychodzi.

— Och! — westchnęła żałośnie. — Nigdy człowiek nie może być szczerzy.

— Co ty właściwie robisz? — spytał Kociuba.

— Niewiele. Właściwie prawie nic.

— Uczysz się?

— Teraz są wakacje.

— A w ogóle chodzisz do jakiejś szkoły?

— Skończyłam podstawówkę.

— I co dalej?

— Nic.

— Masz chyba jakieś plany na przyszłość.

— Czy koniecznie trzeba mieć jakieś plany?

— No... raczej tak.

Wzruszyła ramionami i rzuciła sporą grudkę ziemi na wodę. — Nie mam żadnych planów. Właściwie wszystko mnie jakoś nudzi.

Zachnął się. Zaczynała go denerwować. — Nie udawaj zblazowanej. To bardzo głupie. Ile ty masz właściwie lat?

— Prawie szesnaście.

— Już nie jesteś dzieckiem. Powinnaś wiedzieć, czego chcesz.

— Chce, żeby mnie pan przestał męczyć. To, co pan mówi, wcale nie jest ciekawe.

Urwał źdźbło trawy i wsunął je między zęby. Najchętniej skończyłby już tę idiotyczną rozmowę, ale ciągle jeszcze się łudził, że może czegoś sit, dowie.

— Powiedz mi, Grażyno, co ty byś chciała robić?

— Ja chciałabym zostać wielkomięską prostytutką. To znaczy... taka lepszą... taką kokotą, jak na przykład ta... jak „Dama Kameliowa”. Czytał pan „Dagę Kameliową”. To Dumasa, tego młodszego, syna.

— Czytałem — skłamał Kociuba. — I sądzisz, że życie takiej kobiety jest interesujące?

— W każdym razie bardziej interesujące aniżeli dojenie krów i macanie kur. Ja bym była taką lepszą, dewizową. Wie pan? Znajomości z cudzoziemcami, przejażdżki luksusowymi wozami, kolacje w eleganckich lokalach, dansingi. To jest życie. Ale to wszystko nie dla mnie. — Machnęła ręką z rezygnacją. — Nie dla mnie — powtórzyła. — Niech mi się pan dobrze przyjrzy. „Dama Kameliowa” z taką piegowatą gębą? Z czym do gościa? Szkoda gadać. Nogi jeszcze by może uszły, ale te cholerne piegi... — Ze złością rzuciła kamień.

— Słuchaj — powiedział energicznie Kociuba. — Pomówmy poważnie. To wszystko przecież są bzdury. Powinnaś się czegoś uczyć, zdobyć sobie jakiś zawód.

— Po co?

— Choćby po to, żeby się uniezależnić, żeby...

— To mi niepotrzebne.

— Musisz przecież coś robić.

— Do końca życia będę karmiła stryjskie świniaki i będę moczyła nogi w tym bajorze. Co mi tam.

— A jak stryj umrze?

— To komu innemu będą pomagała w gospodarstwie.

— Nie masz żadnych ambicji? Nie chcesz do niczego w życiu dojść?

— Mówiłam już przecież panu, że chciałabym zostać kokotą ale to nierealne.

— Trudno się z tobą dogadać.

— Z panem też nie tak łatwo.

— O czym mówisz? Nie rozumiem.

— E... Bo pan mnie chce na siłę umoralniać, ale to nie da rady. Szkoda czasu. Czy pan dawno pracuje w milicji?

— O, już dobrych parę lat.

— To może być ciekawa praca. Ja chyba mam takie detektywistyczne zdolności. Wie pan co? Jak mi się nie uda pozbyć tych piegów i zostać kokotą, to może wstąpiłabym do milicji, co? To jest pomysł. No nie?

— Musiałabyś zdać maturę.

— E, to frajer. Jakbym tylko chciała, to w try miga zdałabym maturę.

— No, to spróbuj.

— A pomoże mi pan dostać się do milicji?

— Pomogę ci.

— Oj, to kławo. Bo wie pan? U nas bez protekcji ani rusz, ale jak mnie pan poprze, gdzie trzeba...

— Najprzód zdaj maturę, a potem pogadamy.

— Ale ja nie chcę stać na skrzyżowaniu i kierować ruchem. To mnie wcale nie bawi. Ja chcę prowadzić śledztwo, rozwiązywać jakieś bardzo skomplikowane zagadki kryminalne. To mogłoby mnie fascynować.

— No cóż... Są u nas w milicji kobiety, które prowadzą dochodzenia.  
— Więc mogę na pana liczyć?  
— Możesz.  
— To dziękuję bardzo. Odwdzięczę się panu. Zobaczy pan. Ja nie jestem taka głupia na jaką wyglądam. Ale, ale... Przecież pan nie dlatego tutaj siedzi i rozmawia ze mną o Maryni, żeby podziwiać moje piegi. Chce się pan przecież czegoś dowiedzieć o zamordowaniu Kazimierskiego, ale nie ma pan forsy. — Machnęła ręką. — A niech diabli wezmą te tysiąc złotych. Powiem panu tak zupełnie bezinteresownie.  
— Słucham cię... — Kociuba usiłował nadać obojętne brzmienie swojemu głosowi.  
Grażyna szybkim ruchem odgarnęła kosmyk rudych włosów, spadający jej na czoło, i rozejrzała się, jakby chcąc sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. — Wszystko wskazuje na to, że Machowiak kropnął Kazimierskiego — powiedziała bardzo cicho.  
— Co wskazuje na to? — spytał równie cicho Kociuba. — Dlaczego tak przypuszczasz?  
— Normalka.  
— Nie rozumiem. Mów wyraźniej.  
— Kazimierski wiedział o machlojach Machowiaka. Był dla niego niebezpieczny. W każdej chwili mógł sypnąć. No to... Rozumie pan teraz?  
— Ale o jakich machlojkach Machowiaka mówisz?  
— Cielęta. Przecież Machowiak to oborowy. Takie rasowe cielę, to pan wie... No, chyba już pan kapuje, o co chodzi?  
Kociuba kiwnął głową. — Tak. Zdaje mi się, że już rozumiem. Jesteś tego pewna?  
— Jakbym nie była pewna, to nie gadałabym byle czego. Ja do Machowiaków nic nie mam, ani mnie oni ziębią, ani grzeją. Po cóż miałabym takie bajki opowiadać?  
— A skąd to wiesz?  
— Skąd wiem, to wiem. To moja sprawa. I niech pan nie próbuje niczego więcej ze mnie wyduszać, bo nic nie powiem. A jak pan zabierze mnie do komendy czy do prokuratora, to zaprzeczę, że coś takiego w ogóle powiedziałam. Pomyślą, że panu coś się koci.  
— Dobra! — Kociuba wstał i otrzepał spodnie. — W każdym razie dziękuję ci.  
— A pomoże mi pan dostać się do milicji?  
— Pomogę, ale, jak już powiedziałem, najprzód musisz zdać maturę.  
— Zrobi się. Wie pan co? Lepiej, żeby nas razem nie widzieli, pobiegnę przodem. — Zerwała się i tak szybko zniknęła za krzakami leszczyny, że nie zdążył nawet powiedzieć „do widzenia”. Przez chwilę nawet nie był zupełnie pewny, czy rzeczywiście tu była i rozmawiała z nim. „Dziwna dziewczyna — myślał, kierując się ku domowi. — Bardzo dziwna. Niegłupia. Szkoda, żeby się zmarnowała. A co z tym Machowiakiem? Diabli wiedzą, czy to wszystko ma jakiś sens. Może to tylko bujna wyobraźnia Grażyny. W każdym razie trzeba sprawdzić.”

## Rozdział VIII

Major Grabicki nie zlekceważył tej sprawy — To może być bardzo poważna poszlaka — powiedział, wysłuchawszy opowiadania Kociuby. — Musimy dokładnie zbadać, ile w tym wszystkim jest prawdy.

— Dziewczeta w tym wieku często wymyślają zupełnie nieprawdopodobne sensacyjne historie, a czasem się zdarza, że po parokrotnym opowiedzeniu takiej legendy same zaczynają w nią wierzyć i są przekonane, że pewne fakty rzeczywiście się zdarzyły.

Grabicki pokiwał głową. — Z tym, oczywiście, musimy się liczyć. Tym niemniej ten oborowy dosyć nam tutaj pasuje. Przecież i wy także mieliście pewne wątpliwości co do niego.

— To prawda — przytaknął Franek. — Szczególnie jego żona wydała mi się wtedy, na pastwisku, jakaś dziwna.

Jeszcze tego samego dnia po południu sprowadzono rodzinę Machowiaków do komendy, umieszczając ich w oddzielnych pokojach, żeby nie mogli się między sobą porozumiewać.

Na pierwszy ogień poszedł oborowy.

— Siadajcie — powiedział Grabicki. — Chcieliśmy z wami porozmawiać.  
— Dlaczego nie — uśmiechnął się głupawo Machowiak. — Porozmawiać zawsze można.  
— Dawno pracujecie w tym gospodarstwie?  
— O, będzie już ze dwanaście lat albo i więcej.  
— Zadowoleni jesteście ze swojej pracy?  
— Przyzwyczailem się, panie majorze. Do każdej roboty człowiek się wciągnie.  
— Lubicie krowy, cielęta, w ogóle bydło...

Machowiak poruszył szerokimi ramionami. — Bydło jak bydło, panie majorze. Jak grzeczna jałówka, to ją i polubić można, a jak się trafi cholera... To tak jak i z kobietą, panie majorze. — Zostało to powiedziane pozornie lekkim, swobodnym tonem, ale w głosie oborowego nietrudno było dosłyszeć narastający niepokój, który chciał pokryć żartem.

— Więc w sumie zadowoleni jesteście z pracy? — pytał dalej Grabicki.

— Raczej tak, panie majorze.

— Musicie pewnie dobrze zarabiać.

— E, gdzie tam dobrze. Kto dzisiaj dobrze zarabia. Chude pensyjki, panie majorze, bardzo chude. Tyle tylko, że człowiek tego pełnotłustego mleka się napije.

— Hm — Grabicki zapalił papierosa, wyjął z kieszeni jakieś pomięte kartki i zaczął je rozprostowywać.

— A mnie się wydaje, że wy bardzo dobrze zarabiacie.

— Dlaczego? Kto to powiedział?

— Kupiliście sobie telewizor z dużym ekranem za trzysta tysięcy, motocykl z przyczepą, piękną lodówkę, komplet mebli na wysoki połysk. Takie rzeczy kosztują dużo pieniędzy. Ja na przykład nie mogę sobie na to pozwolić.

Machowiak był wyraźnie zmieszany. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że milicja ma tak dokładne wiadomości o jego osobie. Przełknął ślinę i głośno pociągnął nosem.

— Oszczędnie się żyje, panie majorze. Pensja, rzecz jasna, niewielka, ale trochę się kombinuje, trzeba coś dorobić...

— O właśnie — podchwycił Grabicki. — Trzeba coś dorobić. Ciekawe, w jaki sposób wy sobie dorabiacie?

— Przecież nie kradnę.

— Ja jeszcze tego nie powiedziałem. Ale skąd bierzecie na to wszystko

— Mam ogródek, kury, kaczki... utuczy się prosiaka. Musowo sobie jakoś radzić. A ten telewizor to wzięłem na raty.

— Raty także trzeba spłacać.

— Święta prawda, panie majorze, święta prawda. Grabicki pokiwał głową w zamyśleniu. — Tak... no tak...

Więc mówicie, że telewizor, lodówka, meble, motocykl, to wszystko z tego ogródka?

— I prosiaki, panie majorze . i kury... i w ogóle...

Grabicki pochylił się nad biurkiem i spojrzał oborowemu głęboko w oczy. — Słuchajcie, Machowiak — powiedział ścisłym, ale bardzo twardym grosem — Przestańcie wreszcie opowiadać mi tu banialuki. Czy uważacie mnie za tak naiwnego, że ja w to wszystko uwierzę? Usiłujecie we mnie wmówić, że pieniądze na te kosztowne inwestycje wzięliście z ogródka i z hodowli kilku kur i dwóch prosiaków.

— Trzy, panie majorze, trzy...

— Trzy czy pięć także nie wystarczy. Przestańcie wreszcie opowiadać te bajki i mówcie, skąd bierzecie pieniądze.

— No przecie mówię, że uczciwie zarabiam. Trzeba się ciężko naharować, żeby te marne parę złotych do kupy złożyć. Człowiek sobie od ust odejmuje.

— Jaki to zatarg mieliście z Kazimierskim? — spytał nagle Grabicki. — O co wam poszło?

Oborowy wybałuszzył oczy. — Zatarg? Ja? Z Kazimierskim? Uchowaj Boże. Żadnego zatarga nie było, panie majorze, absolutnie żadnego.

— Ludzie mówią, że nie bardzo żeście się lubili, że coś tam między wami było.

— Kto by tam zwracał uwagę na ludzkie gadanie. Pan major chyba nie wierzy w takie plotki.

— W każdej plotce jest część prawdy.

Machowiak wyprostował się i odetchnął głęboko. Widać było, że się bierze w garść.

— Panie majorze, ja z tego wszystkiego widzę, że pan major podejrzewa mnie o zamordowanie Kazimierskiego. Przecie ja jego razem z synem znalazłem nieżywego w lesie i zaraz dałem znać na milicję. Jakbym go chciał zaciukać, to zabrałbym łopatę z domu, zakopał w lesie i nikomu nie pisnąłbym ani słowa. Jestem głupi chłop, ale na tyle jeszcze mam pomysłu. Prawdę powiedzieć, to nawet się bardzo dziwię, że pan major mnie podejrzewa. Przecie to jasne jak słońce, że ja nikogo nie zabiłem. Nie robiłbym takiego rabanu.

— Niby racja — powiedział wolno Grabicki, któremu słowa oborowego zadźwięczały jak dobrze wyuczona lekcja. — Widzicie, Machowiak... Wszystko byłoby w porządku, gdybyście chcieli odpowiedzieć na moje dwa pytania: skąd bierzecie pieniądze na takie kosztowne zakupy i o co pokłóciliście się z Kazimierskim?

— Ależ, panie majorze, ja na wszystko już szczerze odpowiedziałem. To, co kupiłem, to kupiłem za oszczędności, za ciężko zapracowane pieniądze, uczciwie zapracowane, a co się tyczy Kazimierskiego, to żyłem z nim w najlepszej zgodzie. Panie, świeć nad jego duszą.

— Kazimierski przychodził do was do obory?

— A bo to raz.

— Na krótko przed śmiercią był u was także?

— Może i był. Nie powiem. Nie pamiętam. Tyle razy zaglądał do obory.

— Do was przychodził?

Machowiak roześmiał się hałaśliwie. — Gdzie tam do mnie. Na dójki lubił se popatrzeć. Bo to u nas w oborze dziewczuchy jak rzepy, a świętej pamięci Kazimierski strasznie był zawzięty na baby.

— Więc twierdzicie, że między wami a Kazimierskim nie było żadnego zatargu?

— Absolutnie żadnego, panie majorze. Żyliśmy jak bracia.

— A telewizor, motor i meble kupiliście z oszczędności, z uczciwie zarobionych pieniędzy.

— Klnę się na Boga. Jeżeli lżę, bodajbym się pod ziemię zapadł.

— Uważajcie — powiedział z ogromną powagą Grabicki — bo tu u nas w komendzie podłoga dosyć słaba.

Oborowy, mimo woli, spojrzął z pewnym niepokojem na pociemniałe ze starości deski. — Powiedziałem całą prawdę, jak na świętej spowiedzi. Nic nie mam do ukrycia.

— To mnie cieszy — Grabicki uśmiechnął się, udając, że został całkowicie przekonany o niewinności Machowiaka. — Zaczekajcie teraz w sąsiednim pokoju, a ja porozmawiam sobie jeszcze z waszą żoną, a potem z waszym synem.

— To Rysiek także tu jest? — zaniepokoił się Machowiak.

— A jest.

— Dajcie mu spokój, panie majorze. Jak Boga kocham. Dajcie spokój chłopcu. To bardzo nerwowe dziecko. Zawsze był bardzo nerwowy. On nieprzyzwyczajony, żeby go na milicję wzywali. Ja bardzo proszę, panie majorze. Mój syn nie ma z tym nic wspólnego. On jest naprawdę bardzo nerwowy i jeszcze może...

— Nie szkodzi. Przyzwyczajai się — przerwał mu Grabicki. — I wcale nie zauważyłem, żeby był taki nerwowy. No... idźcie już, idźcie i zaczekajcie tu obok.

Po wyjściu oborowego Grabicki spojrzął pytająco na Kociubę. — No i co? Co myślicie o tym chłopku-roztropku?

Franek wzruszył ramionami. — Diabli go wiedzą. Że ma coś na sumieniu, to chyba nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale czy to się jakoś wiąże z naszą sprawą...

— Właśnie — przytaknął Grabicki. — Czy to się wiąże z naszą sprawą? Pewne poszlaki niby są, ale trochę za wcześnie, żeby powiedzieć coś konkretnego. Wiem z własnego doświadczenia, że przy prowadzeniu śledztwa wpływają najrozmaitsze kanty i machlojki, nie mające nie wspólnego z właściwym problemem.

— Może pogawędzimy teraz z Rysiem? — zaproponował Kociuba.

Grabicki potrząsnął głową. — Nie. Tego chłopaka zostawimy na sam koniec. Przypuszczam, że w



osobnym pokoju, w całkowitej samotności, powinien znakomicie dojrzeć do rozmowy z nami. Nie zrobił na mnie wrażenia zbyt odpornego psychicznie. Zaprosimy teraz jego mamusię.

Machowiakowa zachowywała się bardzo energicznie, a nawet agresywnie. Mówiła, że ją bezprawnie tutaj trzymają, że ona nie może tracić tyle czasu na siedzenie w komendzie milicji, że ma dużo pracy w gospodarstwie i że milicja naraża ją na straty. Powoływała się nawet na konstytucję, która chroni obywatela Polski Ludowej przed bezprawnym i bezpodstawnym aresztowaniem. Wreszcie zagroziła, że napisze skargę do Rady Państwa, a całą komendę milicji poda do sądu.

Grabicki cierpliwie wysłuchał tej tyrady, wypowiedzianej podniesionym, wojowniczym głosem, a kiedy rozsierdzona baba umilkła na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza, powiedział spokojnie, ale dosyć zdecydowanie: — Proszę, żeby pani przestała się awanturować. Zwracam uwagę, że pani znajduje się nie za straganem, a w komendzie milicji.

— Ja nie mam żadnego straganu. Proszę mi nie ubliżać! — krzyknęła.

Grabicki w dalszym ciągu był zupełnie spokojny. — Nie wiem, czy pani ma stragan, czy nie, ale zachowuje się pani jak najgorsza straganiara. Proponuję, żeby pani zrezygnowała z tego nieuprzejmego tonu i żebyśmy spokojnie porozmawiali. Przede wszystkim chciałbym wyjaśnić, że ani pani, ani jej mąż nie jesteście aresztowani. Wezwaliśmy was tylko na przesłuchanie, a komenda milicji ma prawo przesłuchiwać każdego obywatela.

— Więc czego właściwie ode mnie chcecie? — spytała już trochę spokojniej. — My nie mamy nic wspólnego z zamordowaniem Kazimierskiego. Mój mąż znalazł go nieżywego w lesie i zaraz zawiadomił milicję. Chyba zrobił, co do niego należało, nie?

Oczywiście, że zrobił to, co do niego należało. Spełnił swój obowiązek.

— No to czegoż się nas czepiacie, jak rzep psiego ogona? Przepraszam. Na drugi raz to jak ktoś coś takiego zobaczy, to nawet słowa nie piśnie. A po co ma mieć przykrości? Na co go mają po komendach włączyć. Ile ja tu już godzin zbałamuciłam.

— Traci pani czas, bo stanowczo za dużo pani mówi — uśmiechnął się Grabicki. — Dawno już mogłaby pani jechać do domu, gdyby nie tyle zupełnie niepotrzebnych słów.

— Więc o co właściwie panom chodzi?

— Chcemy z panią rozmawiać na temat Kazimierskiego.

— Co tu jest do rozmawiania? Zastrzelił go jakiś kłusownik i koniec.

Grabicki wyjął z kieszeni paczkę „Zefirów” i zaczął ją wolno obracać w palcach, jakby się zastanawiając nad tym, czy zapalić, czy nie.

— Niech mi pani powie, pani Machowiakowa, czy Kazimierski żył w zgodzie z pani mężem?

— A czegoż by nie miał żyć w zgodzie? Pewnie, że żył w zgodzie.

— Bo podobno pokłócili się o coś.

Wzruszyła ramionami. — Nie wiem. Może się i kiedy pokłócili. Mało to razy chłop z chłopem się pokłóci, a szczególnie w gospodzie przy wódce. Kazimierski był chłop zadziorny, a i mojemu także nic nie brakuje, jak sobie podpije.

— Ale konkretnie o co im poszło, to pani nie wie.

— Nie. Nawet nie słyszałam, żeby im w ogóle o coś poszło.

— Czy Kazimierski przychodził do obory?

— A pan Bóg go wie. Może i przychodził. Po mleko chodziła jego kobieta, a on może tylko czasami.

— Nie chodzi mi o mleko. Chciałbym wiedzieć, czy Kazimierski przychodził do obory do pani męża w jakichś interesach?

— A jakież on mógł mieć interesy do mojego męża?

— Właśnie chciałbym się tego dowiedzieć.

— Ja tam nie wiem o żadnych interesach. Musiał ktoś panu nagadać jakichś głupstw.

— Byłem w waszej oborze — powiedział Grabicki. — Piękne krowy. Bardzo rasowe. Podobno dają do trzydziestu pięciu litrów mleka dziennie. Oglądałem także i cielęta. Takie rasowe cielęta z rodowodem musi kosztować kupę pieniędzy.

Na wzmiankę o cielętach twarz żony oborowego jakby nagle stężała. — Pewnie, że kosztuje —

powiedziała, siłąc się na obojętny ton. Nie uszło to uwagi Grabickiego, ale zupełnie celowo nie chciał podtrzymywać w obecnej chwili tego tematu. Postanowił zmylić czujność przeciwnika.

— Chmurzy się. Pewnie będzie znowu padać.

Napięcie zniknęło. W całej jej postaci wyczuwało się wyraźnie odprężenie nerwowe. — U nas to już tak jest, panie majorze, jak potrzebny deszcz, to go się nie można doczekać, a jak zniwa, to leje.

— Słowa te zadźwięczały nieomal radośnie. Grabicki wymienił szybkie spojrzenie z Kociubą.

Następnie przestał się bawić paczką papierosów, wyjął „Zefira” i zapalił. Od pewnego czasu próbował odzwyczaić się od palenia, ale mu to jakoś nie szło. Ciągłe odkładał ten decydujący moment. Zaciągnął się dymem i przez chwilę milczał, przyglądając się uważnie tej mocno zbudowanej, muskularnej kobiecie, która siedziała po drugiej stronie biurka.

Machowiakowa zaczęła się niecierpliwie kręcić na krześle.

— To ja już chyba mogę jechać do domu, panie majorze.

— Chwileczkę. Chciałbym, żeby nam pani jeszcze raz opowiedziała dokładnie o tym wieczorze, kiedy to mąż pani razem z synem pojechali na wesele i wracając znaleźli trupa Kazimierskiego.

— O rany boskie! Ciągłe w kółko jedno i to samo? Ileż ja to już razy opowiadałam.

— Wierzę, że to może być dla pani nudne — uśmiechnął się Grabicki — i przyrzekam, że to będzie już ostatni raz. Proszę o trochę cierpliwości.

Wzruszyła ramionami. — Właściwie nie ma nic takiego do opowiadania. Makowski wydawał córkę za mąż i zaprosił nas na wesele. Pojechał mój stary i Rysiek. Ja zostałam w domu, bo nie lubię tego szumu, picia wódki, tańców. Tylko się człowiek umorduje. Wolałam nie jechać.

— Iz młodszymi dziećmi została pani w domu.

— Ano tak.

— Wydaje mi się, że wspomniała pani kiedyś, że dzieci tego dnia odprowadziła pani do siostry — wtrącił się Kociuba.

Zmarszczyła brwi, jakby usiłując sobie przypomnieć.

— Tak, tak. To prawda. Na śmierć zapomniałam. Tyle czasu już minęło, a człowiek ma tak głowę skołowaną tym wszystkim, że spamiętać trudno.

— Więc dzieci odprowadziła pani do siostry — powiedział Grabicki.

— Tak. Teraz sobie przypominam, że chciałam mieszkanie wybielić i wolałam być swobodna.

Dzieci jak to dzieci.

— Słusznie. Dzieci jak to dzieci — przytaknął Grabicki. — I ładnie pani wtedy wybieliła mieszkanie?

— Zaczęłam, ale nie skończyłam. Jakoś mi ochota odeszła. Sama nie wiem czemu. Do tych pór jeszcze nie wybieliłam. Tak czekam, nie wiem na co.

— Hm — Grabicki pokiwał głową. — Czasem tak bywa. — Zacznie się jakaś robotę i nie można jej skończyć. Proszę nam jeszcze powiedzieć, jak to było wtedy w lesie?

Poruszyła się niespokojnie — Kiedy? W jakim lesie?

— Podobno pani kiedyś widziała, jak Kazimierski rozmawiał w lesie z jakąś elegancką kobietą, siedzącą w otwartym samochodzie.

Oddechnęła z widoczną ulgą. — A widziałam. Czego miałam nie widzieć?

— Jak wyglądała ta kobieta?

— Tego nie powiem, bo było daleko. Dokładnie jej się nie przyjrzałam.

— A wóz jakiego był koloru?

— Czerwony. Nie taksówka, tylko taki odkryty. Dobry na pogodę, ale jak deszcz, to nie daj Boże.

— I nigdy nie rozmawiała pani na ten temat z Kazimierskim?

— A po co miałam rozmawiać? Co mnie to obchodzi? Ja się tam w cudze sprawy nie lubię wtrącać.

Grabicki skinął głową. — Dziękujemy pani. — A kiedy Machowiakowa szła już ku drzwiom, powiedział: — Jeszcze jedno pytanie. Jak tam z tymi cielętami? — Zauważył, że plecy jej drgnęły. Odwróciła się bardzo wolno. — Z jakimi cielętami? Nie rozumiem.

— Słyszałem, że u was w oborze kilka cieląt zachorowało. Ciekaw jestem, czy to jakaś epidemia.

— To nie epidemia, proszę pana. Już wszystko w porządku. Był weterynarz. Czy mogę już iść?

— Tak, tak. Do widzenia pani.

Kiedy zostali sami, Grabicki energicznym ruchem zgasił papierosa w dużej szklanej popielnicze i spojrzął na Kociubę. — Wygląda na to, że coś tutaj śmierdzi.

— I to bardzo — przytaknął Franek. — Wcale nie jest wykluczone, że ta Grażyna ma dobre informacje. Co robimy?

— Trzeba przesłuchać chłopaka.

Rysio, który z natury nie był zbyt rozczołowanym młodzieńcem, w tej chwili robił wrażenie kompletnego kretyna. Oczy wybałuszone, dawno nie strzyżone włosy rozczochrane, a na czole grube krople potu, które spływały lepкими strugami po policzkach. Dolna warga drżała mu ze zdenerwowania.

— Siadaj — powiedział ostro Grabicki.

Chłopak ciężko opadł na krzesło i zaczął jakoś dziwnie pomrukiwać.

— Siedziałeś w więzieniu?

— Nie, panie majorze. Jak Boga jedyne go kocham. Nigdy nie siedział. Ja bym chyba zwariował, jakby mnie zamknęli.

Grabicki pogroził palcem. — Słuchaj! Jeżeli tutaj zełżesz choćby jedno słowo, to bez żadnego gadania odeślę cię do więzienia.

Rysio ryknął i wybuchnął gwałtownym płaczem. — A mówiłem tacie, żeby tego nie robił, a mówiłem tacie — jęczał przez łzy.

— Żeby czego nie robił? — spytał Grabicki.

— Cielęta... Prosiłem, żeby cielęta, żeby... żeby nie robił... żeby zostawił te cielęta... Na co nam telewizor? Tata zaraz zasypia przy telewizji. Ja także zasypiam. Mama tylko czasem obejrzy, ale i to rzadko.

— No więc jak to było z tymi cielętami? Mów zaraz, ale całą prawdę. Ostrzegam cię.

— Tata zabierał cielęta z obory — chlipnął Rysio i otarł nos wierzchem dłoni.

— I co z nimi robił?

— A co miał robić? Sprzedawał bogatym chłopom. Pan wie, ile to forsy można dostać za takie rasowe cielę?

— Ale przecież cielęta są zapisane.

— Tata na miejsce rasowego wstawiał takiego zwyczajnego cielaka. Tak zaraz nikt się nie pozna.

— Dużo cieląt tata wyprowadził z obory?

— Nie pamiętam. Może cztery, może pięć. Nie tak dużo.

— I jakżeście je wywozili?

— A na motorze, w przyczepie, w worku. Łatwo szło. Takie małe ciele nawet się bardzo nie rzuca. Tata będzie zły na mnie, że ja panu to wszystko opowiadam, ale i tak by się wydało, a ja za nic na świecie nie chcę iść do więzienia. Ja bym tam chyba sobie coś zrobił. Może bym się nawet powiesił. Nie wytrzymałbym w takim zamknięciu.

— I przeważnie wywoziliście te cielęta w nocy — przerwał mu Grabicki.

— A pewnie, że w nocy.

— No dobrze a stróż nocny?

— E, ze stróżem kłopotu nie ma. Jak mu dać ćwiartkę, to śpi jak zarżnięty.

— I pewnego razu spotkaliście na drodze Kazimierskiego.

Chłopak kiwnął głową. — Ano właśnie. W lesie. Spytał, co wieziemy.

— I zajrzał do worka?

— Musowo. Zajrzał.

— I co było dalej?

— Tata chciał mu dać pieniędzy, żeby nic nie gadał. Nawet dużo, dwa, potem dawał mu trzy tysiące.

— A Kazimierski?

— Nie chciał brać. Zezłił się okropnie. Nasobaczył tacie, nawymyślał mu od złodziei i powiedział, żeby natychmiast wszystkie cielęta wróciły do obory, bo inaczej da znać na milicję. Tata chciał go po rękach całować. Prosił, żeby nie szedł na milicję, że wszystkie cielaki od chłopów odbierze.

— I odebrał?

— Nie wiem. Gdzieś tam jeździł, ale czy odebrał, to nie wiem, bo mnie już ze sobą nie zabierał. Potem Kazimierskiego zabili, to i nie było co sobie tym głowy zawracać. Bo on nikomu tego nie powiedział, chyba żeby żonie, ale ona teraz nie ma głowy do cielaków.

— Więc twój ojciec bał się, żeby Kazimierski nie doniósł milicji o tych kombinacjach z cielętami?

— Ma się rozumieć, że się bał. Wsadziliby go do więzienia.

— I zabił Kazimierskiego, żeby się pozbyć niewygodnego świadka — powiedział beznamiętnym, bezbarwnym głosem Grabicki, jakby stwierdzając jakiś oczywisty, mało ważny fakt.

Chłopak zaczął się trząść. Do oczu znowu napłynęły mu łzy.

— To nieprawda, panie majorze. Tata nikogo nie zabił. Jak Boga jedyne go Kocham. To nieprawda! Tata nie zabił! Tata czasem może coś ukraść, ale żeby zabił, to nigdy.

— Kto zabił Kazimierskiego?

— Nie wiem, panie majorze. Skąd mogę wiedzieć? My go znaleźliśmy w lesie nieżywego, zastrzelonego. Ale tata... tego nie zrobił. Jak kto taką rzecz robi, to przecie nie woła milicji. Zakopuje trupa w krzakach i spokojna głowa. A któż by leciał na posterunek? Chyba jaki wariat.

— Opowiedz jeszcze raz, jak to było.

— Zwyczajnie było. Wracaliśmy z wesela motorem. Makowski córkę wydawał za męża. Mieliliśmy nie pić, bo to na motorze... Ale pan wie, jak to jest na weselu, z tym trzeba się napić, z tamtym... Nijak odmówić. Obrażają się. No to wypiliśmy z tatą trochę za dużo. W lesie nas rozebrało i tata mówi: „Rysiek złazimy z motoru, bo sobie gdzieś by porozbijamy o drzewa”. No, to zleźliśmy, żeby trochę odpocząć. Ja poszedłem w krzaki za swoją potrzebą. Patrzę, leży Kazimierski.

— Tak od razu poznałeś, że to Kazimierski? — spyta! Grabicki. — Przecież była noc, ciemno.

— Już szarzało, a Kazimierskiego poznałem po służbowym mundurze.

— I od razu zorientowałaś się, że nie żyje?

— Nie. Myślałem, że śpi, że może sobie także wypił. Ale Kazimierski nigdy na służbie nie pił. Potem zobaczyłem krew i zawołałem tatę. Okropniem się wystraszył. Z miejsca, panie majorze, wytrzeźwiałem. Jakbym kropli wódki w gębie nie miał.

— A potem?

— Przecie pan wie. Potem pojechałem na posterunek i razem z sierżantem wstąpiliśmy po Franka Kociubę.

— Tak — Grabicki pokiwał głową i machinalnie wyjął z paczki nowego papierosa. — Powiedz mi. Rysiu, czy twoja matka umie tańczyć?

— Chyba, że umie. Mama tańczy jak artystka filmowa, ino kurz.

— A lubi się zabawić?

— Czego by nie lubiła?

— To wobec tego dlaczego wtedy nie pojechała z wami na wesele?

Chłopak wzruszył ramionami. — Bo ja wiem. Chęci jakoś nie miała. Gadała coś, że ją głowa boli. A w ogóle to mama coś z tą Makowską nie za bardzo.

— Kłóć się?

— Tak wychodzi. Nie wiem o co. Ja się tam do babskich spraw nie mieszam. Co mi do tego?

— No, dobrze... — Grabicki schował do kieszeni długopis i uporządkował kartki papieru, rozrzucone na biurku. — Podpisz ten protokół i możesz jechać do domu.

— Ale nie będę siedział w więzieniu, panie majorze? Powiedziałem całą prawdę, jak na świętej spowiedzi.

— Poproszę prokuratora, żeby obszedł się z tobą łagodnie — odparł wymijająco Grabicki. — No, podpisz.

Rysio z pewnym wysiłkiem wykaligrafował swoje nazwisko i otarł pot z czoła.

— Ja nie mogę, panie majorze, siedzieć w więzieniu. Za nerwowo jestem,

— Dobra, dobra. Jedź do domu.

Chłopak odwrócił się jeszcze od drzwi. — Pan major obiecał, że jak powiem prawdę, to nie będę siedział w więzieniu.

— Powiedziałem, że jak będziesz kłamał, to na dłuższy czas pójdiesz do więzienia — sprostował

Grabicki. — Pomagałeś ojcu wywozić kradzione cielęta. Za to musisz odpowiadać przed sądem. Karę otrzymasz niewielką, bo tutaj głównie zawinił twój ojciec.

— A mówiłem tacie, żeby dał spokój z cielakami. Za żadne pieniądze nie warto siedzieć w więzieniu.

— Chyba masz rację. Do widzenia.

Rysio uklonił się niezgrabnie i wyszedł.

— Właściwie można by ich z miejsca zatrzymać — powiedział Franek.

Grabicki skinął głową. — Oczywiście. Ale zdążymy to jeszcze zrobić. Na razie weźmiemy ich pod obserwację. Zobaczymy, jak się będą zachowywać i z kim się skontaktują. Wydaje mi się, że ta kombinacja z rasowymi cielętami to nie jest pomysł Machowiaka. Chyba trochę za głupi.

— I ja tak myślę — przytaknął Kociuba. — Nie jest wykluczone, że głównym motorem tej całej afery była Machowiakowa. Baba kuta na cztery nogi i nadaje się na szefa gangu.

— Gang Machowiaków — roześmiał się Grabicki. — To nawet dobrze brzmi. A teraz taka sprawa. Czy wydaje wam się prawdopodobne, że Machowiakowa zlikwidowała Kazimierskiego?

— Od dawna się nad tym zastanawiam — powiedział Franek. — Nie da się ukryć, że Machowiakowa jest podejrzana. Mówi, że nie lubi tańczyć, że nie lubi się bawić, a Rysio twierdzi coś wręcz przeciwnego. Nie pojechała na wesele, pozbyła się dzieci z domu... Wszystko to wygląda bardzo dziwnie.

— Czy uważacie, że Machowiakowa mogła to zrobić bez wiedzy męża i syna?

— Wydaje mi się to bardzo prawdopodobne. Znając wrodzoną inteligencję swych mężczyzn, może wołała działać na własną rękę.

— I umówiła się w lesie z Kazimierskim — dorzucił Grabicki. — Ale jak umotywowowała to spotkanie?

Franek podrapał się za uchem. — Hm... No cóż... Właściwie to nie wypada źle mówić o zmarłych, ale Kazimierski chyba nie był zbyt wiernym mężem, a Machowiakowa może się podobać.

— Może — przyznał Grabicki. — Więc sądzicie, że mogła upozorować taką romantyczną historię?

— Nie możemy tego wykluczyć.

— Idąc po linii naszego obecnego rozumowania, należałoby przypuścić, że Machowiak z synem zupełnie przypadkowo natknęli się na trupa Kazimierskiego, a to znowu trochę mało prawdopodobne.

— Mało prawdopodobne — powtórzył Kociuba. — Zdarzają się jednak takie przypadki.

Grabicki otworzył szufladę, wyjął z niej tekturową teczkę i zaczął przeglądać notatki — Za dużo niejasnych punktów w tej sprawie, stanowczo za dużo — mruczał niezadowolony. — Dlaczego na przykład ciało Kazimierskiego znajdowało się w tak znacznej odległości od jego motoroweru?

— Jeżeli przyjmiemy wersję randki z Machowiakową, to mogli sobie w nocy położyć trochę po lesie — powiedział Kociuba. — Kazimierski zostawił „Komara” pod drzewem i poszli na spacer.

— Tak... — Grabicki nie wyglądał na zbyt przekonanego. — Jakaż to musiałyby być potworna kobieta, żeby w takiej sytuacji z zimną krwią zastrzelić swojego kochanka czy kandydata na kochanka. Zupełnie przerażające. Ta Machowiakowa nie ma żadnego alibi?

— Żadnego!

— Psiakrew — Grabicki strzelił niecierpliwie palcami. — To wszystko jakoś mnie ciągle nie przekonują. Niby motyw zbrodni mamy, ale... Ta argumentacja jest sensowna, że byliby raczej po cichu zakopali trupa w lesie. Takie wychodzenie naprzeciw niebezpieczeństwu wymaga już pewnej cynicznej perwersji w działaniu, a ani Machowiak, ani jego synalek nie są obdarzeni przez naturę zbyt lotnymi umysłami. Zabić i zakopać to logiczne, ale żeby po dokonaniu morderstwa zawiadamiać natychmiast milicję, żeby w ten sposób odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia, to chyba dla ich mentalności zbyt skomplikowane.

— Otóż to — przytaknął Kociuba. — Mnie także wydaje się to mało prawdopodobne. Tego rodzaju strategia wymaga trochę większej inteligencji. A poza tym, z punktu widzenia mordercy, takie działanie nie miałoby większego sensu. To prawie niemożliwe, żeby ktokolwiek mógł znaleźć

zwłoki Kazimierskiego zakopane w lesie. Można by szukać do końca świata.

— Tak... — powiedział w zamyśleniu Grabicki. — Wobec tego pozostawałoby nam tylko Machowiakowa, działająca na własną rękę.

— I ewentualnie Wojtasik — uzupełnił Kociuba.

Porozmawiali jeszcze chwilę, nie wychodząc poza krąg powtarzanych wielokrotnie faktów, i Franek wrócił do stadniny. W domu rodziców natrafił na ożywioną dyskusję na temat ośrodka zdrowia i izby porodowej. — To skandal, żeby taka duża wieś była bez pomocy lekarskiej i bez akuszerki — mówiła z zapałem koniuszyna. — Już od tylu lat obiecują tu nam założyć ośrodek zdrowia, a ciągle się to odwleka i odwleka; ludzie na tym cierpią.

— Hm — mruknął obojętnie koniuszy, przeżuując przysmażoną kiełbasę. Nie podniecał się tym tematem tak jak jego żona, ponieważ osobiście nie był zainteresowany w pomocy akuszerskiej,

— Machowiakowa niby potrafi odebrać dziecko — perorowała w dalszym ciągu Kociubowa — ale nigdy jej nie ma w domu. I wczoraj także, jak Pawlakowa rodziła, to nigdzie jej nie można było znaleźć. A pamiętasz, co to było z Wilczewską? Mało nie umarła.

Koniuszy jadł dalej kiełbasę. — Nie pamiętam.

— No jak to? Wtedy w nocy. No, wtedy, kiedy zabili Kazimierskiego. Przecie całą noc szukali Machowiakowej.

— Pewnie pojechała na wesele do Makowskich — powiedział wolno koniuszy i otarł wierzchem dłoni zatłuszczone wargi.

— Czy mama jest pewna, że to było tej nocy, kiedy zabili Kazimierskiego? — zainteresował się Franek.

— No chyba, że jestem pewna. Wtedy właśnie rodziła Wilczewska. Ciężki miała, biedaczka, poród, bardzo ciężki. W końcu musieli aż pogotowie wzywać.

— I szukali Machowiakowej?

— Oczywiście, że szukali. Przecie ona zna się na tym. Kończyła podobno jakieś kursa położnicze, pielęgniarские. Ale jej nie znaleźli.

— Mówię ci przecie, matka, że na pewno pojechała na wesele do Makowskich — zniecierpliwiał się koniuszy. — Co to tyle gadać.

— A o której godzinie szukali Machowiakowej? — spytał Franek.

— A bo ja wiem o której? Noc była. Może pierwsza, może druga albo wcześniej. Nie mam pojęcia, ja tak ciągle na zegarek nie patrzę.

— A skąd mama wie o tym wszystkim? Przecie u nas nie byli szukać Machowiakowej.

— A właśnie, że byli.

— Byłbym słyszał.

— Spałeś jak zabity w drugim pokoju.

— I tak przyszli w nocy?

— Światło się paliło, bo ojca wtedy brzuch bolał. Mówiłam mu, żeby nie jadł na kolację tyle bigosu, ale wiesz, jaki ojciec jest... Można do niego gadać.

— Daj spokój — warknął koniuszy. — Musiałś do tego bigosu śmierdzącej kiełbasy wsadzić.

— Ja? Śmierdzącej kiełbasy? — zaperzyła się Kociubowa, która tego dnia była w wyjątkowo bojowym nastroju. — A żeby cię...

— I mama jest zupełnie pewna, że to było tej nocy, kiedy zamordowano Kazimierskiego? — przerwał Franek scysję małżeńską.

— Mogę przysięgać.

Franek był ciągle pełen wątpliwości. — Jak to się stało, że mama tak dobrze zapamiętała, że to akurat było wtedy?

— Bo jak nad ranem przyjechał do nas Rysiek Machowiaków z tym milicjantem i dowiedziałam się, że Kazimierski zabity, to powiedziałam do ojca: „Widzisz, jak to jest na tym świecie: jedni się rodzą, drudzy umierają”. A ojciec mi na to odpowiedział: „Nie czas jeszcze było Kazimierskiemu umierać”. Prawda, ojciec, żeś tak powiedział? — zwróciła się do męża.

Koniuszy skinął głową. — Chyba tak powiedziałem. Bo faktycznie Kazimierski był jeszcze chłop młody, mógł pożyć. Ano widać tak mu było pisane. Powiadają, że nikt nie uniknie swojego losu.

Następne przesłuchanie Machowiakowej odbyło się w atmosferze o wiele większego napięcia nerwowego. Major Grabicki był już zniecierpliwiony tymi wszystkimi niedomówieniami i od razu energicznie zaatakował żonę oborowego.

— Pani wiedziała, że mąż pani kradnie rasowe cielęta obory i sprzedaje je chłopom. — Powiedziane to zostało formie twierdzącej.

Z pozorną obojętnością wzruszyła ramionami. — Ja się do spraw mojego męża nie wtrącam.

— Niech mi pani nie opowiada tu bajek — Grabicki podniósł głos i uderzył pięścią w blat biurka. — Któż w to uwierzy, że pani nie wiedziała, skąd się brały pieniądze na telewizor z dużym ekranem, na motor z przyczepą, na lodówkę, na pralkę, na komplet mebli. I to wszystko na przestrzeni ostatniego roku.

— Telewizor kupiliśmy dwa lata temu — sprostowała Machowiakowa.

— Wszystko jedno. Pensja oborowego razem ze wszystkimi możliwymi dodatkami nie wystarcza na takie inwestycje w tak krótkim czasie. Pani doskonale się orientowała, z jakiego źródła pochodziły pieniądze na te zakupy, i wcale nie jest wykluczone, że to właśnie pani wymyśliła te „transakcje” z cielętami, że pani namówiła męża do tych złodziejskich machinacji.

Milczała. Odwróciła głowę i patrzyła w okno.

— Pani jest osobą sprytną, inteligentną i nie pozbawioną fantazji — mówił dalej Grabicki. — Ja osobiście jestem przekonany, że pani była duszą tego waszego „cielęcego gangu”. Jeszcze nie wiadomo, co wyjdzie na jaw w toku dalszego dochodzenia.

Machowiakowa, która dotychczas utrzymywała się w defensywie, nagle zebrała się w sobie i ruszyła do kontrataku:

— O co panu właściwie chodzi, panie majorze? Rysiek już powiedział, co było do powiedzenia, i po co ja tu czas tracę? Jak chce mnie pan aresztować, to niech mnie pan aresztuje, a jak nie, to wracam do domu. Nie lubię tak przelewać z pustego w próżne. Na co ta cała gadanina.

— Zupełnie niepotrzebnie pani się denerwuje — powiedział spokojnie Grabicki. — Jeżeli po raz drugi sprowadziłem panią do komendy, to znaczy, że mam coś dosyć ważnego do powiedzenia. Czy pani zdaje sobie sprawę tego, że jest pani podejrzana o zamordowanie Stanisława Kazimierskiego?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, jakby nie umiejąc znaczenia tych słów. — O co? O co jestem podejrzana?

— O zamordowanie Stanisława Kazimierskiego — powtórzył z naciskiem Grabicki. — Chyba mówię zupełnie wyraźnie.

— Ależ...! — Chwyciła gwałtownie powietrze, jak człowiek, który wynurzył się na chwilę z głębokiej wody.

Zbladła, ręce jej się trzęsły, straciła swą niedawną pewność siebie. — Panie majorze... To nieprawda... Panie majorze... ja... ja nie...

— Proszę się uspokoić — Grabicki zapalił papierosa i przez chwilę nie gasił zapalki, wpatrując się w słabnący płomyk. — Zaraz pani wytłumaczę, na jakiej podstawie znalazła się pani na liście osób podejrzanych o popełnienie tej zbrodni.

— Ależ... panie majorze!...

— Proszę mi nie przerywać. Otóż Kazimierski spotkał któreś nocy pani męża, kiedy ten razem z synem wiózł w przyczepie motocyklowej skradzione w oborze cielę. Powinien był natychmiast zawiadomić o tym milicję. Z jakichś powodów tego nie zrobił, zażądał tylko, aby pani mąż odebrał wszystkie sprzedane cielęta i odstawił je powrotem do obory. Prawdopodobnie nie chciał was zniszczyć. Ale to nie było takie proste. Przecież trzeba było zwrócić zainkasowane za cielęta znaczne sumy. Mąż nie miał tych pieniędzy. Pertraktował z Kazimierskim, prosił, błagał, zaklinał, przyrzekał, że już nigdy tego nie zrobi, że pomału to załatwi. Kazimierski przynaglał. Stał się dla waszej rodziny człowiekiem bardzo niebezpiecznym. Miał was w ręku. Pani postanowiła pozbyć się tego niebezpieczeństwa raz na zawsze. Zabiła pani Kazimierskiego.

— To nieprawda! Rany boskie! To nieprawda! Ja nie zabiłam! Nie zabiłam!

— Nie mogę twierdzić z całą stanowczością, że pani popełniła tę zbrodnię — powiedział spokojnie Grabicki. — Ale istnieją niewątpliwe fakty, które bardzo poważnie panią obciążają. Po

pierwsze, nie pojechała pani na wesele do Makowskich.

— Bo nie chciałam. Nie miałam chęci.

— Usiłowała w nas pani wmówić, to znaczy we mnie i w porucznika Kociubę, że nie lubi pani bawić się, tańczyć, popić. Zebraliśmy trochę informacji, z których wynika, że pani bardzo chętnie bawi się, tańczy. Więc to jakoś jedno z drugim nie pasuje.

— Wtedy nie miałam ochoty. Zawsze muszę mieć chęć na tańce, czy co?

— Pojechał więc na to wesele pani mąż z synem, a pani została samotnie w domu, odprowadziwszy dzieci do siostry. W nocy spotkała się pani w lesie z Kazimierskim i, poczęstowawszy go czekoladą, zastrzeliła go pani z jego własnej strzelby.

— To nieprawda! Ani się z nim nie spotkałam, ani go nie zabiłam.

— Może mi pani w takim razie powie, co pani robiła tej nocy, kiedy został zabity Kazimierski?

— Byłam w domu. Spałam.

— To nie jest zgodne z prawdą. Tej nocy szukano pani. Była pani potrzebna przy porodzie.

Rodziła niejaka Franciszka Wilczewska. Nie było pani w domu.

Machowiakowa milczała.

— Więc... — nastawał Grabicki. — Jeżeli pani nie było w domu, to w takim razie gdzie pani była?

— Na spacerze.

— Niech pani wreszcie przestanie z tymi idiotycznymi kłamstwami! Na spacerze? O pierwszej w nocy?

— Nie mogłam spać. Głowa mnie bolała. Chciałam się trochę przejść po powietrzu. To przecież nie grzech.

— I gdzie pani chodziła na spacer?

— Do lasu.

— I spotkała się pani z Kazimierskim?

— Już powiedziałam, że się z Kazimierskim nie spotykałam.

Grabicki wyjął nowego papierosa, ale go nie zapalał, tylko nim stukał o blat biurka. — Niechżeż pani wreszcie zrozumie, że w ten sposób sama pani pisze na siebie akt oskarżenia. Przecież wszystkie te okoliczności wskazują na to, że pani zabiła Kazimierskiego. Przeprowadzaliśmy nawet wywiad w sklepie, w waszej spółdzielni. Sprzedająca zeznała, że poprzedniego dnia kupiła pani dwie tabliczki czekolady, a w żołądku Kazimierskiego znaleziono resztki czekolady.

— Czekoladę kupiłam dla dzieci.

— Możliwe, ale w każdym razie jest to jeszcze jedna poszlaka, przemawiająca przeciwko pani. Jest pani osobą inteligentną. Niechże się pani chwilę zastanowi. Przecież nikt nie uwierzy w to, że pani o pierwszej w nocy spacerowała sobie po lesie. Tu chodzi o bardzo poważną sprawę, o morderstwo. Proszę się dobrze nad tym zastanowić.

Przez chwilę milczała. Zmarszczyła brwi i przyglądała się swoim pociemniałym od słońca dłoniom, jakby z nich chciała wyczytać swą przyszłość. Wreszcie podjęła decyzję

— Dobrze. Powiem. Byłam wtedy z Wojtasikiem.

— Z Wojtasikiem? — zdziwił się Grabicki. — Z tym, który niedawno siedział za kłusownictwo?

— Tak.

— Była pani u niego w domu?

— Nie. Spotkaliśmy się w starej gajówce.

— O ile się orientuję, to kawał drogi.

— Pojechałam na rowerze Ryśka.

— I dlatego odprowadziła pani dzieci do siostry i nie pojechała na wesele?

— Tak.

— Hm — Grabicki był wyraźnie zaskoczony takim obrotem sprawy. — I dawno trwa ta historia z Wojtasikiem?

— O, to się zaczęło jeszcze przed jego uwięzieniem.

— Czy mąż pani orientuje się, że...?

Wzruszyła ramionami. — A bo ja wiem. Może się; tam i czego domyśla, ale go to niewiele



obchodzi.

— Dlaczego? Nie jest zazdrosny?

— Ii... — skrzywiła się pogardliwie. — On się tam już od dawna kobietami nie interesuje. Co mu tam. Są, prawdę mówiąc, tacy, co to i sam nie zje, i drugiemu nie da, ale mój mąż do nich nie należy. Spokojny człowiek.

— Niech pani chwilę zaczeka. Zaraz wracam.

Wyszedł i wydał polecenie sierżantowi Bugale, żeby natychmiast pojechał służbowym wozem po Wojtasika. Następnie wrócił do swojego pokoju i jeszcze przez dobre pół godziny rozmawiał z Machowiakową. Chodziło mu o to żeby tych dwoje nie mogło się ze sobą porozumieć. Nie można było mieć pewności, czy ta historia z Wojtasikiem nie została na poczekaniu zaimprovizowana przez Machowiakową.

Wojtasik miał podbite obydwie oczy. Barwa fioletowa zaczynała już nabierać żółtego odcienia.

— Co się wam stało? — spytał Grabicki. — Pobiliście się z kimś?

— Kuracja odwykowa, panie majorze — powiedział wesoło chłop.

— Kuracja odwykowa? Nie rozumiem.

— Zaraz to panu majorowi wytłumaczę. Bo widzi pan, jest tak. Kłusownictwo to taki nałóg jak każdy inny, jak wódka, jak papierosy, jak karty. Natura, jak to posiadają, ciągnie wilka do lasu. A moja żona jest okropnie temu przeciwna. „Nie po to wychodziłam za ciebie za mąż — powiada — żebyś bez przerwy w kryminale siedział.”

— Chyba wasza żona ma rację — powiedział Grabicki.

— Może i ma. W każdym razie postanowiła mnie odzwyczaić od kłusowania i ile razy mam chęć gdzieś takie maleńkie wnyki zastawić, to ona buch mnie w mordę. Tak to jest, panie majorze. Niełatwo żyć z kobietą. Moja pierwsza żona odzwyczajała mnie od wódki, ta znowuż od kłusowania. Może się i odzwyczaje. Kto to wie.

Grabicki pokiwał głową. — Szczerze wam tego życzę. Ale teraz o czym innym chciałem z wami porozmawiać, nie o kłusowaniu.

— Z panem majorem bardzo przyjemnie się rozmawia. Słucham?

— Grabicki przypomniał sobie pierwszą ich rozmowę, podczas której Wojtasik nie grzeszył uprzejmością. Nie nawiązał jednak do tamtych wspomnień. — Czy znacie Machowiakową? — spytał.

— Chyba, że znam. I Machowiaka znam, i Machowiakową, i ich dzieci. Chociaż z tymi dziećmi... Ale mniejsza o to. Grunt, że się zdrowo chowają.

— Podobno jesteście w bardzo zażyłych stosunkach z Machowiakową?

— Że niby jak?

— No... jesteście jej kochankiem.

— Kto panu to powiedział, panie majorze? Ja w ogóle o takich sprawach nie rozmawiam. To nikogo nie powinno obchodzić, z kim ja... Nawet milicji nic do tego.

— Powiedziała mi o tym sama Machowiakowa.

— Tak powiedziała, to już jej sprawa. Widać chciała się przed panem majorem pochwalić.

— Podobno byliście ostatnio razem w nocy w starej gajówce

— Tak Dlaczego mielibyśmy nie być. Noc była ciepła.

— Kiedy to było?

— Ano wtedy, jak moja żona pojechała na wesele do Makowskich.

— I chyba także tej nocy został zamordowany Kazimierski.

— Tak wychodzi, panie majorze.

— Hm — Grabicki zamyślił się i po chwili zanotował coś na kartce papieru. — Powiedźcie mi, Wojtasik, czy w jakiś sposób moglibyście dowieść, że wtedy w nocy byliście w starej gajówce?

— No jakże? — zdumiał się kłusownik. — Przecież z babą wtedy był. Ona może poświadczyć. Nie zapomniała, oj, z pewnością nie zapomniała.

— A jakie jeszcze dowody?

— Jakichż tu jeszcze dowodów trzeba?

— Jedliście coś wtedy?

— A jakże. Zabrałem chleb, pół kilo kielbasy serdelowej, ćwiartkę wódki. Tak o suchym pysku jakoś nie idzie.

— Czy wasza żona wie o tym, że ją zdradzacie?

— A na co ma wiedzieć? Ja jej nie powiem, a pan major chyba także nie.

— Możecie być zupełnie spokojni. Na pewno nie powiem.

— Tak też i myślałem. Bo prawdę mówiąc, to całkiem mi wystarcza ta kuracja odwykowa.

Ludziom się nie mogę w gospodzie pokazać. Bokserom to dobrze. Nikt się nie zorientuje, czy go na ringu tak zaprawili, czy też miał jakąś sprzeczkę z żoną.

— Widzę, że humor wam dopisuje.

— Nie mogę się ciągle martwić, panie majorze. Już się dosyć namartwiłem.

— Chciałem was jeszcze o coś zapytać — Grabicki spojrzął na swoje notatki. — Czy od tamtej nocy byliście jeszcze kiedyś z Machowiakową w tej starej gajówce?

— Nie, panie majorze, nie byłem. Jakoś się nie złożyło. A w ogóle to ja się chyba starzeję. Już mnie tak teraz do kobiet nie ciągnie jak kiedyś. Chociaż Machowiakową... Nie można powiedzieć.

— Dziękuję wam. Na dzisiaj dosyć. Do widzenia.

Zostawszy sam, Grabicki zamyślił się głęboko. Wojtasik podczas pierwszej rozmowy wydał mu się zupełnie innym człowiekiem, aniżeli w tej chwili. Wtedy, w jego domu, w obecności żony, robił wrażenie tępawego, gburowatego chłopca, nie umiejącego sklecić dwóch zdań. Teraz natomiast był wygadany, roztropny, a nawet dowcipny. Kiedy odgrywał komedię i dlaczego? A może w ogóle nie odgrywał komedii? Może po prostu wtedy przestraszył się niespodziewanej wizyty milicji? Ale dlaczego miałby się przestraszyć?

Po namyśle Grabicki wszedł do służbowej „Warszawy” i pojechał do stadniny, żeby zobaczyć się z Kociubą.

— Nie przejechalibyście się ze mną do starej gajówki?

— Dlaczego nie — odparł Franek. — Bardzo chętnie, tylko że tam wozem się nie dojedzie.

— A macie motor?

— Mam.

— No to pojedziemy na motorze.

Stara, opuszczona gajówka przypomniała Frankowi dawne czasy. Przecież to właśnie tutaj znalazł dwie czerwone nitki, kiedy pomagał majorowi Downarowi w prowadzeniu dochodzenia w sprawie zamordowania nie znanej w okolicy dziewczyny. Tak... W tej chwili wydawało mu się, że to było bardzo, bardzo dawno. Przecież tyle zdarzyło się od tamtego czasu, tyle przeżył.

Z zadumy wyrwał go głos Grabickiego: — Jest zatłuszczony „Express”, ale sprzed dwóch dni. To nie w tę gazetę Wojtasik zawiązał swoją kielbasę, jeżeli w ogóle to nie jest zmyślona historia z tą romantyczną, nocną randką. Nie możemy wykluczyć, że Machowiakowa już przedtem porozumiała się z Wojtasikiem. Możliwe, że spodziewała się przesłuchania. Nie bez tego, że któraś baba jej powiedziała, że wtedy chciano ją wezwać do porodu. Postanowiła się zabezpieczyć, zapewnić sobie alibi.

— Czyżby ją z Wojtasikiem nic nie łączyło? — powiedział Kociuba.

Grabicki potrząsnął głową. — Nie sędzę, żeby skłamała, jeżeli chodzi o tę sprawę. Zresztą Wojtasikowi także wygodnie jest mieć alibi. Jeżeli się przedtem porozumieli solidarnie teraz zeznają, to znowu to wszystko dla nas nie ma żadnej wartości, znowu nie możemy wykluczyć z prawy ani Machowiakowej, ani Wojtasika. Ano zobaczymy. Chyba nic tu już więcej nie mamy do roboty. Zabieramy tę zatłuszczoną gazetę i wracamy.

W powrotnej drodze Franek powiedział: — Przykro mi, panie majorze, ale urlop mi się kończy. Za trzy dni muszę być w Warszawie. — Szkoda — westchnął Grabicki. — Ale bądźcie ze mną w kontakcie. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, ta sprawa nie ograniczy się do tutejszego terenu. To wszystko jest trochę zbyt zawikłane. A może właśnie w Warszawie spotkacie piękną kobietę w czerwonym kabriolecie?

Słowa majora Grabickiego okazały się prorocze. Franek rzeczywiście spotkał w Warszawie piękną kobietę z czerwonego kabrioletu, ale stało się to dużo później.

Zaraz po powrocie z niezbyt udanego urlopu wpadł w taki wir codziennych, bardzo absorbujących zajęć, że ledwie dyszał. Woliński miał krakę samochodową i leżał w szpitalu, Szymczak musiał poddać się operacji ślepej kiszki, a Małecki złamał nogę, wyskakując w biegu z tramwaju. Same kłęski. Sierżant Maciaszek w żaden sposób nie mógł sobie poradzić z robotą. — Chwała Bogu, żeś przyjechał, Franiu, chwała Bogu. Szef już chciał cię ściągać z urlopu. U nas w komendzie Sodom i Gomora (było to ulubione powiedzonko Maciaszka). Roboty od cholery, a ludzi nie ma. Dzisiaj znowu dzwonił Piotrowski, że nie przyjdzie; bo go brzuch boli. Lekarz mówi, że to może czerwotka.

Na drugi dzień z samego rana major Płotowski wezwał do siebie Kociubę.

— No i jak tam urlop? Wypoczęliście?

— Diabła tam — skrzywił się Fianek. — Tak jakbym wcale nie miał urlopu.

— Co się stało? Właśnie widzę, że jakoś mizernie wyglądacie. Chorowaliście?

Franek opowiedział o zamordowaniu Kazimierskiego i o tym, jak pomagał Grabickiemu w prowadzeniu śledztwa.

Płotowski słuchał bardzo uważnie. — Tak — powiedział, gdy Franek skończył mówić. — W tej chwili kłusownictwo stało się bardzo poważnym problemem w skali ogólnokrajowej. Pamiętacie na pewno sprawę zamordowania młodego Sztachelskiego. A ostatnio i w województwie warszawskim postrzelono łowieckiego strażnika. Na szczęście wylizał się.

— Schwymano sprawców?

— Jak dotąd nie.

— Są jakieś poszlaki?

Płotowski potrząsnął głową. — Właściwie żadnych. Była noc. Kłusownik zastrzelił kozła, a kiedy strażnik łowiecki usiłował go zatrzymać, kropnął i do niego. No... ale na razie skończmy z kłusownikami. Zapewne zdążyliście się już zorientować, że jesteśmy zawałeni robotą.

— Owszem. Sodom i Gomora, jak mówi Maciaszek.

— Będziecie musieli przejąć parę spraw po Wolińskim i po Szymczaku. Poza tym będę miał dla was zapewne specjalne poruczenie, ale o tym porozmawiamy za kilka dni. Aha, jeszcze chciałem się was zapytać o wasze sprawy osobiste. Podobno chcecie się żenić?

— Mam taki zamiar, panie majorze.

— Kiedy?

— Chciałbym na Boże Narodzenie, jeżeli oczywiście to mieszkanie będzie gotowe. Jak zaczną usuwać usterki, to : nie wiadomo, czy można się będzie wprowadzić i na Wielkanoc.

— Zgłaszam swoją kandydaturę na ojca chrzestnego — uśmiechnął się Płotowski.

— Myślę, że najprzód zaprosimy pana majora na wesele.

I tak rozpoczął się dla Franka okres bardzo intensywnej pracy. Dnie mijały szybko, wracał skonany do swojego sublokatorskiego pokoju, a rano znowu od początku roboty. Nierzadko zdarzało się, że zostawał w komendzie do późnego wieczora, żeby podgonić trochę zaległości.

Zabójstwo Kazimierskiego, major Grabicki, Machowiakowie, Wojtasik i jego dziwna żona — wszystko to stawało się coraz bardziej odległe, bladło, z zawrotną szybkością uciekało w przeszłość. Hanka pisała sążniste listy, ale on tylko od czasu do czasu zdołał się zdobyć na kilka słów, skreślonych w pośpiechu na kartce.

— Ale cię, Franuś, wzięli do galopu — mówił sierżant Maciaszek, któremu także roboty nie brakowało.

— Ano trzeba kiedyś trochę popracować — uśmiechał się Kociuba.

— Popracować to popracować, ale nigdy w niczym nie należy przesadzać. Jak się naczałstwo zorientuje, że możesz harować za trzech, to marnie z tobą.

— Cóż robić. Ciągłe jest nas za mało.

— Otóż to — podchwycił Maciaszek. — A ilu po tych wszystkich biurach siedzi darmożjadów, którzy nie mają co robić, tylko herbatę piją i kawały sobie opowiadają. A u nas brak ludzi. Nie

można sobie poradzić z robotą. I gdzie tu sprawiedliwość? Pytam się: gdzie tu sprawiedliwość?

— Wyjeżdżam na miasto — powiedział Kociuba, który nie był w nastroju do jałowych pogawędek na temat braku etatów w milicji. — Wrócę za jakieś dwie godziny. — Był już w drzwiach, kiedy do jego uszu dobiegło pomrukiwanie sierżanta: — I lokal mamy do kitu. Kto to widział, żeby komenda milicji w stolicy...

Kociuba wynajmował teraz pokój w Alei Niepodległości pani Klementyny Piskorskiej, wdowy po emerytowanym księgowym. Oficjalna wersja głosiła, że małżonek pani Klementyny zmarł na raka wątroby, najbliżsi zaś sąsiedzi byli zdania, że się po prostu zapił. Franek nie interesował tą sprawą, ponieważ było mu absolutnie wszystko jedno, co było istotną przyczyną śmierci byłego buchaltera. Z pokoju był zadowolony. Miał niekrępujące wejście, luksusowo urządzone łazienkę, telefon. Wdowa zachowywała cicho, nie przyjmowała żadnych gości i chodziła na palcach, żeby nie przeszkadzać panu porucznikowi. — Zawsze raźniej samotnej kobiecie, jak u niej mieszka oficer milicji — mawiała z przymilnym uśmiechem. Być może miała nawet jakieś poważniejsze zamiary w stosunku do Franka, bo stała się bardzo oziębła, kiedy się dowiedziała, że jej lokator ma się niedługo żenić. Któregoś wieczora, kiedy Franek jak zwykle wrócił bardzo zmęczony do domu, rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

— Proszę.

Weszła pani Piskorska z małą paczką w rękę. — To dzisiaj przyszło do pana, panie poruczniku. Listonosz przyniósł.

Zaintrygowany Franek pośpiesznie rozwinął paczkę znalazł w niej bardzo starannie zapakowane okulary, pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Myślał, że to jakaś pomyłka. Dopiero list znajdujący się pod okularami wyjaśnił sytuację.

„Kochany Franku” — pisała Magda. — Zupełnie zapomniałam o okularach tej pani, z którą wtedy Stach rozmawiał w lesie. Miałam ci je przecież dać i wyleciało mi to z głowy. Ty pewnie także zapomniałaś. Dopiero jak robiłam w domu porządki, to znalazłam te okulary. Posyłam ci je więc, bo po co mają u mnie leżeć, a tobie może się do śledztwa przydadzą. Dużo myślałam o tym, co mi powiedziałaś, i chyba rzeczywiście zapiszę się na jakieś kursa, żeby zdobyć zawód. Bardzo jestem wdzięczna tobie i Hance za to, że w tych tak trudnych dla mnie chwilach podtrzymaliście mnie na duchu. Dostałam bardzo dobry miód i w przyszłym tygodniu upiekę piernik, to ci przyślę kawałek na spróbowanie. Pozdrawiam cię bardzo serdecznie i jeszcze raz za wszystko dziękuję, Magda.”

Sprawa zamordowania Kazimierskiego z nową siłą wdarła się do świadomości Franka. Już trochę o tym wszystkim zapomniał, a teraz znowu... Biedna Magda. Czy ona kiedykolwiek zdoła się otrząsnąć po tym ciosie? Czy będzie kiedyś znowu taka, jaka była dawniej, wesoła, energiczna, pełna radości życia? To chyba niemożliwe. Takie rzeczy pozostawiają raz na zawsze ślad w psychice ludzkiej. Można udawać, można przekonywać samego siebie, ale to już nie będzie to samo. Mimo woli Franek zacisnął pięści. — Cholera jasna — mruknął. — Niechbym ja tego drania dostał w swoje ręce.

Odłożył list Magdy i zaczął uważnie oglądać okulary. Futerał był z wężowej czy jaszczurczej skóry. Szklka optyczne, prostokątne, w eleganckiej oprawie koloru złotawego. Należało przypuszczać, że zarówno futerał, jak i okulary były pochodzenia zagranicznego. „Dlaczego zostawiła te okulary? — zastanawiał się Kociuba. — Chyba musiała wyjść z wozu, usiąść na zwalonym drzewie i rozmawiać ze Stachem. Potem położyła koło siebie okulary i zapomniała. To chyba jedyne rozsądne wytłumaczenie tej sprawy.”

Na drugi dzień Franek, poszedł do optyka.

Starszy, szpakowaty mężczyzna obejrzał szklka i spytał: — O co panu właściwie chodzi? Ja takich szkieł w tej chwili nie mam.

— Chciałbym się dowiedzieć, czy to szklka dla krótkowidza, czy dla dalekowidza — powiedział Franek.

Optyk przyjrzał mu się podejrzliwie. — To są oczywiście szklka używane przez dalekowidzów.

— I używa się je do czytania?

— Tak, do czytania. Sądziłem, że to pańskie okulary.

— Nie. To są okulary mojej cioci — uśmiechnął się — uprzejmie Kociuba. — Chciałem po prostu sprawdzić, czy moja ciocia jest krótkowidzem, czy dalekowiedzem. Dziękuję panu. Do widzenia. — Wyszedł pośpiesznie ze sklepu, odprowadzany niespokojnym spojrzeniem szpakowatego optyka. A więc tak... Franek głęboko zamyślony szedł ulicą. Jeszcze jeden element. Czerwony kabriolet, elegancka kobieta, a teraz dochodzą te okulary. Samochód można przemaalować, elegancka kobieta może się ucharakteryzować na nieelegancką, ale oczu nie można zmienić. Z tego wynika, że jedynym elementem pewnym w tej sprawie są właśnie te okulary. Co ona, u diabła, mogła czytać wtedy w lesie Kazimierskiemu? Przecież chyba nie „Pana Tadeusza”. Wyszyła z wozu, wyjęła z torby okulary i coś czytała? A może oglądała mapę? Może to była jakaś zagraniczna turystka? — Franek machnął ręką zniecierpliwiony. Nie było najmniejszego sensu snuć w nieskończoność domysłów. To nic nie dawało.

Tego dnia w komendzie było święto. Porucznik Woliński wrócił do pracy. Okazało się, że stosunkowo nie bardzo ucierpiał w tej kraksie. Miał wprawdzie lewą rękę na temblaku, ale sierżant Maciaszek ustosunkował się do tego nader sceptycznie. — Trzeba trzymać fason — powiedział, przymrużając filuternie oko. — Nie wypada być tak od razu zupełnie zdrowym po katastrofie samochodowej. — Intuicja najwyraźniej nie zawiodła go. Woliński już nazajutrz zrezygnował z czarnej chusty, która wisiała mu na szyi.

Pojawił się także i kapitan Małecki. Miał kostkę prawej nogi w gipsie, ale twierdził, że tak się nudził w domu, iż postanowił zrezygnować ze zwolnienia lekarskiego.

W ten sposób Kociuba odsapnął trochę i mógł już spokojniej zająć się własną robotą. Zaczął też zaglądać do swojego nowego mieszkania, usiłując przyspieszyć usuwanie usterek. Chciał bowiem, pokonując wszystkie możliwe przeszkody, ożenić się z Hanką na Boże Narodzenie, tak jak to już zostało ustalone. Miał takie usposobienie, że bardzo nie lubił zmieniać swoich planów.

Poza pracą zawodową życie w Warszawie upływało mu dość monotennie. Od czasu do czasu poszedł do kina, czasem zaprosił go któryś z kolegów do siebie na kolację, ale przeważnie, po skończonej robocie, walał się samotnie po mieście, zaglądając często do Łazienek, które ogromnie polubił. Bardzo mu brakowało jakiejś bliskiej, życzliwej istoty, która dotrzymałaby mu towarzystwa i z którą mógłby sobie szczerze, serdecznie pogadać.

Hanki spodziewał się dopiero za kilka tygodni. Po rocznej przerwie, spowodowanej ciężką chorobą matki, postanowiła wznowić przerwane studia. W październiku zaczynały się wykłady. Do czasu ich małżeństwa miała zamieszkać u ciotki, starej panny, pracującej w wypożyczalni książek.

To było w sobotę około południa. Zadzwoił telefon. Franek był sam w pokoju. Oderwał się od pilnego sprawozdania, które przygotowywał dla majora, i podniósł słuchawkę. Posłyszał, jak mu się zdawało, znajomy, męski głos: — Chciałbym mówić z panem porucznikiem Kociubą.

— Jestem przy aparacie. Słucham

— Dzień dobry panu. Tu mówi Stefaniak.

— Dzień dobry, panie dyrektorze.

— Chciałbym się z panem zobaczyć.

— Bardzo proszę. Może pan wpadnie do komendy, na Wilczą. Wie pan, gdzie to jest?

— Wiem, wiem, oczywiście, ale... wolałbym nie tak oficjalnie. Czy nie moglibyśmy się spotkać na mieście? Na przykład po pańskim urzędowaniu gdzieś w kawiarni?

Franek zastanowił się przez chwilę. — Dobrze — powiedział, uświadomiwszy sobie, że z nikim się nie umówił. — Gdzie panu wygodnie? W której kawiarni?

— Zna pan może taką małą kawiarenkę na rynku Nowego Miasta? Zdaje się, że nazywa się „Bombonierka”. Będę w tamtych stronach u przyjaciół i byłoby mi najwygodniej...

— Doskonale — zgodził się Kociuba. — Wsiądę w sto dwadzieścia pięć i przyjadę. Czy godzina osiemnasta panu odpowiada?

— Tak. Bardzo dziękuję. Czekam na pana w „Bombonierce”. Do zobaczenia.

Rozmowa ta niezwykle zdziwiła Franka. „Czego ten facet chce ode mnie?” — myślał zaintrygowany. Nie przepadał za dyrektorem Stefaniakiem i nigdy go z nim nic nie łączyło poza bardzo oficjalną znajomością. Jako syn koniuszego musiał się z nim stykać od czasu do czasu. Wyczuwał instynktownie, iż dyrektor miał do niego trochę protekcyjny, odgórny stosunek. Teraz

był uprzedzająco uprzejmy. Coś się za tym kryło, ale co? Jaki interes mógł do niego mieć pan dyrektor?

Punktualnie o szóstej Kociuba wszedł do kawiarni. Stefaniak czekał już na niego. Był, jak zwykle, bardzo stara: nie ubrany, gładko wygolony i pachnący wodą kolońską. Szpakowate, zaczesane do tyłu włosy połyskiwały leciutki jakby były posmarowane brylantyną.

— Jest pan wzorem punktualności, panie Franku — powiedział potrząsając z wylewną serdecznością dłonią Kociuby. — Myślę, że mogę się w ten sposób do pani zwracać. To „panie poruczniku” jakoś brzmi trochę nazbyt oficjalnie.

— Ależ oczywiście — uśmiechnął się uprzejmie Franek. — Będzie mi bardzo miło. Pan dyrektor przecież mnie zna od małego chłopca.

Podeszła do nich kelnerka. Zamówili kawę i Stefaniak ciągnął dalej: — Był pan u nas na urlopie i nawet mnie pan nie odwiedził. Nieładnie.

Kociuba pomyślał, że nigdy nie odwiedzał dyrektora Stefaniaka, ale nie zdradził się z tą refleksją. — Tak się jakoś złożyło. Byłem bardzo zajęty. Pomagałem trochę majorowi Grabickiemu w prowadzeniu dochodzenia w sprawie zamordowania Kazimierskiego.

Stefaniak pokiwał głową. — Wiem, wiem. Straszna historia. Machowiakowie .zostali aresztowani. Czy to w związku z tą sprawą?

— Nie bardzo się orientuję — odparł wymijająco Franek. — Zdaje się, że tam chodzi o jakieś nadużycia. Kradli cieleta z obory, czy coś takiego.

— Tak, tak, słyszałem — Stefaniak machnął ręką. — Mniejsza z tym. Niech się martwi dyrektor gospodarstwa. Na szczęście to mnie nie dotyczy. U mnie, jak dotąd, nikt nie kradnie żrebacków.

— A skąd pan wie?

Stefaniak natychmiast bardzo spoważniał: — Ma pan jakieś podejrzenia?

Kociuba roześmiał się. — Ależ nie. Zazartowałem. Dopóki mój ojciec jest u pana koniuszym, to może pan spać spokojnie.

— Trochę mnie pan przestraszył — uśmiechnął się niezbyt szczerze Stefaniak i odetchnął z prawdziwą ulgą. — Bo powiadają, że nieszczęścia chodzą parami. Franek wolno popijał kawę i czekał. Ciągle jeszcze nie miał pojęcia, o co chodzi dyrektorowi.

Wreszcie Stefaniak przystąpił do właściwego celu ich spotkania. — Kochany panie Franciszku — powiedział serdecznie. — Miałbym do pana ogromną prośbę.

— Słucham?

— Czy zna pan inżyniera Lechockiego?

— Nie, nie znam.

— Przyjeżdża do mnie dość często na polowania. Jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Z różnych względów zależy mi na nim. Chciałbym mu wyświadczyć pewną przysługę. I jeżeli pan mógłby mi dopomóc...

— Słucham? — powtórzył Kociuba. — W czym miałby m panu dopomóc?

Stefaniak wypił spory łyk kawy i zapalił papierosa. — Widzi pan, jest taka sprawa... Otóż inżynier Lechocki jest zamiłowanym automobilistą i kupił sobie przed paroma dniami, okazyjnie, wóz. Wie pan, na tej giełdzie samochodowej...

— Tak, wiem.

— I niech pan sobie wyobrazi, kochany panie Franku, że wczoraj ukradli mu ten wóz.

— Zgłosił kradzież?

— Oczywiście. Właśnie w waszej komendzie na Wilczej, a ponieważ dowiedziałem się, że pan tam pracuje...

— Tak, ale nie bardzo rozumiem, w czym mógłbym pomóc.

Stefaniak uśmiechnął się przymilnie. — Ja wiem, że nasza milicja działa bardzo sprawnie, ale tego typu kradzieży macie na pewno bardzo dużo. Więc pomyślałem sobie, że gdyby pan osobiście zainteresował się tą sprawą i porozmawiał z kolegami, to jestem przekonany, że szansę odnalezienia tego wozu byłyby dużo większe. .Zawsze po znajomości, to...

— Mogę pana zapewnić, panie dyrektorze — powiedział chłodno Kociuba — że moi koledzy bez żadnych znajomości rzetelnie zajmą się tą sprawą. Jaki to był wóz?

— „Jaguar”. Taki sportowy, odkryty. Podobno fenomenalna maszyna. Lechocki od dawna marzył o takim wozie, kupił go bardzo tanio. To była prawdziwa okazja. Dlatego Lechocki tak rozpacza, a ja chciałbym mu pomóc.

— „Jaguar”? — powtórzył Kociuba. — Otwarty wóz. A jakiego koloru?

— Czerwony. A raczej ciemnowiśniowy.

Franek poczuł, że mu zasycha w gardle. „Może zupełny przypadek? — pomyślał, usiłując nie okazać wzruszenia. — A może to tak zwane zrządzenie losu?” Wypił ostatnią kroplę kawy, odchrząknął i powiedział pozornie obojętnym głosem: — A od kogo inżynier Lechocki kupił ten wóz?

Stefaniak rozłożył ręce. — Tego nie wiem. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Oczywiście. Może się zdarzyć, że były właściciel ukradnie swój wóz, skombinuje fałszywe papiery i sprzeda go po raz drugi. Już oczywiście nie na giełdzie i nie w Warszawie. Wyjedzie z nim gdzieś na prowincję. Różne ludzie miewają pomysły.

— Tak, tak — pokiwał głową Stefaniak. — Różne ludzie miewają pomysły. Bardzo słusznie. Wie pan co, panie Franku? Zadzwoń zaraz do Lechockiego. Niech przyjdzie. On tu mieszka obok, na Kościelnej. Byłem dzisiaj u niego na obiedzie. To bardzo przyjemny człowiek. Zobacz pan. Zdaje się, że tu jest telefon. Przepraszam pana. Zaraz wracam. Tylko mam do pana taką prośbę. Proszę nie mówić, że specjalnie umawiałem się z panem. Wołałbym, żeby to wyglądało na zupełnie przypadkowe spotkanie.

Jak pan sobie życzy.

Po chwili Stefaniak wrócił do stolika. Wyglądał na zadowolonego z siebie. — Przyjdzie — powiedział wesoło. — Trochę się opierał, ale w końcu się zgodził. Namówiłem go. Spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo. Pamięta pan?

— Pamiętam — odparł bez entuzjazmu Kociuba. — Cała ta historia nie bardzo go zachwyciła, ale nie mógł odmówić. Stefaniak zawsze ustosunkowywał się bardzo życzliwie do jego ojca.

Po upływie piętnastu minut pojawił się inżynier Lechocki. Wysoki, szczupły, ubrany był z przesadną elegancją. Robił takie wrażenie, jakby przed chwilą wyszedł z pracowni pierwszorzędnego krawca. Ruchy miał niezbyt szybkie, opanowane, głos niski, o przyjemnej barwie, modelowany z pewną afektacją. Lubił dość dużo mówić, jakby upajał się tym swoim „aksamitnym”, nieco teatralnym głosem. W ogóle robił wrażenie raczej aktora aniżeli przedstawiciela nauk ścisłych. W każdym jego ruchu, każdym powiedzeniu wyczuwało się reżyserię.

Stefaniak dokonał prezentacji i Lechocki przysiadł się ich stolika. — Pan dyrektor wspomniał mi, że chciałby... — powiedział z uprzejmym uśmiechem Kociuba.

— Niech pan sobie wyobrazi, drogi panie Edmunde — przerwał mu Stefaniak, dotykając poufale jego ramienia. — Co za traf. Właśnie rozmawialiśmy o tej sprawie podczas obiadu. Wychodzę i spotykam tutaj, na Rynku Nowego Miasta, porucznika Kociubę. Stara znajomość. Można powiedzieć, że znam go od dziecka. Jego ojciec pracuje u nas od wielu lat. Prawie jak rodzina. Bardzo się oczywiście ucieszyłem z tego spotkania, bo sobie pomyślałem, że może porucznik Kociuba mógłby panu dopomóc w pańskich kłopotach.

Lechocki zwrócił swą suchą, wąską twarz ku Kociubie. — Byłbym panu niesłychanie zobowiązany, panie poruczniku. Widzi pan... co za pech. Przed paroma dniami kupiłem okazyjnie, za bezcen, znakomity wóz, o którym od dawna marzyłem. Sportowy „Jaguar”. Co za szybkość, co za zryw. Fantazja.

— Idealny wóz dla gangsterów — powiedział Kociuba.

Lechocki roześmiał się. — Ma pan rację. Mając taki wóz, można skombinować niezły skok na bank. Jedyne feler, że otwarty. W razie strzelaniny żadnej osłony. Ale żarty na bok. Tak się cieszyłem tym „Jaguarem”. No i masz... Ukradli mi go. Najzwyczajniej w świecie ukradli mi, i to w biały dzień.

— Kiedy to się stało? — spytał Kociuba.

— Teraz, niedawno, dwa dni temu.

— Gdzie?

— W centrum miasta, na Wspólnej. Poszliśmy z dyrektorem Stefaniakiem do Ministerstwa Rolnictwa, wóz zostawiłem na parkingu. Wychodzimy. Nie ma. Może pan sobie wyobrazić, panie poruczniku, jaką miałem minę. Rozpacz. Taki samochód. Już nigdy nie zdobędę takiego wozu. I to w doskonałym stanie. Przejechanych miał niecałe sto tysięcy. Co ja mówię. Niewiele ponad sześćdziesiąt tysięcy. Prawie nowy.

— To dlaczego sprzedano go po tak niskiej cenie? Bo wspomniał pan, że kupił pan ten wóz bardzo tanio.

Lechocki skinął głową. — Tak. Nieprawdopodobnie tanio. Zapłaciłem za niego dziewięćdziesiąt tysięcy złotych. Po prostu za darmo.

— Jak dla kogo — uśmiechnął się Kociuba. — Ale to rzeczywiście bardzo tanio, jak za tego typu wóz. Dlaczego właściciel zażądał tak mało?

— Nie mam pojęcia. Może potrzebna jej była szybko gotówka.

— Powiedział pan „jej”. To znaczy, że kupił pan tego „Jaguara” od kobiety?

— Tak. I to od bardzo atrakcyjnej kobiety.

— Ładna?

— — Nieprzeciętnie. Może nie taka młodziutka, ale dużej klasy pani. Nie żaden tam taki sobie kociaczek. Prawdziwa dama.

— I ta „prawdziwa dama” na gwałt pozbywa się kosztownego wozu — powiedział z namysłem Kociuba. — Dziwne.

— To obywatelka belgijska. Może musiała szybko wracać do kraju i nie miała czasu na załatwianie wszystkich formalności. Zresztą nie wiem.

— Czy zna pan jej nazwisko?

— Oczywiście. — Lechocki wyjął z tylnej kieszeni spodni plik dokumentów, poszperał w nich i przeczytał: Marlena Weyman, zamieszkała tymczasowo u swojej jakiejś rodziny w Jabłonie.

— Czy powiedziała panu, że wraca do Belgii?

— Nie, nic takiego mi nie mówiła. To są tylko moje przypuszczenia.

— Gdzie pan mieszka, panie inżynierze?

— Tutaj obok, na Kościelnej.

— A czy można wiedzieć, gdzie pan pracuje?

— Jestem inżynierem konstruktorem. Pracuję w Biurze Projektów Maszyn Precyzyjnych.

— I zameldował pan o kradzieży swojego wozu u nas w komendzie na Wilczej?

— Tak. Jak pan sądzi, panie poruczniku, czy są jakieś szanse?

Kociuba zrobił niewyraźną minę — No cóż... trudno powiedzieć. Szansę zawsze są. Bardzo dużo skradzionych wozów odnajdujemy, pod warunkiem oczywiście, że złodziej nie rozbierze maszyny na drobne kawałki, ale w tym wypadku to raczej wątpliwe. „Jaguar” nie jest u nas typowym wozem, który opłacałoby się sprzedawać na części. Chyba że ktoś wyjmie silnik i wstawi go do jakiegoś starego grata. Takie rzeczy także się zdarzają.

— Ale mnie pan pocieszył — westchnął Lechocki.

— Nie mam zamiaru ani pana martwić, ani pocieszać — powiedział z uśmiechem Kociuba. — Usiłuję tylko możliwie jak najbardziej realnie naświetlić sytuację. Trzeba być dobrej myśli. Ja ze swej strony mogę panu obiecać, że zainteresuję się tą sprawą i porozmawiam z kolegami w komendzie. Kradzieży samochodów mamy teraz na terenie Warszawy sporo i energicznie walczymy z tą plagą. Mam nadzieję, że odnajdziemy pańskiego „Jaguara”.

Lechocki rozpromienił się zupełnie tak, jakby już siedział za kierownicą swojego wozu. — Jestem panu niesłychanie zobowiązany, panie poruczniku. Nie omieszkam odwdziżyć się przy najbliższej okazji.

Na drugi dzień po tej rozmowie Kociuba zameldował się szefa. Major Płotowski był w dobrym humorze i przyjął bardzo życzliwie.

— Cóż tam nowego? Macie dla mnie jakieś sensacje?

Kociuba poruszył ramionami. — Sam nie wiem. Może mam, a może nie mam.

— Jesteście bardzo tajemniczy. O cóż to chodzi?

Kociuba opowiedział o swoim spotkaniu z inżynierem Lechockim i z dyrektorem Stefaniakiem. —



Może to są tylko moje przywidzenia — dodał na zakończenie — ale ten czerwony „Jaguar” bardzo mi pasuje do sprawy Kazimierskiego. Żona oborowego Machowiakowa widziała w lesie...

— Wiem, wiem — przerwał mu Płotowski. — Mówiliście mi. Widziała, jak Kazimierski rozmawiał z jakąś kobietą, siedzącą w otwartym czerwonym wozie. Ale skąd możemy mieć pewność, że to właśnie chodzi o ten kabriolet?

— Mam okulary tej babki — wtrącił Kociuba.

— Hm — Płotowski zamyślił się. — Coś wam powiem. Wprawdzie ta sprawa leży w gestii komendy wojewódzkiej, ale nic się nie stanie, jeżeli my im trochę pomożemy. Gdybyście zdołali nawiązać, oczywiście bardzo ostrożnie, kontakt z tą tajemniczą damą, to może udałoby się sprawdzić, czy to jej okulary. W ten sposób można by ją było identyfikować.

— Ale jak to zrobić? — zafrasował się Kociuba. — Przecież jej nie będę podrywał.

— To już pozostawiam waszej inwencji — uśmiechnął się Płotowski. — W każdym razie macie moją zgodę na to, by sprawdzić te okulary. Jeżeli rzeczywiście są jej własnością, to wtedy zawiadomimy majora Grabickiego. Niech on się martwi, co dalej. Na jego terenie zostało popełnione to morderstwo. On prowadzi śledztwo. Tylko że w tej całej imprezie jest jeden dosyć zasadniczy feler.

— Mianowicie?

— Jeżeli szkła w tych okularach są dosyć typowe, to mogą się nadawać dla bardzo wielu osób. Krótkowidzów czy dalekowidzów jest spora gromadka i soczewki o pewnej ilości dioptrii...

Kociuba miał bardzo głupią minę. — Psiakość! Nie pomyślałem o tym. Rzeczywiście, to nam może nic nie dać! Pamiętam, że moja babka brała czasem okulary dziadka i także mogła czytać. Do diabła!

— Nie przejmujcie się tak — pocieszył go Płotowski. — W każdym razie, jeżeli te okulary będą pasowały do jej oczu, to zdobędziemy już pewną poszlakę, pewne prawdopodobieństwo, że to właśnie ta osoba rozmawiała wtedy z waszym kuzynem. Jesteście w posiadaniu eleganckiego futerału. To także można jakoś rozegrać. Zastanówcie się.

Kociuba bardzo zamyślony wrócił od majora do swojego pokoju.

— Coś się tak zadumał, Franuś? — spytał sierżant Maciaszek.

— Kombinuję, jakby tu się poznać z bardzo elegancką damą.

— Musisz koniecznie z „bardzo elegancką damą”?

— Muszę.

— Jak musisz, to kombinuj. Ja ci na pewno w tym nie pomogę. Nie mam żadnego doświadczenia z „bardzo eleganckimi damami”. Wydaje mi się jednak, że to także kobiety. Za dużo nie mędrkuj, tylko podejź jak do normalnej dziewczyny. To chyba potrafisz.

— Dziękuję za dobrą radę — uśmiechnął się Kociuba.

Czerwonego „Jaguara” znaleziono na bocznej drodze niedaleko Sochaczewa. Bak był pusty. Najwidoczniej złodzieje jeździli, dopóki wystarczyło im benzyny, a następnie zostawili wóz i zbiegli. Okazali się na tyle wspaniałomyślni, że nie zniszczyli ani karoserii, ani nie pocięli żyłkami siedzeń.

Lechocki był zachwycony. Przyszedł do komendy z bukietem pięknych róż i z niezwykłą serdecznością dziękował Kociubie za pomoc, wychwalając pod niebiosa sprawność i nadzwyczajną operatywność milicji.

Franek ze skromnym uśmiechem przyjął te wyrazy uznania, nie uważał jednak za konieczne wyjaśniać, że czerwonego „Jaguara” spostrzegł zupełnie przypadkowo jakiś motocyklista, który zawiadomił komendę w Sochaczewie.

— Chciałbym pana zaprosić na skromny obiadek, panie poruczniku — powiedział Lechocki. — Czy na przykład jutro dysponowałby pan czasem?

Kociuba odmówił bardzo grzecznie, ale stanowczo, motywując to tym, że obecnie ma tyle pracy, iż jest to zupełnie niemożliwe. Może kiedyś w przyszłości.

Lechocki zbytnio nie nalegał. Raz jeszcze wygłosił swą dziękczynną tyradę i wyszedł z komendy.

— Jakiś mocno „nadziany” gość — powiedział sierżant Maciaszek.

— Są jeszcze i u nas ludzie z grubą forszą — westchnął Kociuba. — Nie wiadomo tylko, jak się to

robi.

— Jak trochę dłużej popracujesz w służbie śledczej, to się dowiesz, jak to się robi — pocieszył go Maciaszek.

Idąc za radą szefa, Franek skontaktował się z kontrwywiadem. Przyjął go major Stasiak. — Czy to może wy jesteście tym asem służby śledczej, odkrytym przez Downara? — spytał, częstując papierosami młodszego kolegę.

— Majorowi Downarowi bardzo dużo zawdzięczam — wyjaśnił trochę sztywno Kociuba, który poczuł się dotknięty tym żartobliwie protekcyjnym tonem. — Ulokował mnie w Szczytnie, w szkole oficerskiej, następnie pomógł mi przenieść się do Warszawy... A asem służby śledczej nigdy nie byłem, nie jestem i w ogóle nie chciałbym, żeby to słowo kiedykolwiek przyłgnęło do mojej osoby. To określenie zostało już aż nadto zdeprecjonowane w filmach, w powieściach kryminalno-spiegowskich i w skeczach rewiowych.

Stasiak roześmiał się wesoło. — Dajcie spokój. Przecież żartowałem. Jeżeli was uraziłem, to bardzo przepraszam. Jestem od dawna zaprzyjaźniony z majorem Downarem i dlatego... Nie dąsajcie się już i powiedzcie, z czym przychodzicie.

Franek pokrótce zrelacjonował swoją sprawę, powołując się na majora Płotowskiego.

— Płotowskiego znam doskonale — powiedział Stasiak. — Bardzo fajny chłop. Ma duże poczucie humoru. Czekać. Więc mówicie, że... Marlena Weyman... Obywatelka belgijska... Mieszka tutaj w Jabłonie. Zaraz, zaraz... To nazwisko nie jest mi obce. Wiecie co? Zróbmy tak: Wpadnijcie do mnie jutro rano, a ja postaram się dostarczyć wam wszystkich możliwych informacji, dotyczących tego dziewczęcia. Zgoda?

— Bardzo dziękuję, panie majorze. O dziesiątej?

— Możecie przyjść nawet i o dziewiątej. Nawet lepiej, bo nie jest wykluczone, że będę musiał wyskoczyć na miasto. To na razie. Cześć. I jeszcze raz przepraszam za ten żart. Nie chciałem wara zrobić przykrości.

Na drugi dzień, punktualnie o dziewiątej, Kociuba stawiał się na Rakowieckiej. Major Stasiak przyjął go bardzo serdecznie.

— Siadajcie, siadajcie. Tak jak obiecałem, mam dla was garść informacji o Marlenie Weyman. Otóż to... — Wyjął z szuflady kartkę papieru, pokrytą maszynowym pismem, włożył okulary i przeczytał: „Marlena Weyman, córka Walentyny Małoborskiej i Konrada Weymana, lekarza chirurga, Niemca, który po dojściu do władzy Hitlera musiał uciekać z Niemiec do Anglii, ponieważ był zdecydowanym przeciwnikiem reżimu. Marlena Weyman urodziła się w Londynie w roku 1941. Z zawodu jest archeologiem. Po raz pierwszy do Polski przyjechała przed trzema laty, aby odwiedzić swą ciotkę, siostrę matki, która mniej więcej w rok po tej wizycie została zamordowana w tajemniczych okolicznościach. Sprawcy zbrodni dotychczas nie zostali ujęci, a i motywy morderstwa nie są znane”.

— A Marlena Weyman? — rzucił pytanie Kociuba.

— Jej już wtedy dawno nie było na terenie Polski. Wizyta u ciotki trwała miesiąc.

— A teraz?

— Teraz przyjechała jakoby w celach naukowych. Pozostaje w ścisłym kontakcie z Polską Akademią Nauk. Chodzi jej o jakieś archeologiczne sprawy. Zbiera materiały do pracy doktorskiej czy coś w tym rodzaju. Zatrzymała się rzeczywiście w Jabłonie, w willi ciotki, w której mieszkają także jacyś dalecy jej krewni. To wszystko.

— A jaki jest stosunek do niej waszego resortu? — spytał Kociuba.

Stasiak wzruszył ramionami. — No, cóż... właściwie nie mamy do niej żadnej pretensji. Nic nie wskazuje na to, żeby prowadziła jakąś podejrzaną robotę. Chcecie się z nią skontaktować?

— Właśnie mam taki zamiar — powiedział Kociuba — Tylko nie bardzo wiem, jak ją zahaczyć. Wolałbym, żeby się nie domyśliła, że pracuję w milicji.

— No cóż... — Stasiak uśmiechnął się. — Wiem z własnego, wieloletniego doświadczenia, że, jeśli chodzi o kobiety, to najlepszą „zahaczką” jest zgrabny flircik. Jeżeli wpadniecie jej w oko, w co nie wątpię, to nie będzie was wypytywała, gdzie pracujecie, co robicie, itede... Na te tematy

rozmawia się dopiero o wiele później.

Frankowi przypomniały się słowa sierżanta Maciaszka i zrobiło mu się wesoło.

— Zastosuję się do tych wskazówek.

— Tylko bardzo was proszę, bez przesady, i pamiętajcie, że ja żadnej odpowiedzialności nie ponoszę — zastrzegł się Stasiak z udaną powagą.

Roześmieli się

I tak Franek, po pracy w komendzie, zaczął krążyć w okolicach Jabłonny. Przede wszystkim postanowił dobrze zapoznać się z terenem. Poza tym wypożyczył sobie z biblioteki kilka popularnych książek z dziedziny archeologii i z zapalem czytywał je wieczorami. Przy okazji stwierdził, że ta „tajemnicza” archeologia jest niezwykle interesującą nauką. „A może by wystąpić z milicji i zostać archeologiem?” — myślał. Ale zaraz pojawiła się refleksja, że na pewno jeszcze wiele innych dziedzin nauki mogłoby go zafascynować. Nie można w życiu robić wszystkiego. Przy tej okazji przypomniał sobie, jak kiedyś major Płotowski proponował mu, żeby pomyślał o studiach w dziedzinie kryminalistyki i kryminologii. Warto by się nad tym zastanowić i po odbyciu paroletniego stażu w komendzie zapisać się na uniwersytet. A może dałoby się połączyć studia z pracą. Na pewno major poszedłby mu na rękę.

Po paru dniach znał już Jabłonne jak własną kieszeń, mógł po ciemku trafić do owej willi i wiedział, jak wygląda pani, a raczej panna Marlena Weyman. Była rzeczywiście bardzo efektowną kobietą. Wysoka, szczupła, wyjątkowo zgrabna, poruszała się jak baletnica. Ubierała się elegancko, bez przesadnej agresywności. W twarzy jej o regularnych, mocnych rysach było coś takiego, co mogło działać onieśmielająco, a wrażenie to potęgowało jeszcze spojrzenie ciemnych, poważnych oczu. Jeździła wysłużoną „Skodą”, ale bardzo często chodziła na piechotę. Zauważył, że lubiła spacerować. To napełniło go otuchą.

Pewnego dnia po południu Franek doszedł do przekonania, że już najwyższy czas, aby przystąpić do akcji. Dosyć tego „badania terenu”.

Wziął na odwagę i po prostu podszedł do niej na ulicy: — Bardzo przepraszam, czy pani nie orientuje się przypadkiem, gdzie tutaj mieszka pani Marlena Weyman? Powiedziano mi, że w którejś z tych willi, ale...

Spojrzała na niego zdziwiona. Nigdy jeszcze nie widział jej z tak bliska. „To rzeczywiście prawdziwa dama — pomyślał zmieszany. — Jak z powieści.”

— Ja się nazywam Marlena Weyman — powiedziała.

— Co za traf! — wykrzyknął, dobrze udając zachwyconego. — Zupełnie nieprawdopodobne. Ja panią pytam, czy pani nie wie, gdzie mieszka pani Weyman, a to właśnie pani...

Uśmiechnęła się. — Ma pan duże zdolności aktorskie, ale niech się pan już nie męczy tym udawaniem.

Zmieszał się nie na żarty. — Nie rozumiem... — bąknął.

— Doskonale pan rozumie. Przecież od pewnego czasu chodzi pan za mną, śledzi mnie pan. Nawet już miałam podejść do pana i spytać, czego pan właściwie chce?

Franek zaczerwienił się tak, że aż go uszy zaczęły palić. „As służby śledczej — pomyślał ze wstydem. — Subtelna, koronkowa robota. Cholera jasna.” — Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej i tak eleganckiej pani — powiedział po prostu. Słowa te zadźwięczały szczerze, bo właściwie rzeczywiście tak myślał.

Dając bezpośredni wyraz swemu zachwytowi, Franek mimo woli obrał najlepszą taktykę. Nie ma na świecie kobiety, która by z prawdziwą przyjemnością nie słuchała hymnów pochwalnych na cześć swej urody, a kobieta po trzydziestce staje się z każdym rokiem coraz bardziej czuła na te sprawy.

Marlena Weyman uśmiechnęła się zyczliwie. — Czy mam uwierzyć, że w dzisiejszym, zmaterializowanym świecie trafiają się jeszcze błędni rycerze, gotowi z pełnym romantyzmu poświęceniem służyć wybrankom swego serca?

— Gdyby pani zagrażał jakiś straszliwy, stugłowy smok, gotów jestem natychmiast ruszyć na niego z mieczem w rękę! — wykrzyknął z zapalem Franek.

Potrząsnęła głową. — Na razie nie wymagam od pana tak wielkich ofiar. W tej chwili nie zagraża mi żaden smok, obawiam się natomiast grypy. Po tym deszczu bardzo się ochłodziło. Zmarzłam. Może zaszedłby pan do mnie na szklanke gorącej herbaty z rumem?

— Nie śmiem nawet marzyć o takim szczęściu.

— Niech pan tylko nie będzie zbyt patetyczny, panie rycerzu. To bywa nudne na dalszą metę. Ale jak właściwie panu na imię?

— Najmocniej panią przepraszam — powiedział zażenowany Franek. — Zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Kociuba, Franciszek Kociuba.

Podala mu rękę. — Moje nazwisko już pan zna. A więc konwenansom stało się zadość. Chodźmy teraz na herbatę.

Willa była duża, jednopiętrowa, urządzona luksusowo. Autentyczne antyczne meble, dywany, duże lustra w starych, złożonych ramach. Na ścianach portrety dostojników świeckich i kościelnych, trofea myśliwskie, strzelby, pistolety, kordelasy, karabele. „Istne muzeum — pomyślał Kociuba, rozglądając się mimo woli za filcowymi kapturami. — Jak to wszystko uchowało się tu w czasie wojny? Że też tego Niemcy nie wywieźli.”

— Podoba się panu u mnie? — spytała Marlena.

— Czuję się jak w jakimś pałacu albo jak aktor grający rolę w historycznym filmie.

— Moja ciocia lubiła stare rzeczy. Kupowała, ściągała różne graty od całej rodziny, kazała odnawiać, konserwować. Takie już miała hobby.

— Czy pani mieszka tutaj sama?

— Ja właściwie mieszkam tu chwilowo. Po śmierci cioci zajęli tę willę nasi dalsi kuzyni. Teraz wyjechali na urlop do Bułgarii i zostałam sama.

— Dużo trzeba pracy, żeby taki dom utrzymać w porządku.

— Mam gosposię, która przychodzi co drugi dzień, a do jakichś poważniejszych prac bierze się sprzątaczkę. Właściwie to ja jestem bardzo nierozsądna — powiedziała nagle.

— Dlaczego?

— Bo zaprosiłam do domu zupełnie nieznanego człowieka. — Mógłby mnie pan zamordować, ograbić...

— Mógłbym — przytaknął spokojnie Kociuba.

— Ale pan tego nie robi? — Spojrzała na niego podejrzliwie.

— Raczej nie. Nigdy nie robię rzeczy bezcelowych. Pieniądzy ma pani przy sobie zapewne bardzo mało, a tych antyków na plecach nie wyniosę. Co innego gdybym miał pewność, że pani przechowuje tu większe ilości dolarów i cenną biżuterię...

— To znaczy, że nie uważa się pan za człowieka stuprocentowo uczciwego.

Wzruszył ramionami. — Bo ja wiem. Właściwie się nad tym nie zastanawiałem. Powiadają, że uczciwość większości ludzi można zmierzyć wysokością sumy. Jeden zabija taksówkarza, żeby mu zrabować kilkaset złotych, a drugi zaczyna robić świństwa, poczynawszy od dziesięciu tysięcy dolarów.

— Interesująca teoria. A pan?

— Nie wiem. Przyznam się pani szczerze, że nigdy moja uczciwość nie została wystawiona na próbę. Nie potrafię więc udzielić w tej sprawie wiążącej odpowiedzi.

Spojrzała mu bardzo uważnie w oczy. Wyczuł, że chce go o coś zapytać, ale nic nie powiedziała. Roześmiała się. — No, dosyć tych żartów. Obiecałam panu herbatę z rumem. Zaraz będzie pan obsłużony.

— Może mógłbym w czymś pomóc?

— Nie, nie. Sama sobie poradzę. Proszę, niech pan siądzie tutaj w tym staroświeckim fotelu i niech pan cierpliwie zaczeka. To nie potrwa długo. Tylko proszę nie zasnąć, bo fotel jest bardzo wygodny.

Wolterowski fotel był rzeczywiście niezwykle wygodny. Kociuba zagłębił się w nim, oparł głowę o boczną poduszkę i od razu ziewnął. „To jest idealny mebel do poobiedniej drzemki — pomyślał z zazdrością. — Ale gdyby nawet zdobyć się na kupno takiego fotela, to gdzie go postawić? W tym nowoczesnym mieszkaniu? Zająłby pół pokoju. Dawniej to budowali mieszkania.”

Znowu ziewnął. Zaczęła ogarniać go coraz większa senność. To groziło kompromitacją. Podniósł się więc z zabytkowego mebla i zaczął się przechadzać. Puszysty dywan tłumił jego kroki.

Podszedł do oszklonej szafy z książkami. Otworzył ją i przez chwilę przyglądał się grubym tomom, oprawionym przeważnie w skórę. Wyjął najgrubszy z nich. Był to album ze zdjęciami rodzinnymi. Grube, pożółkłe karty z wypłowiałymi podobiznami różnych mężczyzn i kobiet w dziewiętnastowiecznych strojach. Potem następowały bardziej nowoczesne fotografie, dziwnie nie pasujące do tego potężnego albumu, zamykanego na solidną, mosiężną klamrę. Nagle Kociuba drgnął gwałtownie. Zobaczył zdjęcie Wojtasikowej, żony kłusownika. Podobieństwo było tak uderzające, a twarz tej kobiety tak charakterystyczna, że trudno było uwierzyć w możliwość jakiegoś sobowtóra. Nie, nie, to niemożliwe. To nie sobowtór. To Wojtasikowa. Te same oczy, to samo spojrzenie, ta sama końska szczeka. „Ale skąd, u diabła, fotografia tej baby, żony kłusownika, w albumie rodzinnym starej arystokratki?”

Tak był pochłonięty tym odkryciem, że nie usłyszał, jak weszła Marlena.

— Widzę, że zainteresował się pan szafą z „białymi „krukami” — powiedziała żartobliwie.

— Na razie przeglądałem pamiątkowy album rodzinny. Lubię stare fotografie.

— Ciężkie były kiedyś te pamiątki rodzinne, dużo ważyły — roześmiała się Marlena. — Proszę na herbatę.

Usiedli koło owalnego, misternie rzeźbionego stolika.

— Dużo cukru? — spytała.

— Jeżeli herbata z rumem to proszę dwie łyżeczki. Dziękuję. Powiedziała pani przed chwilą, że jest pani osobą lekkomyślną, ponieważ zaprasza pani do domu nieznajomych. Ja także mogę powiedzieć, że jestem ryzykantem.

— A to dlaczego?

— Bo mogła pani na przykład do tej herbatki razem z rumem dolać odpowiednią dawkę arszeniku.

— Dlaczegoż miałabym pana otruć?

— Nie wiem. Może dla zabawy.

— Ma pan makabryczne pomysły. A może pisuje pan powieści kryminalne?

— Broń Boże.

— A można wiedzieć, czym pan się zajmuje?

— Archeologią.

— Niemożliwe!

— Dlaczego?

— Bo ja także jestem archeologiem.

— Wiem.

— Skąd pan wie?

— Widziałem panią w Polskiej Akademii Nauk — skłamał Kociuba. — Tam po raz pierwszy panią ujrzałem.

— O Boże! Co za poetyczny styl — roześmiała się. — I rzeczywiście jest pan archeologiem?

— Jeszcze nie skończonym. Studiuję.

— Prawda, że to ciekawa dziedzina wiedzy? — Pasjonująca.

Zaczęli rozmawiać na tematy archeologiczne. Kociuba bardzo zręcznie żonglował skąpymi wiadomościami, zaczerpniętymi z tych paru książek popularnonaukowych. Więcej słuchał, niż mówił, podsycając tylko od czasu do czasu elokwencję swej uroczej gospodyni. Właściwie był zaabsorbowany dwoma rzeczami: urodą Marleny Weyman, która rzeczywiście bardzo mu się podobała, i fotografią żony kłusownika w albumie rodzinnym. „Nie ma wątpliwości, to ona, ta angielska kobyła.” Ciągle wracał myślą do tej sprawy.

— Robi pan wrażenie roztargnionego — powiedziała wreszcie Marlena. — Może pana już znudziła ta tematyka naukowa?

— Ależ nie — zaprotestował z ożywieniem. — Mówi pani tak niesłychanie ciekawe rzeczy. Nie mogę się tylko zdecydować.

— Na co?

— Czy bardziej pasjonuje mnie archeologia, czy pani uroda.

Uderzyła go po dłoni. — Jest pan niemożliwy.

— Czy dlatego, że jestem szczerzy?

— Jeżeli ktoś chce zrobić karierę naukową, to musi być człowiekiem poważnym.

— Czy miłość nie jest rzeczą poważną?

— Zaczyna pan strzelać z ciężkiej artylerii. Ale muszę pana rozczarować. Ja, po pierwsze, nie wierzę w miłość od tak zwanego pierwszego spojrzenia, a po drugie, jestem w tej chwili kimś bardzo zainteresowana.

Kociuba westchnął ciężko i zrobił tak ponurą minę, że Marlena aż się roześmiała. — Za to na pociechę dostanie pan duży kawał doskonałej szwajcarskiej czekolady. Czy lubi pan czekoladę?

— Tak sobie. Owszem, lubię, jeżeli dobra.

— Ta jest wyśmienita. Uwielbiam czekoladę. Odkąd rzuciłam palenie zjadam ogromne ilości wyrobów „Sucharda”. Całe szczęście, że nie mam skłonności do tycia, inaczej nie wiem, co by to było. — Otworzyła torebkę i wyjęła z niej dwie tabliczki czekolady. Proszę, niech się pan poczęstuje. Myślę, że to nie popsuje smaku herbaty.

I nagle Kociuba poczuł, że strasznie mu zaschło w gardle. Skłębione myśli błyskawicznie poczęły mu wirować po głowie. Kobieta z czerwonego kabrioletu... Tajemnicza rozmowa ze Staszkiem Kazimierskim... Podczas sekcji w żołądku Staszka znaleziono resztki czekolady. Sam nigdy nie kupował słodczy... Więc musiał go ktoś, tuż przed morderstwem, poczęstować czekoladą... Do diabła...

— Smakuje panu? — spytała troskliwie Marlena.

— Wyśmienita. Od razu można poznać, że to zagraniczna czekolada.

Wybuchnęła serdecznym śmiechem. — Ale pana nabrałam.

— Nabrała mnie pani?

— Oczywiście. Przecież to tylko opakowanie „Sucharda”, a czekolada polska, wedłowska, czyli, jak to się teraz nazywa, 22 Lipca.

Kociuba trochę się speszył. — Przyznaję, że nie jestem takim wielkim znawcą czekolady — powiedział markotnie.

— Przepraszam za ten żart.

— Nie gniewam się.

— To bardzo się cieszę. Często robię takie kawały. Bo widzi pan... tutaj w Polsce wy macie jakieś dziwne kompleksy niższości w stosunku do wszystkiego, co pochodzi z zagranicy. Kiedyś na przykład kupiłam sobie w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, koło Nowogrodzkiej, bardzo przyjemny komplecik i wszyscy znajomi zachwycali się, jakie to piękne rzeczy wyrabiają w Belgii

— W tym, co pani mówi, jest bardzo dużo racji — powiedział Kociuba. — Naprawdę wyśmienita jest ta wedłowska czekolada w szwajcarskim opakowaniu.

Roześmieli się.

Po chwili Marlena wstała, podeszła do szafy i wyjęła z niej grubą księgę, oprawną w skórę. — Chciałabym pokazać panu bardzo ciekawą pracę z dziedziny archeologii, traktującej o prasłowiańskiej kulturze. Czy zna pan niemiecki?

— Niestety nie. Uczyłem się rosyjskiego i trochę liznałem angielskiego. Niemieckiego nie znam.

— Nic nie szkodzi. Pokażę panu ciekawe fotografie, plansze... Przetłumaczę, co będzie trzeba. Ale muszę się panu przyznać, że do czytania noszę okulary.

— To mi absolutnie nie przeszkadza. Jestem pewien, że w okularach wygląda pani równie uroczo, jak bez okularów.

— Niech pan da spokój. Albo zajmujemy się sprawami nauki, albo prawimy sobie nawzajem niezbyt mądre komplementy.

— Przepraszam. Już nie będę.

Wyjęła z torby okulary. Oprawka była identyczna jak ta, którą Kociuba miał w kieszeni. Poczuł, że robi mu się gorąco. „Psiakrew, wszystko się zgadza — pomyślał podniecony. — Nawet oprawka taka sama. Widocznie lubi ten typ oprawki. Na pewno ma kilka par zapasowych okularów.” Tylko futerał był inny, metalowy.

Kociuba nie mógł się skupić nad zagadnieniami archeologicznymi. Z największym wysiłkiem

usiłował zrozumieć to, co mówiła Marlena, i dawać mniej więcej sensowne odpowiedzi na jej pytania. Toteż odetchnął z prawdziwą ulgą, kiedy zadzwonił telefon.

— Przepraszam pana na chwilę — powiedziała Marlena i wyszła do drugiego pokoju.

„Podoba mi się ta babka — myślał niespokojnie Kociuba, patrząc w ślad za nią. — Cholernie mi się podoba, a jednocześnie... Diabli wiedzą... Co z tymi okularami? Jak sprawdzić, czy te, które mam w kieszeni, będą pasowały do jej oczu? Zaryzykować czy nie zaryzykować? A jeżeli to nie jej okulary? Zbyt duże niebezpieczeństwo Pogrzebałbym się bez ratunku.” Nie zaryzykował zamiany okularów.

Wróciła i z powrotem zasiadła do archeologicznego dzieła. Zauważył, że była jakoś podekscytowana rozmową telefoniczną. W pewnym momencie zdjęła okulary i odsunęła od siebie książkę. — Myślę, że na dzisiaj dość studiów — powiedziała.

— I ja tak sądzę — przytaknął skwapliwie Kociuba, który był już krańcowo wyczerpany oglądaniem wykopalisk. — Pani pozwoli, że wstawię to dzieło na miejsce. — Wziął ze stołu książkę. Marlena była do niego odwrócona plecami. Szybko wyjął z kieszeni futerał z okularami i wsunął go pod szafę. — To ja już chyba panią pożegnám. Bardzo dziękuję za świetną herbatę i za znakomitą wedlowską czekoladę w szwajcarskim opakowaniu.

— Nie może mi pan tego darować?

— Muszę obmyśleć jakąś niebanalną zemstę.

— Byle niezbyt krwawą.

— Do czekolady nie pasuje krwawa zemsta. Tutaj trzeba coś dowcipnego, a rzeczy krwawe są przeważnie mało dowcipne.

— Wydaje mi się, że ma pan rację.

Kociuba, wyjmując chustkę z kieszeni, upuścił zgrabnie na podłogę dziesięciozłotówkę, która potoczyła się pod potężną szafę z książkami.

— Zdaje się, że coś panu upadło.

— Głupstwo. Jakaś moneta. Może pięć złotych.

— Dobrze i pice złotych. Niechże pan wyjmie.

Kociuba klęknął. — Nic z tego, ręka mi nie wchodzi. Albo szafa za blisko podłogi, albo moja ręka za gruba.

— Niech pan zaczeka. Zaraz przyniosę parasolkę.

— Niechże się pani nie fatyguje. Naprawdę nie warto.

— Nie mogę dopuścić do tego, żeby wizyta u mnie rujnowała pana finansowo. — Wybiegła do przedpokoju i wróciła z czerwoną parasolką. — Chwileczkę. Ja to zaraz zrobię. — Ukłękła i wsunęła pod szafę parasolkę. — O, widzi pan? To nie pięć, ale nawet dziesięć złotych. I taki majątek chciał pan u mnie zostawić? Ale, ale... coś tam jeszcze jest pod tą szafą? — Wyciągnęła futerał z okularami. — A to dopiero! — krzyknęła zdumiona. — Tyle czasu szukałam tych okularów. Przetrzęsłam cały dom. Skąd one mogły się wziąć pod szafą? Zdumiewające. Chyba że gosposia, sprząając... Dziwne. To prawda, że te stare, ciężkie szafy trudno ruszyć z miejsca i praktycznie odsuwa się je raz do roku, podczas wielkanocnych porządków. Tak przynajmniej zawsze było za życia mojej ciotki. Ale cieszę się, że znalazłam te okulary. Szczególnie lubię ten futerałik. Prawda, że ładny?

— Bardzo ładny — przyznał Kociuba. — Elegancki.

— Chce pan już iść?

— Tak. Zrobiło się późno. Czy pozwoli pani, że kiedyś do pani zadzwonię?

— Jeżeli w sprawach archeologicznych, to bardzo proste. Możemy utrzymywać kontakt wyłącznie na bazie współpracy naukowej.

Kociuba pożegnał się i wyszedł. Kiedy znalazł się na ulicy, poczuł się tak, jakby wypił na czczo ćwiartkę wódki. Miał kompletny zamęt w głowie.

Major Płotowski uważnie wysłuchał relacji Kociuby.

— Czyli mamy pewność, że to Marlena Weyman rozmawiała wtedy w lesie z Kazimierskim.

— Absolutną pewność.

— A co z tą fotografią z albumu rodzinnego? Jak myślicie?  
— To na pewno Wojtasikowa, panie majorze. Głowę dałbym sobie uciąć.  
— Z tym to ostrożnie — przestrzegł go Płotowski. — Bez głowy nie poprowadzicie żadnego dochodzenia. Musicie wziąć pod uwagę różne ewentualności, bywają siostry bliźniaczki, zdarzają się sobowtóry.  
— Jaki tam sobowtór? To jest zdjęcie Wojtasikowej — upierał się Kociuba. — W całej Polsce nie znajdzie pan, panie majorze, baby z taką końską szczęką. Istna kobyła pełnej krwi.  
— Hm... — Płotowski zamyślił się. — To jest rzeczywiście dziwna sprawa. Czyżby ta Belgijka szukała żony kłusownika, jeżdżąc po lesie czerwonym „Jaguarem”. Jakoś mi to wszystko nie bardzo pasuje, ale z drugiej strony...  
— A czekolada? — wtrącił Kociuba.  
— To słaba poszlaka. Dużo ludzi lubi czekoladę. Może to być tylko zbieg okoliczności. Wiecie, co wam powiem?  
— Słucham?  
— Myślę, że musimy natychmiast zawiadomić majora Grabickiego i majora Downara. To przecież Grabicki prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania waszego kuzyna.  
— Tak. A co ma z tym wspólnego major Downar?  
— Downar prowadził dochodzenie w sprawie zamordowania ciotki Marleny Weyman, Anny Małoborskiej. O ile się orientuję, sprawa ta nie została wykryta.  
— Może ja podskoczę jutro do majora Downara — zaproponował Kociuba. — Właśnie miałem zamiar odwiedzić go po urlopie.

## Rozdział X

Downar z otwartymi ramionami przyjął Kociubę.  
— Franek! Jak się masz? Strasznie dawno cię nie widziałem. Cieszę się, że przyszedłeś. Siadaj, siadaj. Zaraz napijemy się kawy. No, co u ciebie? Mów! Żenisz się? Może przyszedłeś zaprosić mnie na wesele?  
— Żenię się, panie majorze, ale dopiero chyba na Boże Narodzenie. Czekam na mieszkanie. Usuwają usterki.  
— O! To może potrwać i do Wielkanocy. Radzę ci, kup sobie trochę narzędzi i sam się zabierz do tych usterek. Hebel, dłuto, młotek, obcęgi i trochę gwoździ, to powinno wystarczyć.  
— Nie dam rady, panie majorze. Jest trochę roboty.  
— O, widzę, że cię tam Płotowski nieźle przydusza. Jak ci się z nim pracuje?  
— Znakomicie. Bardzo równy gość. Nie mogę się skarżyć.  
Downar poklepał chłopaka po ramieniu. — To bardzo się cieszę, Franuś, naprawdę bardzo. Myślałem kiedyś o tym, żeby cię może przenieść do Komendy Miasta. Co ty na to? Chciałbyś?  
— Bo ja wiem? Może bym i chciał. Wszędzie pójdę, byle robota była ciekawa, a nie papierkowe urządzenie. Przyszedłem odwiedzić pana majora po urlopie, ale oprócz tego...  
— Masz jakieś kłopoty?  
— Nie. To raczej sprawy służbowe, chociaż i osobiście jestem w to zaangażowany. Niedawno zamordowano mojego brata ciotecznego.  
Downar spoważniał. — Co ty powiesz? Szczerze ci — współczuję. Jak to się stało?  
— Ktoś go kropnął z jego własnej strzelby. Staszek był strażnikiem łowieckim. — Słyszałem, że pan major prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa niejakiej Anny Małoborskiej.  
— Mówisz o tej starej arystokratce z Jabłonny?  
— Tak.  
Downar skrzywił się niechętnie na to wspomnienie. — Owszem, prowadziłem śledztwo w tej sprawie i muszę ci się, Franuś, przyznać pod sekretem, że kłapa, kompromitacja na całej linii. Nie mogłem tego ugryźć. Ani w ząb. Sprawa poszła ad acta jako nie wykryta. Smutne to, ale prawdziwe...  
— Ale taką sprawę chyba można wznowić? — spytał Kociuba.



Downar spojrział na niego uważnie. — O czym ty myślisz, Franek? Oczywiście, że można, ale... No, może byś tak przestał bawić się w zagadki i powiedział, co masz na wątrobie.

— Czy mam mówić od początku?

— Zawsze najlepiej od początku. Mów! Słucham.

Kociuba odchrząknął, nabrał w płuca dużo powietrza i wygłosił krótkie, treściwe przemówienie, usiłując nie zapomnieć o jakimś istotnym szczególe. Kiedy skończył, Downar wstał i przeszedł się po pokoju. — Ciekawe — mruknął. — Bardzo ciekawe. I według ciebie, to jest na pewno fotografia żony tego kłusownika?

— Nie ma żadnej wątpliwości, panie majorze. Drugiej takiej gęby ze świecą szukać.

— Czy myślisz, że Marlena Weyman uwierzyła w tę twoją archeologię?

— Wydaje mi się, że tak.

— Czy ci się wydaje, czy jesteś zupełnie pewien?

— W takich wypadkach nigdy nie można mieć stuprocentowej pewności...

— Tak. Masz rację. Ale wiesz co, Franuś?

— Słucham?

— Myślę, że dobrze by było, żebyś w dalszym ciągu udawał tego archeologa, bez względu na to, czy ona w to wierzy, czy też nie.

— Pan major przypuszcza, że...

Downar usiadł i zaczął bębnić palcami po blacie biurka. — Widzisz, Franek, to jest bardzo cwane dziewczę, babeczka kuta na cztery nogi.

— Pan major ją zna?

— No jakżeż? Przesłuchiwałem ją, i to dwukrotnie. Uroczą kobietą.

— O tak! — powiedział z przekonaniem Kociuba. Downar pogroził mu palcem. — Uważaj, Franek, żebyś się nie zakochał. Taka Marlena może cię zrobić na szaro.

— Powiedziała, że wykluczone są między nami wszelkie sprawy natury romantycznej.

— Tym gorzej — uśmiechnął się Downar. — To znaczy, że ma zamiar cię rozpracować. Trzymaj się, Franuś. Niedługo się żenisz. Wspomnij sobie częściej o narzeczonej.

— Tak też i robię, panie majorze, ale co się może zdarzyć, tego nie jestem taki zupełnie pewien.

— Nie daj się, Franiu, zwieść z drogi cnoty. Kontakt ten utrzymaj. Specjalnie się nie narzucaj i zwracaj uwagę na rozmaite szczegóły. Ten pomysł z okularami, z tymi dziesięcioma złotymi, nie był najlepszy.

— Ale dlaczego, panie majorze? — zaprotestował Kociuba. — Na pewno nie mogła się domyśleć.

— Mogła — westchnął Downar. — Ale mniejsza z tym. W tej chwili nie będziemy się tym martwić.

— A jak to było z zamordowaniem tej ciotki Małoborskiej? — spytał Franek.

— Zwyczajnie. Znalaziono staruszkę uduszoną kablem elektrycznym.

— Kto ją znalazł?

— Pies strasznie wył pod drzwiami. Zainterесował się tym przechodzący milicjant. Sąsiedzi powiedzieli mu, że pani Małoborska już od jakiegoś czasu nie daje znaku życia. Ogrodnik to potwierdził, że nie mógł się z nią skontaktować.

— Jaki ogrodnik?

— Pani hrabina, tak ją nazwali, miała dochodzącego ogrodnika, który przychodził parę razy w tygodniu i opiekował się jej ogródkiem. Nawet spory ogród. Widziałeś?

Kociuba kiwnął głową. — Tak, widziałem. Bardzo ładnie utrzymany. Piękne kwiaty.

— No więc posłano po ślusarza — opowiadał dalej Downar. — Otworzono drzwi i znalaziono staruszkę martwą z kablem na szyi.

— Rabunek?

— Właśnie, że nie. Żadnych śladów rabunku. Nawet cenne pierścionki zostały na jej palcach. Żadnych śladów, ładnych poszlak, żadnych odcisków palców. Nic, absolutnie nic. Nie było się o co zaczepić. Diabli mnie brali.

— Wyobrażam sobie — powiedział Kociuba. — Mieszkała sama?

— Tak. Przychodziła do niej z rana gosposia i siedziała przeważnie do wieczora. Wtedy pojechała

na dwa dni do Radomia, na wesele córki.

— Czy miała klucze od mieszkania?

— Miała — Downar wzruszył ramionami. — Oczywiście, że ktoś mógł się tymi kluczami posłużyć. Ale w jakim celu? Nie zdołałem stwierdzić absolutnie żadnych motywów zbrodni.

— A jakieś sprawy spadkowe? Testament?

— Także nie. Miała tylko tę willę, którą zapisała już dawno Marlenie Weyman i temu swojemu kuzynowi, Rostowskiemu.

— Wyjechał teraz do Bułgarii.

— Tak. Słyszałem o tym.

— To jednak pan major w dalszym ciągu interesuje się tą sprawą.

— Cóż chcesz? Czasem trudno się człowiekowi pogodzić z taką porażką.

— Ciekawe, czy tutaj może coś dać to tajemnicze powiązanie z Wojtasikową?

Downar wzruszył ramionami. — Trudno przewidzieć. W każdym razie jest to jakiś nowy element, który trzeba przeanalizować. Twierdzisz, że Wojtasikową nie wygląda na typową żonę chłopa, kłusownika.

— Absolutnie nie. Wcale do niego nie pasuje. W ogóle nie pasuje do wsi. — Major Grabicki jest tego samego zdania.

— A propos. Trzeba by zawiadomić Grabickiego — powiedział Downar.

— Major Płotowski ma się tym zająć. Chciałbym jeszcze o coś zapytać.

— Śmiało. Pytaj.

— Czy Marleny Weyman nie było w Polsce w momencie, kiedy została zamordowana jej ciotka?

— Nie. Wyjechała do Belgii.

— A ten kuzyn?

— Ma wyraźne alibi. Był w tym czasie służbowo we Wrocławiu.

— Ciekawe, jaki związek może mieć śmierć Kazimierskiego z zamordowaniem tej staruszki — powiedział Kociuba.

Downar potrząsnął głową. — Nie sugeruj się. W tej chwili nie mamy żadnych danych po temu, żeby łączyć te dwie sprawy.

— A Marlena? Ona może być elementem wiążącym.

— Na razie nic konkretnie na to nie wskazuje. To spotkanie z Kazimierskim mogło być zupełnie przypadkowe. Może rzeczywiście pytała o drogę... Powiedz mi, czy w pobliżu domu Wojtasika nie ma jakichś zabytków archeologicznych?

Kociuba uderzył się dłonią w czoło. — Do licha! Że też mi to wcześniej nie przyszło do głowy. Oczywiście, że jest taki zabytek. W tym lesie, trochę głębiej, na wzgórzu znajdują się pozostałości jakiegoś starego dworzyszczka czy coś tym rodzaju. Zdaje się, że to się tak nazywa. Pamiętam, kiedyś, przed laty, zaprowadzili tam wycieczkę studentów. Wtedy się tym specjalnie nie interesowałem.

— A widzisz — powiedział Downar. — Widzisz, jaka sprytna babeczka. W razie gdyby doszło do rozmowy na ten temat, to powie, że pytała Kazimierskiego o drogę do zabytkowych ruin.

— To nawet nie ruiny. To po prostu coś w rodzaju kopca.

— Wszystko jedno. Wy tłumaczenie ma genialne, a ponieważ Kazimierski nie żyje...

— Właśnie — przytaknął Kociuba. — Staszek nie żyje i nie może nam powiedzieć, o czym rozmawiali. Ciekawe, czy ona szukała Wojtasika?

— To prawdopodobne. Wojtasika albo Wojtasikowej. — Downar począł cicho gwizdać: „Ach, co to był za ślub”, ale widocznie wyczuł intuicyjnie, że potwornie fałszuje, bo zaraz przerwał tą muzyczną działalność. — Miałbym ogromną ochotę obejrzeć sobie żonę kłusownika — powiedział.

— To chyba można by jakoś sprytnie skombinować. Downar potrząsnął głową. — Nie w tej chwili. Za dużo tych różnych mistyfikacji. Wystarczy, że ty odgrywasz rolę archeologa. Nie można ich zbyt mocno obstawiać, bo jeżeli te sprawy jakoś się ze sobą wiążą, to możemy narobić takiego popłochu, że potem już do niczego nie dojdziemy. Bądź sobie tym archeologiem i delikatnie flirtuj z Marleną. Zobaczmy, co z tego wyniknie. I coś ci poradzę. Nie oglądaj już tego albumu rodzinnego. Niech cię to zupełnie nie interesuje.

— To ja się już chyba odmelduję, panie majorze.

Downar wyciągnął rękę na pożegnanie, ale nagle, jakby sobie coś przypomniał, zamiast uściśnąć dłoń Franka, strzelił palcami i powiedział: — Czekaj... zaraz... zaraz... O coś ty mnie zapytał na samym początku rozmowy?

— Nie pamiętam. O różne rzeczy pytałem.

— Czekaj, czekaj... już wiem. Spytałeś mnie, czy Marleny Weyman nie było w Polsce w momencie, kiedy została zamordowana jej ciotka?

— Tak. Co pan major ma na myśli?

Downar potarł czoło. — Nic, nic. Tak mi nagle coś wpadło do głowy. No, to dobrze, Franuś. Na razie cześć. Bądź ze mną w kontakcie. Postaram się, żebyś został oficjalnie przydzielony do tej sprawy. Trzymaj się.

Major Płotowski nie był w najlepszym humorze. — Cholera jasna — mruzczał. — Nie dosyć, że mam ciągle za mało ludzi do bieżącej roboty, to jeszcze mi Kociubę zabierają dla jakiejś Marleny Dietrich. Oszaleć można. Nie mogą to dać kogoś z Komendy Miasta?

— Kociuba jest dobrze wprowadzony w tę sprawę — powiedział Grabicki, który siedział po drugiej stronie biurka. — Bardzo się może przydać.

— Wiem to wszystko, wiem — Płotowski zapalił papierosa i zaciągnął się dymem — ale mnie także przydałoby się paru ludzi do roboty.

Ktoś zastukał.

— Proszę.

Wszedł Kociuba. Przywitał się z Grabickim i spojrzał pytająco na szefa.

Płotowski uderzył dłonią w leżący na biurku papier. — Otrzymałem pismo od naszej władzy zwierzchniej. Jesteście oficjalnie przydzieleni do sprawy: Kazimierski — Marlena Weyman.

— Tak jest — powiedział służbowo Kociuba. Spojrzał na swojego szefa i dodał bardziej prywatnym tonem: — Czy pan major jest na mnie zły?

— Nie, nie jestem na was zły.

— Ale pan major jest niezadowolony.

— To nie wasza sprawa, czy ja jestem zadowolony, czy nie — powiedział rozdrażniony Płotowski, ale zaraz dodał łagodniejszym tonem: — No, zabierajcie się do tej Marleny i życzę powodzenia.

— Miły chłopak — powiedział Grabicki, kiedy drzwi się zamknęły za Kociubą.

— I zdolny — dodał Płotowski. — Będą z niego ludzie. Ma taki zdrowy, chłopski rozum.

— Czego u nas często bardzo brak — uśmiechnął się Grabicki.

Tymczasem „miły i zdolny chłopak” — siedział za swoim biurkiem, drapał się za uchem i rozmyślał nad tym, w jaki sposób zaaranżować następne spotkanie z Marleną Weyman. Mógł oczywiście zadzwonić i spotkać się z nią, ale co dalej? Na ciągłe pogawędki o archeologii nie miał najmniejszej ochoty, a poza tym bał się, że w końcu wyjdzie na jaw, że nie ma o tym wszystkim zielonego pojęcia. Wprawdzie trochę coś tam liznął, ale jego kwalifikacje naukowe w tej dziedzinie były niesłychanie skromne. „W każdej chwili może mnie zagiąć i leżeć” — myślał niespokojnie. — „Trzeba wykombinować jakiś inny temat do rozmowy. A może by tak zorganizować wycieczkę za miasto, na przykład do Pyr na pyzy, albo do Wilanowa, do «Kuźni»... Tylko że tam trzeba mieć forszę. Ciekawe, czy dadzą jakieś fundusze na reprezentację.” Przecież nie może jej zafundować tylko lody „Bambino” albo kiełbasę z rusztu na stojaka. Trochę gotówki trzeba mieć do wydania.

— O czym tak dumasz, Franuś? — spytał sierżant Maciaszek, podnosząc głowę znad papierów.

— O tym, że bez forsy daleko się na tym świecie nie zajędzie.

Sierżant roześmiał się. — O, widzę, że masz niezwykle oryginalny sposób myślenia. To są rewelacyjne złote myśli. Jak już dojdiesz do tego, jak dojść z nędzy do pieniędzy, to mi powiedz.

Kociuba podniósł słuchawkę i nakręcił numer Marleny Weyman.

Przywitała go jak starego, dobrego znajomego. — Bardzo się cieszę, że pan mnie odwiedził, panie Franku. Już myślałam, że pan się do mnie zniechęcił tym trochę przydługim wykładem na temat archeologii.

— Ale skądże znowu — zaprotestował żywo Kociuba. — To było bardzo interesujące. Pani tak barwnie potrafi mówić, tak sugestywnie. Mógłbym słuchać całymi godzinami, ba, całymi dniami, tygodniami, miesiącami... Roześmiała się. — Niech się pan nie rozpędza. To niebezpieczne.

— Dlaczego?

— Bo gotowa jestem wziąć za dobrą monetę to, co pan mówi, i wyjąć książki z szafy. Ale nie, nie, niech się pan nie boi. Dzisiaj mam zupełnie inne plany, nie naukowe.

— Z góry akceptuję wszystkie pani plany. Jestem przekonany, że pani mnie nie skrzywdzi.

— Skąd ta pewność?

— Można by to nazwać intuicją. Tak jakoś czuję, że pani jest do mnie raczej życzliwie usposobiona. Znamy się wprawdzie tak mało...

— Rzeczywiście — przytaknęła. — Znamy się bardzo mało, ale nie wiem dlaczego, wydaje mi się, że nasza znajomość datuje się od bardzo dawna.

— Na przykład od czasów prasłowiańskich — uśmiechnął się Kociuba.

— Prawie. Tylko że wtedy nie znano jeszcze metody zamrażania ludzi. Ale, mówiąc poważnie, tak się czasem zdarza, że ludzie zaraz przy pierwszym spotkaniu nawiązują jakiś bardzo bezpośredni kontakt. Warunkiem jest, oczywiście, wzajemna, pełna szczerłość.

Wzmianka na temat „szczerości” wzbudziła czujność Kociuby. „Czyżby to jakaś delikatna aluzja?” — pomyślał. — „Czyżby rzeczywiście ona mnie podejrzewała o jakąś grę?”

— Ma pani rację. Mnie także wydaje się, że znamy się o wiele dłużej.

— Ale czy pan pamięta o naszej umowie?

— O jakiej umowie?

— Mam na myśli to, żeby pan nie robił sobie złudzeń, co do możliwości jakiegoś poważniejszego flirtu między nami. Proszę zrozumieć, że jestem zakochana, mam narzeczonego i poza nim nie interesują mnie zadni inni mężczyźni. Może pan być dla mnie bardzo miłym znajomym, sympatycznym kolegą, nawet dobrym przyjacielem, ale niczym więcej.

— Zapewniam panią, że nie mam zamiaru się narzucać — powiedział stanowczo Kociuba. — Zastosuję się całkowicie do pani życzeń. Nie należę do mężczyzn, którzy działają wbrew woli kobiety.

— To mnie bardzo cieszy. Pragnę bowiem, żeby między nami nie było żadnych niedomówień.

„Czyżby znowu aluzja?” — zaniepokoił się Kociuba. Rozmowa z Downarem uczyniła go bardzo czujnym. Przypomniały mu się słowa majora: „To znaczy, że ma zamiar cię rozpracować. Trzymaj się, Franuś”. — Wspomniała pani o jakichś planach — powiedział.

— Ach, tak, prawda. Otóż jest taka sprawa, że przyjaciele mojego narzeczonego obchodzą dzisiaj którąś tam rocznicę ślubu. Urządzają przyjęcie: Dowiedziałam się o tym już po pańskim telefonie, a nie chcąc odwoływać naszego spotkania... Jednym słowem, proponuję, żeby pan pojechał z nami do nich. To bardzo mili, kulturalni ludzie. Na pewno spodobają się panu. Będzie kilka osób. Potańczymy.

— Myślę, że to nie wypada. Nie znam tych państwa. Nie mogę tak ni z tego, ni z owego...

— Ależ tak. Doskonale pan może „ni z tego, ni z owego”. To nie są ludzie, którzy bawiliby się w tego rodzaju konwenanse. A poza tym, co jest rzeczą najważniejszą, Krystyna, to znaczy pani domu, rozpacza podobno, że będzie za mało panów, a za dużo pań. Błagała mojego narzeczonego, żeby sprowadził jakichś swoich kolegów, ale on nikogo nie zdołał tak naprędce wytrzasnąć. Pomyślałam, więc...

— Jednym słowem, chce mnie pani zaangażować w charakterze fordansera — uśmiechnął się Kociuba. — Muszę panią jednak rozczarować, bo ja bardzo kiepsko tańczę.

Spojrzała na niego podejrzliwie. — Chyba się pan nie obraził, panie Franku?

— Nie obraziłem się, ale w dalszym ciągu nie wiem, czy mi wypada tak bez zaproszenia...

— Ja pana zapraszam w imieniu Krystyny i Leona. Chyba nie wymaga pan drukowanego kartoniku. Niechże się pan zgodzi. W dzisiejszych czasach już nie są modne te wszystkie ceregiele. Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi. Jest pan młodym człowiekiem, a zachowuje się pan jak własny pradziadek.

Kociuba pomyślał, że poznanie środowiska Marleny Weyman może się na coś przydać, i zgodził

się. Decyzja ta okazała się nie tylko słuszna, ale wręcz stała się punktem zwrotnym w sprawie zamordowania Kazimierskiego.

Po upływie pół godziny zjawił się narzeczony Marleny.

Kociuba samokrytycznie musiał przyznać, że trudno by mu było konkurować z Karolem Pachockim. Wzrost, sylwetka, sposób chodzenia, poruszania się, wszystko to charakteryzowało mężczyznę dużej klasy, bywającego w najlepszych towarzystwach. „Chyba jakiś arystokrata, kurczę pieczone” — pomyślał Kociuba. — A jak na nim ten garnitur leży. Niech go diabli. To jest szykowny facet. Tylko ten wąsik trochę niepotrzebny. Z tym wąsikiem wygada jak włoski amant filmowy.” W tej chwili przypomniał mu się film Viscontiego „Lampart”.

Marlena bardzo się ożywiła. Policzki jej zarumieniły się, oczy błyszczały. — Wyobraź sobie, że pan Kociuba zgodził się pojechać z nami do Moszczyńskich. Będziemy mieli jeszcze jednego tancerza.

Pachocki uśmiechnął się zdawkowo. — Bardzo to miło ze strony pana Kociuby — powiedział bez entuzjazmu.

— Napijecie się czegoś? — spytała Marlena. — Może kieliszek „Martini” albo koniak?

Pachocki spojrział na zegarek. — Jest już dosyć późno. Byliśmy proszeni na siódmą. Myślę, że Leon da nam coś do picia. Czego, jak czego, ale trunków u nich nigdy nie brakuje. Proponuję, żebyśmy zaraz pojechali.

— Dobrze — zgodziła się Marlena. — Chwileczkę zaczekajcie. Tylko się przyczeszę i jestem gotowa.

Panowie zostali sami. Zapadła chwila nieco kłopotliwego milczenia. Kociuba chciał powiedzieć coś dowcipnego, ale absolutnie nic mu nie przychodziło do głowy. Pachocki nie kwapił się z nawiązywaniem konwersacji, ale wreszcie, widocznie doszedłszy do przekonania, że należy przerwać, ciszę, powiedział: — Ładną mamy dzisiaj pogodę.

— A rzeczywiście — podchwycił Kociuba z ożywieniem. — Bardzo ładną. W ogóle wrzesień u nas przeważnie bywa pogodny.

— Chyba, że pada deszcz — zauważył nie bez słuszności narzeczony Marleny. — Pan podobno także zajmuje się archeologią?

— Owszem — Kociuba nie miał specjalnej ochoty podtrzymywać tego tematu, powiedział więc: — Pani Marlena zaprosiła mnie do państwa Moszczyńskich, ale nie jestem pewien, czy to wypada jechać do zupełnie obcych ludzi? Jak pan sądzi?

— Wypada — odparł lakonicznie Pachocki i przyglądał palcami prawej ręki wąskie wąsiki.

Weszła Marlena. Była odświeżona, pachnąca perfumami, gotowa do wyjścia. — Możemy jechać — powiedziała z uśmiechem.

Przed willą stał popielaty „Mercedes”. Pachocki usiadł kierownicą, Marlena i Kociuba usadowili się na tylnym siedzeniu. Ruszyli.

— Gdzie mieszkają państwo Moszczyńscy? — spytał kociuba.

— Niedaleko placu Narutowicza — odparła Marlena.

— Na Kromera — uzupełnił Pachocki.

Rozmowa jakoś się nie kleiła. Prawie w zupełnym milczeniu zajechali na miejsce.

Moszczyńscy zajmowali ładne, czteropokojowe mieszkanie, pamiętające dawne przedwojenne czasy, kiedy to budowano domy w ten sposób, że nawet nieco tęższy i wyższy mężczyzna mógł — się swobodnie poruszać po swoim pokoju, bez obawy, że uderzy głową o żyrandol albo że nie zdoła precyzyjnie się pomiędzy biurkiem a tapczanem. Przestrzeń życiowa państwa Moszczyńskich była tak imponująca, że Kociubę w pierwszej chwili aż zatkało. „To chyba własnościowe — pomyślał. — Cholerny metraż. Na rowerze można jeździć.”

Gospodarze powitali go uprzejmie, ale bez entuzjastycznych okrzyków, i chwilowo przestano się nim interesować. Mógł więc spokojnie, nie wysilając się na błyskotliwą konwersację, przyjrzeć się całemu towarzystwu.

Moszczyński był okazałym mężczyzną. Wysoki, potężnie zbudowany, miał szerokie ramiona, na których tkwiła duża, kwadratowa głowa, pokryta rzadkim, szpeciniastym, krótko przystrzyżonym włosiem. Twarz miał dziwnie wgniecioną w głąb, co robiło początkowo dosyć przykre wrażenie.

Trzeba się było do tego przyzwycząić. Nos szeroki, z mocno zarysowanymi nozdrzami, i wąskie, trochę skośne oczy. Pocił się obficie i co chwila wycierał kark, czoło i policzki dużą, kolorową chustką.

Madame Moszczyńska w nieomal humorystyczny sposób stanowiła kontrast swojego małżonka. Raczej drobna, powiewna, poruszała się lekko, zgrabnie, z dużym wdziękiem. Z daleka można by ją było wziąć za młodziankę dziewczynę. Zmniejszywszy jednak dystans, bez najmniejszego trudu zauważało się pomyłkę. W wyniku intensywnych kuracji odchudzających skóra na szyi i twarzy znacznie zwiotczała, czego nie zdołały zlikwidować staranne zabiegi kosmetyczne. „Zmyłkowa cizia — pomyślał Kociuba. — Idąc za nią można by pomyśleć, że to osiemnastolatka, ale jak się odwróci...”

Oprócz Moszczyńskiej i Marleny naliczył siedem kobiet. Dwie tlenione blondynki, które na pewno nie poddawały się kuracji odchudzającej, jedną „zrobioną” na rudo, jedną ucharakteryzowaną na „ognistą Hiszpankę”, z kruczoczarnymi włosami, w których tkwiła sztuczna pałowa róża, oraz trzy niczym nie wyróżniające się babeczki nieokreślonej maści. Mężczyzn było sześciu. Kociubę najbardziej zainteresował wysoki, bardzo chudy jegomość, poruszający się jak jakiś błotny ptak na długich, sztywnych nogach. Z białego kołnierzyka wysuwała się cienka, wiotka szyja, na której tkwiła niezbyt duża, zupełnie łysa głowa. „Jeżeli ten zacznie tańczyć sambę...” — uśmiechnął się do siebie Kociuba. Zauważył, że owego chudzielca, który znakomicie nadawałby się do roli Don Kichota, — oboje Moszczyńscy traktują z widoczną atencją, zwracając się do niego per „drogi panie Aleksandrze”. On zaś kiwał głową i uśmiechał się z pewną pobłażliwością, pociągając małymi łykami jakiś trunek z pękatej szklanki.

W pewnym momencie Kociuba poczuł, że ktoś lekko dotknął jego ramienia. Odwrócił się. Przy nim stała pani Moszczyńska. — Niechżeż pan podejdzie bliżej do bufeciku — uśmiechnęła się uprzejmie. — Bardzo proszę. Jakiś maleńki aperitif. Czym można pana poczęstować?

— Zdaję się całkowicie na pani gust.

— To może gin z odrobiną soku z grejpfruta?

— Bardzo proszę.

Zbliżyli się do baru na kółkach i pani Moszczyńska przygotowała cocktail. — Proszę. To tak dla zaostrenia apetytu. Za chwilę będzie kolacja.

— Chciałem panią serdecznie przeprosić za takie niespodziewane najście, ale pani Marlena...

— Wiem, wiem. Nie potrzebuje mnie pan przeproszać. Bardzo się cieszymy, że pan nas odwiedził. Będziemy miały z kim potańczyć. Opowiadała mi o panu Marlenka. Nie chcę pana demoralizować, ale wyrażała się o panu w samych superlatywach.

— Bardzo to miło ze strony pani Marleny — powiedział zaskoczony tymi komplementami Kociuba — ale nie wydaje mi się, żebym zasłużył na takie „superlatywy”.

— Określiła pana jako skromnego, dobrze wychowanego młodego człowieka, a to są cechy dość rzadkie i ogromnie cenne w dzisiejszych czasach. Co do mnie, zachwyca mnie to, że pan nie nosi długich włosów.

— Nie mam artystycznych aspiracji.

— Ach, proszę pana, dzisiejszym młodym, ludziom wydaje się, że wystarczy nie myć się, nie strzyć, nie golić, żeby osiągnąć najwyższe szczyty sztuki. To jakieś nieporozumienie. A poza tym długie włosy pasowały do żabotów, do atłasowych spodni ze złotymi klamrami, do jedwabnych pończoch. To miało swój styl, swój smak. Nie sądzi pan?

— Sądzę, że pani ma rację — odparł z uprzejmym uśmiechem Kociuba. Specjalnie nie pasjonował go problem „długowłosych” i z góry wiedział, co taka przekwitająca dama może na ten temat powiedzieć. Przez cały czas rozmowy wodził spojrzeniem za dziwnym, łysym chudzielcem, o wyglądzie zniechęconej do życia, emerytowanej czapli. Wreszcie nie wytrzymał i spytał: — Czy można wiedzieć, kto to jest ten dystyngowany, starszy pan?

— Ach, to nasz zagraniczny gość, hrabia Małoborski. Przed paroma dniami przyjechał z Londynu odwiedzić rodzinny kraj. Stale mieszka w Anglii, od początku wojny, a właściwie jeszcze nawet przed wojną. Wojna zastała go w Szkocji, gdzie był zaproszony na polowanie do jakiegoś swojego przyjaciela. To daleki krewny Marleny, a właściwie nie krewny, tylko jak by to powiedzieć...?

powinowaty. Stryjeczny brat ciotki Marleny. Nie wiem, czy pan słyszał, że biedna ciotka Marleny została zamordowana? Straszna tragedia. To była taka urocza staruszka. Oczywiście nie wykryto sprawców. Ach, ta nasza milicja. Oni by coś wykryli. W każdej dziedzinie jesteśmy zacofanym krajem, proszę pana, absolutnie w każdej dziedzinie. Scotland Yard to zupełnie co innego. Oni mają metody, nowoczesną technikę.

Kociuba chciał coś powiedzieć w obronie milicji, ale pohamował się. Uważał, że bezpieczniej będzie tego nie robić. — Może porozmawiamy o czymś weselszym? — zaproponował. — Historie kryminalne są interesujące, ale ja osobiście wolę czytać powieści o tej tematyce.

— Ma pan najzupełniejszą rację. Ja także wolę czytać kryminały, aniżeli mieć naprawdę do czynienia ze zbrodnią. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła spokojnie oglądać trupy.

Weszła gosposia w śnieżnobiałym fartuszku i w czepku na głowie. Powiedziała coś szeptem do pani Moszczyńskiej. Ta skinęła głową z aprobatą i zwróciła się do swoich gości: — Proszę państwa do stołu.

Towarzystwo wyraźnie ożywiło się. Zrobił się pewien drobny zator w drzwiach, taktownie zlikwidowany przez pana domu.

„Ale wyższe sfery towarzyskie pchają się do żarcia — pomyślał Kociuba i o mało głośno się nie roześmiał. — Jakby tydzień nic nie jedli.”

Stół błyszczał bielą obrusa, kryształami i srebrnymi sztućcami. Przy każdym nakryciu leżała kartka błyszczącego papieru, ze starannie wykaligrafowanym nazwiskiem. Pozycje konsumpcyjne były z góry zaplanowane.

Kociubę posadzono między „ognistą Hiszpanką” a przeciwniczką kuracji odchudzającej, tlenioną blondyną, pozującą na tak zwaną „sex bombę”. Musiał więc prowadzić konwersację na dwa fronty, co było o tyle uciążliwe, iż każda z pań usiłowała go zainteresować zupełnie inną tematyką.

„Ognista Hiszpanka”, która dużo podróżowała, postanowiła zapoznać go ze zwyczajami mieszkańców Południowej Ameryki, sąsiadka zaś z prawej strony, owa zażywna „blond Venus”, nie dała się odwieść od zagadnień erotycznych. Trzeba było dużego, napięcia uwagi, ażeby prowadzić tę podwójną grę słowną. Żadna z pań nie zwracała najmniejszej uwagi na to, że ta druga mówi zupełnie o czym innym.

Pan domu dwoił się i troił, ażeby rozruszać towarzystwo. Nalewał do kieliszków dobre wódki, nie szczędził paniom komplementów, sypał nie zawsze udanymi dowcipami, opowiadał nieco ryzykowne kawały i coraz częściej ocierał zroszone kroplistym potem czoło.

Po przekąskach, które były bardzo obfite i urozmaicone, podano barszcz z pasztecikami, a następnie, w dużych kielichach, zagrało czerwienią węgierskie wino „Egri Bikaver”.

— A teraz, proszę państwa, niespodzianka — powiedziała triumfalnie pani Moszczyńska. — Na pieczone mamy dzisiaj pieczeń sarnią po myśliwsku.

Rozległo się zbiorowe westchnienie zachwytu i uznania: — Ooo!

Po chwili gosposia wniosła z namaszczeniem potężny półmich z dymiącym mięsiwem, a za nią szła jej młodsza pomocnica z taką samą porcją dodatków.

Jak na komendę szcęknęły noże i widelce. Biesiadnicy ruszyli do ataku.

Kociuba nałożył sobie na talerz sporą porcję, ponieważ przekąsek prawie nie spróbował, zajęty rozmową ze swoimi sąsiadkami. Teraz obie panie na szczęście umilkły, zaabsorbowane sarnim udźcem. W ogóle nieco ciszej zrobiło się przy stole. Gospodarz dołał jeszcze wina i sam zabrał się do jedzenia, zawiąawszy sobie pod brodą dużą serwetę.

Nagle Kociuba poczuł, że coś zgrzytnęło mu między zębami. Przestał jeść. Ostrożnie wyjął to coś z ust i znieruchomiał. To była śrucina, gruba, śrucina, jedyńka albo może dwójka. „Do licha — pomyślał — skąd oni wzięli tę „sarnę? Od kogo?” A może... zupełnie przypadkowo... może trafił na trop...?

Stracił apetyt. Schował śrucinę do kieszeni i z trudem skończył jeść to, co miał na talerzu.

Potem podano kompoty, kremy, jakieś ciastka, herbatę, kawę. Nastrój stawał się coraz bardziej ożywiony. Wielokrotnie pito zdrowie gospodarzy, jako że to była piętnasta rocznica ich ślubu. Gospodarze rewanżowali się, wznosząc toasty na cześć gości i tak dalej.

Wreszcie uczta dobiegła końca i biesiadnicy z pewnym wysiłkiem podnieśli się od stołu. Wszyscy

poszli do sąsiedniego pokoju, który był przygotowany do tańca. Nastawiono adapter.

Kociuba nie należał do najlepszych tancerzy, a raczej A wprost przeciwnie. Jakoś sobie radził, dopóki rozbrzmiała wała nowoczesna, big-beatowa muzyka i dopóki jego partnerka podrygiwała w znacznej odległości, gdy jednak towarzystwo zażądało tradycyjnych tańców, sytuacja uległa znacznemu pogorszeniu. W tangu, w walcu angielskim czy w slow-foxie trzeba było niemałej techniki, żeby partnerce nie podeptać nóg. To już nie były te beztroskie podskoki — każdy sobie. Poza tym trudno mu było skupić się na tańcu, ponieważ nieustannie myślał o sarnie, która padła ofiarą kłusownika. „Jak tu się dowiedzieć, skąd oni zdobyli to mięso?” — myślał.

Towarzystwo rozochociło się. Moszczyński szalał, podobny do płasającego King-Konga. Przyśpiewywał, przytupywał i już nie troszczył się o ocieranie potu, który spływał mu strugami po szyi i policzkach.

Marlena prawie wyłącznie tańczyła ze swoim narzeczonym, wpatrzona w niego jak w przysłowiowy obraz. W pewnym momencie przypomniała sobie jednak o swoim podopiecznym i podeszła do Kociuby.

— Jak się pan bawi, panie Franku?

— Znakomicie. Jestem pani niesłychanie wdzięczny, że mnie pani zabrała ze sobą.

— Widzi pan. A nie chciał pan jechać.

— Nie wiedziałem, że to są tacy mili, bezpośredni ludzie.

— Ach, Krystyna jest urocza, a jaka przyzwoita, dobra przyjaciółka. To jest człowiek, na którym można polegać. Leon także jest bardzo miły, tylko ma trochę dziwną aparycję. Trzeba się do niego przyzwyczaić.

Kociuba pomyślał, że niełatwo jest przyzwyczaić się do „aparycji” pana Leona, ale nie podzielił się swoją refleksją.

— Może zatańczymy? — zaproponowała Marlena.

— Jestem bardzo kiepskim tancerzem, więc jeżeli pani dba o swoje pantofelki oraz o nogi...

— Drobiazg — roześmiała się Marlena. — Tutaj przeważnie panowie depczą mi po nogach. Przyzwyczaiałam się.

— Wydaje mi się, że pan Pachocki...

— Och, Karol tańczy znakomicie, przynajmniej ja tak uważam. Taniec z nim to prawdziwa przyjemność.

— Nie chciałbym zbyt jaskrawo kontrastować z panem Pachockim — powiedział kwaśno Kociuba.

Roześmiała się. — Niechżeż pan nie urządza takich historii, panie Franku. Zupełnie tak, jakby pan był zazdrosny o Karola. To nie ma sensu. Idziemy tańczyć.

Tańczyli i, o dziwo, Kociubie nawet nieźle to szło. Był dumny z siebie, ale nie zauważył, że Marlena mocną ręką przejęła w tańcu inicjatywę. Spozrzegł natomiast, że Pachocki nie był w szampańskim humorze. Parę razy pochwycił jego chmurne spojrzenie. „Zazdrosny” — pomyślał, „albo boi się, żeby jego ukochana nie powiedziała czegoś niepotrzebnego. Jest już po paru dobrych wódkach i po winie.”

Bawiono się jeszcze w najlepsze, kiedy Kociuba postanowił opuścić rozochoczone towarzystwo. Dochodziła druga. Czuł się zmęczony. Pożegnał się dyskretnie z gospodarzami, dziękując za „przemily wieczór”, i ulotnił się pociesznie, w obawie, żeby go nie zatrzymała Marlena, chodząc po schodach myślał o sarnie strzelonej śrutem.

— Z tego wynika, że tę sarnę czy też kozła zastrzelił kłusownik — powiedział Downar.

Kociuba skinął głową. — Nie ma żadnej wątpliwości. Sarnę wolno strzelać ze sztucera albo breneką. W żadnym spadku śrutem. Należałoby zbadać, skąd oni dostali to mięso. Musiał ktoś im dostarczyć. Jeżeli kłusownicy handlują sarniną, to znaczy, że to jest akcja zakrojona na większą skalę. Taki zwykły kłusownik zużywa raczej upolowaną zwierzynę na własne potrzeby, najwyżej jakiegось tam zająca odstąpi zaufanemu sąsiadowi. Ale jeżeli tacy ludzie, jak Moszczyńscy...

No tak... — przerwał mu Downar — Musimy dowiedzieć się, skąd pochodziła ta sarnia pieczeń. Ale jak to zrobić? Wprost zapytać o to Moszczyńską? Nie bardzo. To byłoby niezręczne.

— Może by przez gosposię? — podsunął Kociuba.



Downar strzelił palcami. — To jest myśl. Przez gosposię. Ale kto to zrobi? Ty nie możesz się do tego mieszać. Powiedz mi, Franek, jak wygląda ta gosposia? Młoda, stara?

— Będzie miała ze czterdzieści parę. Nawet niczego sobie, taka owszem, owszem, przy kości. Z tych wszystkich, które tam były na tym przyjęciu, to, prawdę mówiąc, ją bym wybrał.

— Czekaj, czekaj... Kogo by tu... — Downar w zamyśleniu gładził się po starannie wygolonym podbródku. — Aha, już mam. Pakuła. Oczywiście, że Pakuła.

— Czy da sobie radę, panie majorze? — zaniepokoił się Kociuba.

Downar roześmiał się. — Chyba żartujesz? Pakuła nie poradziłby sobie z gosposią. Gwarantuję ci, że nie tylko dowie się wszystkiego, ale jeszcze przyniesie do komendy kilka doskonałych kotletów.

Tym razem jednak Downar doznał poważnego zawodu. Wprawdzie sierżant Pakuła wstępny bojem zdobył sobie serce gosposi, ale o sarninie niczego się nie dowiedział. Owszem, udzieliła mu szczegółowych wskazówek, jak przyrządzać sarnią pieczeń, podała wykaz ziół i przypraw, które należy dodać, aby mięso nabrało odpowiedniego aromatu, doradziła nawet gatunki win, najlepiej pasujących do sarniny, i to wszystko. Jak zdobyć udziec sarni, tego nie wiedziała albo nie chciała powiedzieć. Twierdziła, że pan Moszczyński od czasu do czasu jeździ na polowanie i przywozi to sarnę, to zajęce, to dzika.

Downar wysłuchał relacji sierżanta i spytał: — Ale zaprzyjaźniliście się z tą gosposią?

Pakuła uśmiechnął się. — Czy się zaprzyjaźniłem? Panie majorze, jakbym tylko chciał, to choćby jutro mógłbym się z nią zenić. Zresztą muszę powiedzieć, że bardzo sympatyczna kobieta. Kazała mi tylko wąsy zgolić, bo może nie lubi mężczyzn ani z brodą, ani z wąsami, że kłuje. Ale ja się z nią nie ożenię i wąsów nie zgolę.

— Chyba będzie dobrze, jeżeli utrzymacie z nią kontakt.

Bardzo chętnie, panie majorze. Stołówkę będę miał pierwsza klasa, bo trzeba przyznać, że kobieta ugotować potrafi. Aha, i jeszcze jedna sprawa, która może pana majora zainteresować. Sami byliśmy w domu i tak sobie trochę obejrzałem mieszkanie. W przedpokoju zauważyłem bardzo ładny serdak futrzany. Mówię, że to chyba żrebaki, a ona mi na to: „Jakie tam żrebaki. To serdaczek z kozłowej skóry. Nie rozróżnia pan kozła od żrebaka, panie Władziu”.

— To bardzo ciekawa wiadomość — przyznał Downar. — Sarnia pieczeń, serdak z kozłowej skóry. Trzeba będzie przyjrzeć się temu panu Moszczyńskiemu. Nie wiecie, czym on się zajmuje?

— Nie wiem. Pytałem nawet mojej ślicznotki, ale i ona także nie bardzo wie. Powiedziała, że pan robi jakieś interesy.

Po rozmowie z Pakułą, Downar wezwał do siebie Kociubę, zapoznał go z działalnością sierżanta i powiedział: — Wydaje mi się, Franek, że będziesz musiał szczegółowo rozpracować Moszczyńskiego. Nie jest wykluczone, to jest przysłowiowa nitka, po której dojdziemy do łebka.

— Moszczyńskiego w żadnym wypadku nie nazwałbym nitką — uśmiechnął się Kociuba. — Tak na oko waży ze sto dwadzieścia kilogramów. Tańczyć może tylko w starym budownictwie. W nowoczesnym mieszkaniu wpadłby do sąsiadów, mieszkających o piętro niżej. Chłop jak gdańska szafa.

Downar roześmiał się. — To prawda, że porównanie z nitką niezbyt udane. Zajmiesz się nim?

— Chętnie, tylko nie wiem, czy to będzie zręczne. Przecież mnie zna.

— Tym lepiej. Musisz coś wykombinować, żeby nawiązać z nim kontakt na bazie waszej znajomości. A przede wszystkim trzeba by chyba zapoznać się trochę z jego życiorysem.

Chciałbym też wiedzieć, jakie na tobie zrobił wrażenie ten hrabia Małoborski, który przyjechał z Londynu odwiedzić kraj ojczysty.

Kociuba wzruszył ramionami: — No cóż... Bo ja wiem? Tak na pierwszy rzut oka robi wrażenie skrzyżowania czapli z Don Kichotem. Razem z Moszczyńskim zrobiliby zawrotną karierę filmową. Ludzie nie umieją wykorzystać swoich naturalnych możliwości.

— Rozmawiałeś z nim?

— Nie. Rozmawiałem tylko o nim z Moszczyńską.

— I co?

— Mówiłem już panu majorowi, że przyjechał z Londynu, że to stryjeczny brat ciotki Marleny... że...

— Wiem, wiem — przerwał mu niecierpliwie Downar. — Tego wszystkiego nie potrzebujesz mi powtarzać. Chodzi mi o to, jaki jest stosunek Marleny do tego gościa z Londynu.

— Nie zdołałem się zorientować. Zresztą nie mogłem się tak natrętnie dopytywać.

— Oczywiście. Ciekawe, po co ten, jak go nazywasz, Don Kichot skrzyżowany z czapłą przyjechał do Polski. Nie bardzo wierzę w te patriotyczne sentymenty.

— Dlaczego? Czasem ludzie na stare lata...

— Możliwe, możliwe — przerwał Downar — ale z własnego doświadczenia wiem, że te tęsknoty za Ojczyzną przeważnie kryją za sobą coś zupełnie innego. Oczywiście twierdzę, że i w tym wypadku... Więc słuchaj, Franek: Postaraj się utrzymać kontakt zarówno z panią Marią, jak i z Moszczyńskim. Ta sarnia pieczeń i ten serdak z kozła nie dają mi spokoju.

Jakież było zdumienie Downara, gdy na drugi dzień z samego rana dyżurny oficer poinformował go, że przyszedł do komendy obywatel Roger Małoborski i chce się z nim widzieć. — Czy wydać mu przepustkę?

— Oczywiście.

Po kilku minutach drzwi otworzyły się i wszedł hrabia Roger Małoborski. Ukłonił się sztywno i powiedział: — major Downar, nieprawdaż?

— Tak. Proszę, niech pan siada. — Określenie Kociuby wydało się Downarowi tak trafne, że omal nie parsknął śmiechem.

Usiedli przy bocznym stoliku na wygodnych fotelikach i przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem z dużym zainteresowaniem. Wreszcie Downar spytał: — Czym mogę panu służyć?

Łysa głowa hrabiego Małoborskiego poruszyła się wahadłowym ruchem, jakby to był zbyt duży ciężar dla chudej, bardzo długiej szyi.

— Przyjechałem z Londynu — powiedział bezbarwnym głosem. — Przyjechałem z Londynu specjalnie po to, żeby się z panem zobaczyć, panie majorze.

— Wielki to dla mnie zaszczyt — uśmiechnął się uprzejmie Downar.

— Ale pan oczywiście nie wie, po co ja do pana przyjechałem — mówił dalej tym samym monotonnym głosem Małoborski.

— Przyznaję, że nie wiem — zgodził się Downar — ale jest mi bardzo miło.

Chudzielec machnął niechętnie ręką. — Zostawmy te głupie uprzejmości, panie majorze. Czyż panu może być miło, że zwraca panu głowę taki stary ramol, jak ja.

— Ale...

— Nie, nie, dajmy spokój. Kiedyś za dawnych czasów dobre były te wszystkie ceregiele, ale teraz świat się zmienia, bardzo się zmienia. Najlepiej będzie, jeżeli od razu powiem, o co chodzi.

— Bardzo proszę. Chciałbym tylko jeszcze pana zapytać, skąd pan zna moje nazwisko?

— Od Marlenki Weyman. Przecież pan ją przesłuchiwał kiedyś, panie majorze.

— Tak. To było dosyć dawno.

— Mój Boże — westchnął Don Kichot skrzyżowany z czapłą. — Jak ten czas leci. Dopiero człowiek był małym chłopczykiem, o, takim, a tu już trzeba umierać. Czy pan boi się śmierci, panie majorze?

„Czego ten nieszczęsny sklerotyk chce ode mnie?” — pomyślał Downar, głośno zaś powiedział — No cóż... wydaje mi się, że każdy niezbyt chętnie żegna się z tym światem.

— Tak, tak! — Głowa osadzona na zbyt cienkiej szyi zmieniła kierunek i zaczęła teraz wykonywać ruch potakujący. — Ale już najwyższy czas, aby przejść ad rem.

— Zamieniam się w słuch — powiedział cierpliwie Downar.

— Jak już wspomniałem, panie majorze, przyjechałem z Londynu do Warszawy po to, żeby się z panem zobaczyć. Ina Ania, żona mojego stryjecznego brata, Eustachego Małoborskiego, Panie, świeć nad jego duszą, została zamordowana. Jak się dowiedziałem od Marlenki Weyman, pan, panie majorze, prowadził dochodzenie w tej sprawie.

— To jest zgodne z prawdą — powiedział Downar.

— Ale — ciągnął dalej Małoborski — sprawcy tej zbrodni nie zostali wykryci i nie ponieśli zasłużonej kary.

— Niestety, śledztwo utknęło na martwym punkcie i po pewnym czasie sprawa ta znalazła się w rejestrze tak zwanych „spraw nie wykrytych”.

— Tak — łysa głowa poczęła się znowu kołysać na prawo i lewo. — Widzi pan, panie majorze, przez ten cały czas nie mogłem się pogodzić z tym, że mordercy Ani nie zostali schwytani. Czy jest możliwość wznowienia tego śledztwa?

— Oczywiście. Jeżeli uzyskalibyśmy jakieś nowe elementy, które pozwoliłyby...

— Właśnie, panie majorze, chciałbym panu dostarczyć ewentualnie takich elementów.

— Będę panu bardzo zobowiązany. Mnie samemu nie spokoju ta sprawa. Bardzo nie lubię nie wykrytych spraw, szczególnie wtedy, gdy sam je prowadzę.

— Więc... — Małoborski przestał kołysać głową i utkwił przenikliwe spojrzenie szarych, ożywionych nagłym blaskiem oczu w twarzy swego rozmówcy. — Więc, panie majorze, ja jestem całkowicie przekonany, że to było morderstwo na tle rabunkowym.

Downar skrzywił się z niedowierzaniem. — Absolutnie nic na to nie wskazywało, proszę pana. Denatka miała na palcach pierścionki znacznej wartości, na ręku złoty zegarek. Morderca zastawił nawet trzy tysiące złotych oraz dwieście dolarów, które znajdowały się w nie zamkniętej szufladzie w szafeczce przy łóżku.

Małoborski uśmiechnął się, co robiło wrażenie, jakby zjadł coś nieświeżego. — Jeżeli ktoś idzie na polowanie na słonie albo na lwy, nie będzie po drodze strzelał do przepiórek.

— Sądzi pan, że...?

Don Kichot kiwnął głową jakby z pewnym wysiłkiem i poruszył wystającym jabłkiem adamowym. — Nie tylko sędzę, panie majorze, ale jestem pewien. Zresztą, to było bardzo zręczne posunięcie strategiczne. Sprawca tej zbrodni wprowadził pana w błąd, pozostawiając te drobiazgi.

— To wcale nie były takie drobiazgi — zaprotestował Downar. — Dwa bardzo ładne pierścionki z brylantami czystej wody. Jeden, jeżeli dobrze pamiętam, dwa karaty, drugi półtora...

— To doprawdy nic w porównaniu z tym, co miała moja bratowa.

— Czy mógłby pan to jakoś, bliżej określić? To była obca waluta, dolary, złoto?

— Biżuteria, panie majorze, wspomniała biżuteria...

— Biżuteria? Jaka biżuteria?

— Muzealna. Ania... to jest moja bratowa, od wielu lat gromadziła starą, zabytkową biżuterię. To było jej hobby. Posiadała piękną kolekcję, doprawdy piękną. Wartość tego zbioru? Bo ja wiem? To były bezcenne egzemplarze. Myślę, że miliony złotych. Tak, panie majorze, miliony.

— Takiej biżuterii nie znaleźliśmy w mieszkaniu pani Małoborskiej — powiedział Downar. — Pomimo bardzo szczegółowej rewizji.

Na suchej twarzy znowu pojawił się kwaśny uśmiech. — Wcale się nie dziwię, że panowie nie znaleźli, ponieważ tej biżuterii już wtedy nie było. Została zrabowana. Tak, panie majorze... została zrabowana. A pozostawienie tych pierścionków, zegarka i pieniędzy to był tylko manewr, żeby pana zmylić, żeby pan wykluczył rabunek jako motyw zbrodni. To było sprytnie pomyślane.

— A skąd pańska bratowa miała pieniądze na zakup tak cennej biżuterii? Przecież to musiało kosztować masę pieniędzy.

— O, to była bardzo bogata kobieta, panie majorze. Posiadała poważne konto bankowe za granicą, jeszcze z czasów przedwojennych. Przysyłano jej dywidendy na PKO. Jej świętej pamięci mąż, a mój stryjeczny brat, Eustachy Małoborski, był udziałowcem w rozmaitych przedsiębiorstwach szwajcarskich, szwedzkich, amerykańskich, angielskich. To był bardzo obrotny i zapobiegliwy człowiek. Zginął, biedaczysko, w czasie bombardowania Londynu. No cóż... na wojnie jak to na wojnie.

— I pan jest zupełnie pewien, że pańska bratowa posiadała taką wspaniałą biżuterię?

— Jakże, panie majorze? — obruszył się Małoborski. — Ja jestem zbyt poważnym człowiekiem, żeby panu zawracać głowę, nie będąc zupełnie pewnym tego, co mówię.

— Bardzo pana przepraszam — pośpiesznie powiedział Downar. — Nie chciałem pana obrazić. Nie miałem najmniejszego zamiaru poddawać w wątpliwość prawdziwości pańskich słów, tylko czasami możemy się mylić co do konkretnej wartości pewnych rzeczy.

Don Kichot skrzyżowany z czapłą zmarszczył brwi i wycedził z godnością przez zęby: — Ja się

nie myślę, panie majorze, ja się bardzo dobrze znam na tych rzeczach, ja widziałem kolekcję mojej bratowej. To było warte miliony, naprawdę miliony. Nie sądzę nawet, czy w Polsce można by znaleźć nabywcę na takie rzeczy.

Przez cały czas rozmowy Downar zastanawiał się nad tym, w jakim calu właściwie ten człowiek opowiada mu to wszystko, co się za tym kryje? Zdecydował się sprawę postawić wprost.

— Proszę mi wybaczyć, ale chciałbym pana o coś zapytać. Dlaczego przyszedł pan do mnie i dlaczego opowiedział mi pan historię o tej biżuterii?

Małoborski uczynił niecierpliwy ruch ręką. — Dziwny z pana człowiek, panie majorze. Trzeba panu pewne rzeczy powtarzać po kilka razy. Przecież już panu powiedziałem, że nie mogę pogodzić się z myślą, iż mordercy mojej biednej bratowej pozostają bezkarni. To mi nie daje spokoju. Każda zbrodnia powinna zostać ukarana. Przecież podobno nie ma zbrodni doskonałych.

— Istnieje taka teoria — przytaknął Downar. — Tym niemniej mamy niestety szereg spraw, które nie wyjaśnione idą ad acta. No cóż... my, prowadzący śledztwa, także jesteśmy tylko ludźmi, także możemy się mylić i także na pewno popełniamy błędy.

— Tak właśnie jak w sprawie zabójstwa mojej bratowej — podchwycił Małoborski. — Sprytny morderca zdołał pana przekonać, że zbrodnia nie została popełniona na tle rabunkowym. Ale właściwie...

— Załóżmy, że pan ma rację — przerwał mu Downar — i że rzeczywiście zrabowano tę bezcenną kolekcję zabytkowej biżuterii. Cóż dalej? Nie natrafiłiśmy absolutnie na żaden ślad morderców. W całej tej sprawie nie miałem nawet ani jednej osoby podejrzanej. Nic, absolutnie nic.

Starszy pan uśmiechnął się. Teraz ten jego uśmiech miał w sobie coś z wesołości. — Wcale się panu nie dziwię, panie majorze. Sądzę, że w tym wypadku nawet najlepsi fachowcy ze Scotland Yardu, który przecież posiada światową sławę, nie zdziałaliby więcej niż pan.

— Nie bardzo pana rozumiem. Czyżby pan kogoś podejrzewał?

— O właśnie — powiedział Małoborski, zniżając głos do szeptu. — Ja kogoś podejrzewam. „Stary ma fioła” — pomyślał Downar.

A Małoborski, jakby zgadując jego myśli, oświadczył uroczystym tonem: — Niech pan nie sądzi, panie majorze, jestem starym sklerotykiem i plotę coś od rzeczy. Owszem, mam sklerozę, ale jeszcze nie tak rozwiniętą, żeby mi przeszkadzała w logicznym rozumowaniu. Tak, podejrzewam kogoś o tę zbrodnię.

— Ale kogo? — spytał Downar.

— Muszę to panu, panie majorze, wszystko od początku dokładnie opowiedzieć.

— Bardzo proszę. Słucham.

Małoborski poprawił się na foteliku, odchrząknął, wytarł sobie starannie nos i zaczął mówić: — Otóż... panie majorze, przychodzą w życiu każdego człowieka takie chwile, że postanawia zrobić generalne porządki. I właśnie wtedy... — Czy... proszę pana?

— Zaraz, zaraz, chwilczkę. Proszę mi nie przerywać, bo tracę wątek. Więc o czym to ja mówiłem?

— O porządkach — odpowiedział Downar.

— Aha — Małoborski znowu odchrząknął. — Więc po kilku latach zdecydowałem się wreszcie zrobić u siebie w mieszkaniu w Londynie generalne porządki. Nie ma pan pojęcia, ile to się nazbiera najzupełniej niepotrzebnych rupieci. Aż się człowiek dziwi, skąd tyle tego wszystkiego.

— No i co? Co pan znalazł w tych rupieciach? — dopytywał się Downar, który powoli zaczynał tracić cierpliwość:

— Otóż... niech pan sobie wyobrazi, panie majorze, że w tych rupieciach znalazłem stary list Ani, to znaczy mojej świętej pamięci bratowej. Na śmierć zapomniałem o tym liście. Zacząłem go czytać i wtedy...

— Czy ma pan przy sobie ten list?

— Oczywiście. Właśnie po to do pana przyjechałem, panie majorze, żeby ten list panu pokazać. Myślę, że powinien pan wyciągnąć z niego prawidłowe wnioski — Starszy pan nieco patetycznym ruchem wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki poślódką kopertę i wręczył ją swemu rozmówcy.

Downar wyluskał z koperty arkusz listowego papieru, rozłożył go i zaczął głośno czytać:

„Drogi Rogerze! Przede wszystkim pragnę Ci donieść, iż czuję się teraz dużo lepiej. Wprawdzie lekarze mają pewne wątpliwości, co do prawidłowego funkcjonowania mojej wątroby, ale zażywam na przemian Raphacholin z Cholagogą i jakoś sobie radzę. Od czasu do czasu dobrze mi także robi Cholezol. A w ogóle uważam, że najlepsze jest leczenie ziołami, bo te wszystkie chemiczne medykamenty mają przeważnie szkodliwe uboczne działania: Zmartwiłam się ogromnie wiadomością, że masz jakieś kłopoty z prostatą, ale sądę...”

— To nieważne, to nieważne — przerwał niecierpliwie Małoborski. — Niech pan czyta ten ostatni ustęp. O, tutaj, na samym końcu.

Downar czytał: „Muszę Ci się przyznać, drogi Rogerze, że niepokoi mnie trochę Rozalia. Ostatnio jest jakaś dziwna. Może to moja bujna wyobraźnia tak pracuje, ale zaczynam się jej bać, po prostu boję się. Myślę ciągle o tym, że może niepotrzebnie pokazałam jej te wszystkie moje precjoza, ale chciałam się kogoś poradzić, jak je zabezpieczyć. Tyle się teraz czyta i słyszy o tych różnych chuliganach i złodziejach... Miałam zawsze całkowite zaufanie do tej kobiety, ale teraz... Czasami zdarzy mi się pochwycić takie jakieś jej spojrzenie, że mi się robi zimno. Boję się, że ją krzywdzę jakimiś właściwie nieuzasadnionymi podejrzeniami. Nawet zaczynam jej unikać. Ostatnio, jak byłam w Krakowie, to jej nie odwiedziłam tak jak zawsze, chociaż byłam ciekawa, co też mi ona wy wróży na następny rok. Do tej pory wszystkie jej wróżby się sprawdzały. Ale nie poszłam. Tak jakoś. Napisz mi, kochany Rogerze, co o tym wszystkim myślisz. Całuję Cię bardzo serdecznie i życzę, żeby Ci się poprawiło z tą prostatą. Czekam na wiadomości — Anna.”

Downar skończył czytać i wolno wsunął z powrotem list do koperty.

— No i co pan na to, panie majorze? — spytał Małoborski.

— Ciekawe, bardzo ciekawe. I znalazł pan ten list, robiąc porządki?

— Właśnie. Czy sądzi pan, że te szczegóły mogą się jakoś przyczynić do wykrycia mordercy czy też morderczyni?

Downar rozłożył ręce. — No cóż... trudno mi w tej chwili coś powiedzieć. To wszystko, czego się od pana dowiedziałem, rzuca niewątpliwie nowe światło na sprawę. Należałoby ustalić, kim jest ta tajemnicza wróżbiarka. Czy może wie coś bliższego o owej Rozalii?

— Nie — Małoborski ze świsem wciągnął powietrze, jakby za chwilę miał zamiar dać nurka. — Nic mi nie wiadomo o tej kobiecie. Moja, świętej pamięci, bratowa miała niestety zwyczaj zawierania czasem znajomości z osobami z nieodpowiedniej sfery, a nawet z osobami bardzo niewyraźnej kondyty. Ja rozumiem, że można mieć demokratyczne przekonania, sam przez całe życie byłem liberałem, ale w niczym nie należy przesadzać. Bardzo żałuję, że nie mogę udzielić panu żadnych informacji o tej kobiecie...

— Z tego listu wynika, że mieszka w Krakowie — wtrącił Downar.

— Mieszka albo mieszkała. Nie wiemy, czy należy tu użyć czasu teraźniejszego, czy przeszłego — zauważył Małoborski. — Jeżeli przyjmiemy, że to ona zamordowała moją bratową i zrabowała biżuterię, to należy przypuszczać, iż zmieniła adres.

— Bardzo słusznie — przytaknął Downar. — W takim wypadku na pewno zmieniła adres. W każdym razie musimy ją odnaleźć. Trochę mało mamy danych, dotyczących jej osoby, ale spróbujemy. Serdecznie panu dziękuję za odwiedziny i za to, że dostarczył mi pan takich cennych informacji

— Oby się panu te informacje na coś przydały — powiedział z westchnieniem Małoborski i wstał z pewnym wysiłkiem. Widać było, że reumatyzm poważnie daje mu się we znaki. Wyciągnął rękę na pożegnanie i, delikatnie dotknąwszy palcami dłoni Downara, dodał: — W Warszawie pozostanę jeszcze kilka dni. Gdyby pan chciał się ze mną porozumieć, proszę do mnie zatelefonować. Do widzenia, panie majorze. Miło mi było pana poznać.

## Rozdział XI

Po naradzie z Lesniewskim Downar doszedł do wniosku, nie należy lekceważyć tego, co powiedział stary arystokrata. Postanowił, nie zwlekając, pojechać do Krakowa.

Pułkownik Nagórniak radośnie powitał przyjaciela. — Stefan! Kopę lat! Nareszcie się do nas

wybrałeś. Wieki całe cię nie widziałem. Świetnie wyglądasz. Zawsze młody, zawsze pełen energii — mówił wesoło, klepiąc swego gościa po plecach.

— I ty także dobrze wyglądasz — powiedział Downar. — Może nawet trochę za dobrze — dodał, spoglądając na potężny pułkownikowski brzuch. — Apetyt ci, jak zwykle, dopisuje?

— To wszystko przez tę cholerną odchudzającą kurację — skrzywił się Nagórniak.

— Odchudzającą...?!

— No tak. Ktoś mi nabił do głowy, że tłuszcz spala tłuszcz i żebym jadł tylko tłuste rzeczy, jeżeli chcę schudnąć. No, to rąbałem, bracie, chleb ze słoniną, jajka na boczku, golonkę. Wiesz, ile mi przybyło? Dziesięć kilogramów.

— Jakiś dobry fachowiec przepisał ci tę kurację — roześmiał się Downar. — Będziesz teraz musiał nielicho nabiegać się po Plantach, żeby się pozbyć tej walizy.

Nagórniak westchnął. — Tak. To nie będzie takie proste. Właśnie od jutra mam zacząć nową kurację odchudzającą. Ale jeszcze dzisiejszy dzień należy do nas. Zapraszam cię na obiad do „Hotelu Francuskiego” albo do „Wierzynka”. Ale dlaczego my stoimy? Siadaj, Stefanku, siadaj. Mów, co cię do nas sprowadza, bo, prawdę mówiąc, nie wierzę w to, żebyś przyjechał do Krakowa wyłącznie” wiedziony miłością do mojej skromnej osoby. Pewnie znowu masz coś do „rozgryzienia”.

Downar skinął głową. — Jakbyś zgadł. Mam pewien dosyć twardy orzeszek... i chciałbym...

— Żeby, ja posłużył ci za dziadka do orzechów — dokończył Nagórniak.

— Coś w tym rodzaju. Chciałbym cię prosić o pomoc w odnalezieniu pewnej wróżki.

— Szukasz wróżki? Stefanku, bój się Boga! Gdzież się podział twój materializm dialektyczny?

Downar krótko zrelacjonował przyjacielowi, o co chodzi, starając się ograniczyć do niezbędnych faktów.

Nagórniak wysłuchał wszystkiego uważnie, klepnął się po brzuchu i powiedział: — Hm... To nie taka łatwa sprawa. Jakie właściwie masz dane odnośnie tej wróżki?

— Wiem tylko tyle, że mieszka albo mieszkała w Krakowie, że posługuje się imieniem Rozalia i że przyjaźniła się z hrabiną Małoborską, starą, zdziwaczałą arystokratką.

— Mało, diablo mało. Czort ją wie, czy rzeczywiście ma na imię Rozalia, a poza tym, jeżeli to ona kropnęła staruszkę, to już jej dawno nie ma w Krakowie — Nagórniak z zakłopotaniem podrapał się po łysiejącej czaszce. — No cóż... spróbujemy. Wyślę na miasto moich najsprytniejszych ludzi. Zobaczymy, co z tego wyniknie. My tymczasem pójdziemy coś przekąsić. Czuję się dziwnie czczy, a takie już mam usposobienie, że o pustym żołądku nie mogę wpaść na żaden dobry pomysł.

— Czy ty przypadkiem po obiedzie nie sypiasz? — zaniepokoił się Downar.

— Ależ skądże. Właśnie po obiedzie najintensywniej pracuję. Czy nie wiesz o tym, że poobiednie drzemki bardzo tuczą?

Downar pomyślał, że „intensywna praca” najwidoczniej także bardzo tuczy, ale nic nie powiedział. Nie chciał już dokuczać przyjacielowi.

Poszli więc do „Wierzynka”. Przy obiedzie rozmawiali wesoło o tym i o owym. Downar musiał wysłuchać cierpliwie najnowszych krakowskich plotek oraz kilku kawałów, z których śmiał się raczej przez uprzejmość, sam zaś opowiedział trochę o sobie i o wspólnych znajomych. Dopiero przy kawie Nagórniak nawiązał do właściwego tematu. — Rozalia, powiadasz — mruknął zapalając papierosa — Hm. Rozalia. Imię obecnie niezbyt często spotykane. Musi być chyba niezbyt młoda.

— Na pewno — przytaknął Downar. — Stara pani Małoborska nie zaprzyjaźniłaby się z byle siksą. To musi być kobieta co najmniej w średnim wieku, na pewnym poziomie, sprytna, dosyć inteligentna, umiejąca sobie zjednywać ludzką sympatię... To nie może być taka jakaś zwykła, prymitywna kabalarka.

— Kto chodzi do wróżki? — zadumał się Nagórniak. — Kto chodzi do wróżki? — powtórzył po chwili. — Młodzież chyba nie. Raczej ludzie starsi bawią się w takie rzeczy.

Downar potrząsnął głową. — Niekoniecznie. Sporo młodych dziewcząt, studentek, uczennic ze starszych klas licealnych lubi posłuchać, co mówią karty o ich przyszłości, się dowiedzieć, czy wysmukły brunet kocha nad życie albo czy najdroższy blondyn flirtuje z tą zgagą, damą karową.

— Hm — Nagórniak skończył pić kawę i zaciągnął się dymem. — Może i masz rację, Stare baby nie mają już tych problemów. W każdym razie wydaje mi się, że wszelkiego rodzaju wróżby z kart, z kuli, z ręki „to raczej dziedzina kobiet. Mężczyźni rzadziej zajmują się takimi sprawami.

— Z tego, co mówisz, wynikałoby, że ewentualnych klientów naszej Rozalii należy szukać wśród kobiet — powiedział Downar. — Z tym jestem gotów się zgodzić. Teraz należałoby ustalić, z jakich sfer rekrutują się amatorki wróżb.

Nagórniak uśmiechnął się. — O, to jest bardzo trudne. Mogą to być kobiety z najrozmaitszych środowisk, począwszy od kelnerki czy ekspedientki, a skończywszy na pani profesor, która w tajemnicy przed najbliższą nawet rodziną każe sobie stawiać kabałę, żeby się czegoś dowiedzieć o niewiernym Kaziu.

— Oczywiście — zgodził się Downar. — Ale procentowo na pewno więcej będziemy mieli właśnie kelnerek, ekspedientek, fryzjerek czy też masażystek.

Nagórniak skrzywił się sceptycznie. — Czy ja wiem. Możliwe. No cóż... Musimy trochę zaczekać. Zobaczymy, co zdziałają moi ludzie. Na razie chyba poprosimy o rachunek.

Nazajutrz dostarczono do komendy trzy Rozalie, które trudniły się wrózeniem z kart. Pierwsza to była Cyganka, młoda, ładna dziewczyna, o dużych, niespokojnych oczach i wąskich, mocno zaciśniętych ustach. Nie wiedziała, czego od niej chcą. Była najwyraźniej przestraszona i powtarzała bez przerwy, że musi wracać do chorego dziecka, że nic nie ukradła i o niczym nie wie. — Jestem niewinna, panowie, jestem niewinna — mówiła jęklwym, zawodzącym głosem. — Ja nigdy nic nie ukradłam. Jak żyję, nic nie ukradłam. Jestem niewinna.

Downar bardzo szybko zorientował się, że to nie mogła być powiernica hrabiny Małoborskiej i kazał zwolnić Cyganke.

Druga Rozalia także nie wchodziła w grę. Stara, zapijaczona wiedźma, jakby wyjęta z bajki „Jaś i Małgosia”. Mówiła coś bez sensu i głośno się śmiała z własnych dowcipów. Nie, to na pewno nie była przyjaciółka pani Małoborskiej.

Trzecia i ostatnia ze znalezionych Rozalii mogła ewentualnie być wzięta pod uwagę. Była to emerytowana nauczycielka, osoba starsza i niewątpliwie zdziwaczała. Odznaczała się jednak dość bystrą inteligencją i szybko, dowcipnie odpowiadała na zadawane jej pytania. Nie znała pani Małoborskiej i nigdy o niej nie słyszała. Czasami wróżyła z kart, ale zasadniczo interesowała się zagadnieniami związanymi ze spirytyzmem i telepatią. Nie omieszkała też wygłosić krótkiej prelekcji na temat przekazywania myśli na odległość. Downar musiał tego cierpliwie wysłuchać, a następnie pośpiesznie pożegnał staruszkę, przeczuwając, że nie skończy się na tym wykładzie. Dokładnie przeprowadzony wywiad pozwolił ustalić, że entuzjastka telepatii od kilkunastu lat nie opuszczała Krakowa, mając zdecydowany wstręt do wszelkiego rodzaju środków komunikacyjnych.

— No i co? — spytał Nagórniak, kiedy Downar skończył rozmawiać z Rozaliami.

— No i nic. Żadna nie pasuje do mojej sprawy.

— Hm — Nagórniak pogłodził się po nie ogolonym policzku. — Wiesz, co ci powiem, Stefanku? Chodźmy do pana Henia.

— Do pana Henia? A któż to taki?

— Mój nadworny fryzjer. Ja się ogolę, ty się ostrzyżesz, a przy okazji pogadamy sobie z panem Heniem.

— Sądysz, że...?

Nagórniak uśmiechnął się. — Nie muszę ci chyba wyjaśniać, kto jest najlepszym źródłem informacji, kelner, fryzjer, taksówkarz, dozorca i prostytutka.

— No, to chodźmy do tego twojego fryzjera — zgodził się Downar.

Pan Henio miał już po pięćdziesiątce i od urodzenia mieszkał w Krakowie. Wysoki, szczupły, prawie zupełnie łysy, poruszał się zwinnie i z wystudiowaną gracją, która robiła nieco pretensjonalne wrażenie. Mówił dużo i chętnie, posługując się okrągłymi zdaniami i wtrącając od czasu do czasu jakieś słowo zaczerpnięte z obcego języka. Był zawsze bardzo czysty, gładko wygolony i pachniał na znaczną odległość mocną wodą kolońską.

— Moje uszanowanie, panu pułkownikowi! — wykrzyknął radośnie, zginając się w usłużnym ukłonie. — Moje uszanowanie. Już dawno nie widzieliśmy u nas pana pułkownika. Jak zdrówko? Jak zawsze dopisuje? Proszę, proszę uprzejmie, może na tym foteliku będzie panu pułkownikowi wygodniej. Czym mogę służyć? Golonko z kompresikiem i masażyk twarzy. Wiem, wiem, jak zwykle.

Nagórniak usiadł ciężko na fryzjerskim fotelu, sapnął i powiedział: — Może mnie pan także trochę przystrzyć, panie Heniu.

— Służę uprzejmie.

Downar ulokował się na sąsiednim fotelu, poprosił o strzyżenie i spod oka obserwował zaprzyjaźnionego z Nagórniakiem fryzjera, który całym swym zachowaniem przypominał dawno minioną epokę. W ugrzeczionych lansadach krzątał się wokół swojego klienta, prawiąc komplementy i sypiąc jak z rękawa najnowszymi ploteczkami z „wyższych sfer towarzyskich”. — Niech pan sobie wyobrazi, panie pułkowniku, że żona mecenasa Kopycińskiego wniosła sprawę rozwodową, podobno zakochała się w jakimś aktorze, młodym, bardzo przystojnym chłopcu, i chce za niego wyjść za mąż. Pan pewno zna panią Kopycińską. Taka wysoka, postawna blondynka, tleniona. Trzeba przyznać, że bardzo efektowna pani. Nie wydaje mi się, żeby to jednak był rozsądny z jej strony. Związać się z takim młodym chłopakiem, to zawsze jest spore ryzyko. Do tego jeszcze aktor. Nie, nie, nie powinna tego robić. Może potem bardzo żałować. Jak pan sądzi, panie pułkowniku?

Nagórniak mruknął coś niewyraźnie. Po pierwsze, nie miał ochoty wdawać się w dyskusję na temat sprawy rozwodowej żony mecenasa, a po drugie, był tak obficie namydlony, że nie mógł swobodnie poruszać wargami. Pan Henio hołdował teorii, że dobre golenie zależy od starannego i długotrwałego namydlenia twarzy.

Po „kronice towarzyskiej” przyszła kolej na refleksje polityczne, a następnie pan Henio przerzucił się na tematy meteorologiczne, wygłaszając teorię, że te wszystkie zmiany klimatu spowodowane są bez wątpienia lotami międzyplanetarnymi i „tymi różnymi sputnikami”. Nagórniak, mając brzytwę na gardle, nie próbował protestować i raczej pomrukiwał potakująco. Dopiero kiedy pan Henio odłożył groźne narzędzie, wyprostował się i powiedział: — A jak się pan zapatruje na sprawę wróżbiarstwa? Jakie jest pańskie zdanie na temat przepowiadania przyszłości?

Pan Henio energicznie potrząsnął głową. — Nie wierzę, panie pułkowniku, w te wszystkie brednie. To jest tylko jeden ze sposobów wyłudzenia pieniędzy od naiwnych ludzi. Ja jestem materialistą, trzeźwym materialistą. — To powiedziałwszy obłożył twarz swojego klienta gorącym kompresem.

— Bo widzi pan — mówił dalej Nagórniak, odzyskawszy znowu swobodę ruchów — widzi pan... jest taka sprawa, że mój przyjaciel wierzy w przepowiednie, a że ma obecnie pewne bardzo ważne problemy życiowe do rozstrzygnięcia, więc chciałby zasięgnąć rady jakiejś wróżki.

Pan Henio nie ukrywał zdziwienia. — Przyjaciel pana pułkownika poszukuje wróżki? — spytał z niedowierzaniem.

— No właśnie — uśmiechnął się Nagórniak. — Mnie także wydaje się to trochę zabawne, ale w końcu nie ma w tym nic złego. Każdy z nas miewa jakieś tam swoje słabostki.

Pan Henio skropił obficie wodą kolońską zaróżowioną od kompresu twarz swego klienta. — Doprawdy nie wiem, co by panu pułkownikowi doradzić? Ja w tej branży zupełnie nie au courant. Tu może mogłaby nam coś powiedzieć panna Wandeczka.

— Któż to jest panna Wandeczka? — spytał Nagórniak; ocierając twarz z nadmiaru pachnidła.

— Panna Wandeczka pracuje w salonie damskim.

— Można by z nią pomówić?

— Bez wątpienia, panie pułkowniku. Zaraz zajrzę do niej.

Pan Henio zniknął. Po chwili wrócił i powiedział konfidencjonalnym szeptem: — Panna Wandeczka posadzi tylko klientkę pod suszarką i już jest do dyspozycji pana pułkownika. Ja tymczasem skończę strzyżenie.

Nagórniak posłusznie poddał się nowym zabiegom fryzjerskim, a następnie wstał, przesunął dłonią po rzadkich włosach i porozumiewawczo zerknął na Downara, który siedział już od pewnego



czasu pod ścianą i zdawał się być pogrążony w lekturze „Dookoła Świata”.

— Jeżeli pan pułkownik sobie życzy, to proszę tędy — powiedział pan Henio.

Panna Wandeczka nie była już pierwszej młodości, ale jeszcze nie rezygnowała z młodzieńczej kokieterii. Wysoko natapirowane włosy miały kolor płonącego stogu siana, a obcisła suknia w poprzeczne kolorowe pasy podkreślała jej niezbyt wiotką figurę. Zniszczona nadmiarem kosmetyków twarz nie zdradzała przesadnie błyskotliwej inteligencji.

Dowiedziawszy się, o co chodzi, mistrzyni szczotki i grzebienia popadła w głęboką zadumę, jakby postawiono przed nią niezwykle skomplikowany problem do rozwikłania. Wreszcie powiedziała: — W rzeczy samej kiedyś chodziłam do wróżki, ale...

— Ale co? — podchwycił żywo Nagórniak.

— Ale się zniechęciłam. Po większej części są to osoby bez naukowego przygotowania i tylko wyłudniają pieniądze od łatwowiernych ludzi. Taką zwyczajną kabale to i ja potrafię postawić. Żadna sztuka. Prawdę powiedziawszy, odkąd zabrakło pani Rozalii, przestałam się interesować tymi rzeczami.

— O jakiej Rozalii pani mówi? — spytał na pozór obojętnie Nagórniak.

— Och — westchnęła panna Wandeczka. — To była osoba wysokiej klasy, inteligentna, wykształcona, niezwykle utalentowana. Studiowała w Indiach wiedzę tajemną. Podróżowała po całym świecie. Jak ona wróżyła, to czuło się tę jakąś siłę nadprzyrodzoną. Za każdym razem to aż mi ciarki po plecach chodziły, a w oczach tak mi się ćmiło, że zdawało mi się, że lada chwila zemdleję. Jaka szkoda, że opuściła nasze miasto.

— Czy dawno wyjechała? — spytał Nagórniak.

— O, będzie chyba już półtora roku, a może nawet więcej. Dokładnie nie pamiętam.

— Czy pani nie wie, dokąd wyjechała?

— Nie wiem. Gdzieś za granicę. Mówiła mi podczas ostatniej naszej rozmowy, że pragnie pogłębić swą wiedzę w Tybecie, ale nie wiem, czy rzeczywiście tam pojechała.

— Zapewne wyjechała na zaproszenie.

— To dla niej drobnostka. Ma przyjaciół na całym świecie. Takiej osobie każdy z przyjemnością przyśle zaproszenie.

— A gdzie mieszkała tutaj w Krakowie?

— Na Floriańskiej. Dokładnego adresu nie pamiętam, ale mam gdzieś zapisany numer w notesie. Jeżeli panowie chwileczkę zaczekają...

Dozorca miał dziwnie szklane spojrzenie i policzki koloru świeżo rozkwitłej piwonii. Jednakże towarzystwo oficerów milicji działało na niego jak sole trzeźwiące. Błyskawicznie wydobywał się z alkoholowych oparów i już po kilku minutach był zdolny odpowiadać mniej więcej przytomnie na zadawane mu pytania.

— Pani Rozalia? Wróżka? Owszem, mieszkała. Dlaczego miałyby nie mieszkać? Każdy obywatel Polski Ludowej ma prawo mieszkać w Krakowie albo w Warszawie, albo nawet w Poznaniu. Gdzie kto chce, tam może sobie mieszkać. Nie ma żadnych ograniczeń.

— Jaka była ta pani Rozalia? — spytał Nagórniak.

— A jaka miała być? Zwyczajna. Skąpa nie była, nie mogę powiedzieć. Za otwarcie bramy piątkę mi zawsze dawała, a kiedyś to nawet dychę dostałem. Musiała nie mieć drobnych.

— Dużo ludzi do niej przychodziło?

— Dużo. Jak to do wróżki. Każdy chce się dowiedzieć, co go czeka.

— A z innych miast także do niej przyjeżdżali? — Może i przyjeżdżali. Tego nie wiem.

— A nie zauważyliście takiej starej, eleganckiej pani, która przyjeżdżała do tej wróżki z Warszawy?

Dozorca wzruszył ramionami. — Nie zauważyłem. Ja się tam specjalnie nie przyglądałem ani starym, ani młodym.

— Czy może pamiętacie nazwisko tej pani Rozalii?

— Chyba że pamiętam. Nazywała się Rozalia Kelman.

— Rozalia Kelman? — powtórzył Nagórniak. — Czy nie zdawało wam się, że to może jakaś

cudzoziemka?

— Iiii, chyba nie. Po polsku rozmawiała jak każdy z nas. Niemkę albo jaką Francuzkę to zaraz po mowie można poznać. A ta i zakląć po naszymu umiała jak trza i w ogóle...

— I wyjechała z Krakowa?

— Ano, wyjechała.

— Nie mówiła, dokąd wyjeżdża?

— Mówiła, że za granicę do jakiejś tam swojej rodziny. Mnie się widzi, że ona już w ogóle do Polski nie wróci. Będzie tam czarowała jakichś Niemców albo innych Anglików. Podobnież te Italiańce strasznie rozmaitych wróżb ciekawe. Może samemu papieżowi co tam wywróży?

— Poznalibyście ją, jakbyście ją zobaczyli?

— No chyba, że bym poznał. Ja tam wszystkich swoich lokatorów do samej śmierci będę pamiętał.

— A czy moglibyście powiedzieć, jak wyglądała?

Dozorca skrzywił się. — Ładna to ona nie była. Takiej baby nie chciałbym nawet za dopłatą. Sucha, a gębę to miała całkiem jak dorożkarska kobyła. Mógł się człowiek przestraszyć. Na wróżkę może i pasowała, ale żeby narzeczonego znalazła, to bardzo wątpię. Chyba, że jaki niewidomy, a i to mi się nie widzi. Nie było co do ręki wziąć. Same gnaty.

— Nie zostały po niej jakieś rzeczy, jakieś drobiazgi? — spytał Nagórniak.

— E, jakie tam drobiazgi. Dwa słoiki po dżemie i tyle.

— A może podarowała wam coś na pamiątkę?

— Sto złotych.

— I to wszystko?

— Chyba, że wszystko. A co mi miała dawać? Mercedesa?

Downar wrócił do Warszawy. Pułkownik Leśniewski natychmiast zorganizował naradę, w której wzięli udział: Grabicki, Kociuba i Downar. Grabicki, usłyszawszy nazwisko Rozalia Kelman, aż podskoczył na krześle. — Przecież to żona tego kłusownika.

— Jakiego kłusownika? — spytał Leśniewski.

— No, tego, który jest podejrzany o zamordowanie Kazimierskiego. Nazywa się Wojtasik.

— Kociuba widział jej fotografię w willi pani Małoborskiej — powiedział Downar.

Franek skinął głową. — Widziałem, w albumie rodzinnym.

Leśniewski ożywił się. — Trzeba natychmiast zdobyć to zdjęcie. Zajmij się tym, Stefan. Kociuba niech się jeszcze nie dekonspiruje.

W godzinach popołudniowych Downar pojechał do Jabłonny. Nie mógł sprawy postawić wprost, ponieważ nie wiedział, co łączy Marlenę Weyman z krakowską wróżką. Prowadził więc rozmowę w ten sposób, żeby nie zdradzić właściwego celu swojej wizyty. W pewnym momencie poprosił o szklanekę wody. Marlena zaproponowała, że poczęstuje go dobrą, mocną herbatą. Zgodził się chętnie, wiedząc, że to zabierze jej w kuchni trochę czasu.

Zostawszy sam, błyskawicznie wyjął z szafy z książkami album i bez trudu znalazł fotografię kobiety o końskiej szczęce. Schował zdjęcie do kieszeni i postawił album na swoim miejscu. Potem pili herbatę, jedli kruche ciasteczka i rozmawiali przeważnie o pogodzie. Rozstali się w miłym, nieomal serdecznym nastroju.

Na drugi dzień z samego rana Downar poleciał samolotem do Krakowa. Pogoda była piękna i chętnie pochodziłby sobie po Plantach, ale nie mógł tracić czasu. Wiedział, że teraz należy działać błyskawicznie.

Zarówno panna Wandeczka z zakładu fryzjerskiego, jak i dozorca z ulicy Floriańskiej bez wahania stwierdzili, że to jest zdjęcie Rozalii Kelman.

— No i co? Przydałem ci się na coś? — spytał Nagórniak.

Downar klepnął przyjaciela po brzuchu. — Jesteś genialny. Twój pomysł z tym fryzjerem był po prostu fantastyczny. Zapraszam cię na porządny obiad.

Nagórniak posmutniał. — Dziękuję ci serdecznie, ale, niestety, nie mogę skorzystać.

Przeprowadzam, zgodnie z planem, intensywną kurację odchudzającą. Jadam wyłącznie sucharki i

popijam olejem sojowym. — Głos mu się załamał, machnął ręką i zaczął gwizdać desperacko „A mnie tak szkoda lata”.

— I pić także nie możesz?

— Skąd? Alkohol posiada bardzo dużą kaloryczność. Wykluczone.

Downar z wyrazem szczerzego współczucia uściśnił dłoń przyjaciela. — Bywaj zdrow. A jak będziesz w Warszawie, to mnie odwiedź. Dostaniesz zsiadłe mleko albo płynny owoc. Cześć.

## Rozdział XII

Teraz nadszedł najtrudniejszy okres. Należało działać tak, żeby możliwie szybko doprowadzić sprawę do końca, nie płosząc jednocześnie za wcześnie przeciwnika i nie wzbudzając najmniejszych nawet podejrzeń. Downar doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że jeden fałszywy krok może definitywnie wszystko zepsuć. „Spiesz się powoli” — powtarzał sobie w momentach, gdy ogarniało go pragnienie natychmiastowej, energicznej akcji. „Gdyby się nawet okazało, że biżuteria hrabiny Małoborskiej znajduje się w posiadaniu żony kłusownika — myślał — to co z tego? Dowiodę, że ukradła, ale nie zdobędę materiału dowodowego, że popełniła morderstwo. Będzie musiała się przyznać do kradzieży, ale do morderstwa się nie przyzna. Nie ma siły, żeby ją do tego zmusić. To twarda baba. Nie można liczyć na to, że się załamie.” A poza tym nie ma przecież żadnej pewności, że to właśnie ona jest zamieszana w tę sprawę. Istnieje duże prawdopodobieństwo, ale... kto wie? A może to Marlena Weyman wykończyła staruszkę i „zakosiła” biżuterię. To prawda, że w momencie morderstwa nie było jej w Polsce, mogła jednak działać za pośrednictwem jakiegoś współnika.

Z tych wszystkich wątpliwości Downar zwierzył się swojemu szefowi. Leśniewski pokiwał głową. — Wydaje mi się, że rozumiesz zupełnie logicznie — powiedział. — Coś ci poradzę. Przede wszystkim nie denerwuj się i uzbrój się w cierpliwość. Myślę, że w tej chwili najważniejszą rzeczą jest to, że się w ogóle coś ruszyło. Przypomnij sobie, że bardzo niedawno sprawa zabójstwa Anny Małoborskiej znajdowała się w rejestrze spraw nie wykrytych.

— Masz rację — przyznał Downar. — Być może, że jestem trochę niecierpliwy, chciałbym jednak już z tym skończyć, a chwilami wydaje mi się, że do końca bardzo daleko.

— Może nie tak daleko, jak myślisz — pocieszył go Leśniewski. — Teraz chyba musimy się zastanowić nad losami biżuterii starej hrabiny. Nie sądzę, żeby rabunku dokonał jakiś zwariowany hobbysta, któremu wystarcza samo posiadanie tej bezcennej kolekcji. Raczej jestem skłonny przypuszczać, że tu chodzi o bardzo konkretne korzyści materialne.

— Tego rodzaju biżuterię trudno sprzedać tutaj, u nas. Trudno i niebezpiecznie. To jest raczej towar eksportowy.

— O właśnie — przytaknął Leśniewski — To jest towar wybitnie eksportowy. Powiem ci coś, co cię powinno zainteresować.

Downar spojrzał z zaciekawieniem: — Co takiego?

— Dotyczy to pani Rozalii Kelman-Wojtasikowej. Czy wiesz, że ta dziwna żona kłusownika jest w posiadaniu paszportu zagranicznego i że w każdej chwili może opuścić naszą kochaną Ojczyznę?

— Niemożliwe! Chyba żartujesz?

— Wcale nie żartuję — uśmiechnął się Leśniewski. — Podczas gdy ty popijałeś jarzębiak u „Wierzynka”, ja przeprowadziłem rozmowę z biurem paszportowym i dowiedziałem się, że Rozalia Wojtasikowa otrzymała paszport.

— Dawno?

— Mniej więcej przed rokiem.

Downar poruszył się z zamyśleniem. — Słuchaj, to jest bardzo ciekawa historia. Przecież gdyby miała zamiar pryskać z tą biżuterią... Chyba że na coś czeka...

— Właśnie. Chyba że na coś czeka — powtórzył Leśniewski. — Na coś albo na kogoś.

Downar wstał i przeszedł się po pokoju. — Psiakrew — mruknął. — To wszystko piekielnie się komplikuje. Powiedz mi, czy dostała paszport na podstawie zaproszenia?

— Tak. Przesłał jej zaproszenie jakiś kuzyn z Belgii.

— Z Belgii? To znowu wiązałoby się nam z Marleną Weyman. Przecież ona jest obywatelką belgijską.

— Czy twoim zdaniem jest zamieszana w tę sprawę?

Downar wzruszył ramionami. — Diabli wiedzą. Trudno mi coś konkretnego powiedzieć. Ale jeżeli ta zbrodnia została popełniona za jej wiedzą czy za jej namową, to trzeba przyznać, że maskuje się genialnie. Ja raczej stawiam na tę krakowską wróżkę.

— I chyba masz rację — pokiwał głową Leśniewski. — Ona bardzo nam tutaj pasuje. Najpierw zaprzyjaźniła się ze starą Małoborską, omotała ją swoimi wróżbami, przepowiedniami, dowiedziała się o istnieniu tej biżuterii i postanowiła wzbogacić się w krótkim czasie. Wykończyła łatwownią hrabinę, zabrała precjoza i zniknęła z Krakowa, rozpowiadając, że wyjeżdża za granicę.

— Ciekawe, skąd wytrzasnęła tego Wojtasika — powiedział Downar. — Z tego, co mówi Grabicki, to prymitywny facet, zupełnie do niej nie pasujący. Chyba go w jakiś sposób zmusiła do małżeństwa.

— Albo odpaliła mu trochę forsy — wtrącił Leśniewski. — Przyczaiła się w lesie i czeka na okazję, żeby przerzucić biżuterię za granicę. To nawet zupełnie zgrabnie pomyślane.

Downar westchnął. — Pod warunkiem, że prawdziwe. Na razie to są wszystko hipotezy.

— To prawda, ale musisz przyznać, że ta hipoteza posiada wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Madame Rozalia miała wyrobioną klientelę i zupełnie nieźle jej się żyło w podwawelskim grodzie. Nagle likwiduje się z tamtejszego terenu, symuluje wyjazd za granicę i zaszywa się w „głuchej puszczy”, występując jako żona kłusownika. Z listu pani Małoborskiej dowiadujemy się, że obawiała się jakiejś Rozalii, a w pamiątkowym albumie Kociuba znajduje fotografię Rozalii Kelman-Wojtasikowej. — Chyba nie tak trudno skojarzyć sobie te fakty i wysnuć odpowiednie wnioski. Wydaje mi się, że to jest właściwy trop. Bywają oczywiście zupełnie niezwykle zbiegi okoliczności, ale...

— To wszystko trzyma się kupy — przytaknął Downar. — Ciekawe, czy zamordowanie strażnika łowieckiego łączy się z tą sprawą.

Leśniewski zapalił papierosa i przez chwilę patrzył w zamyśleniu na dogasającą zapałkę. — To prawdopodobne. Nie możemy wykluczyć, że wpadł na jakiś trop i zagrażał Wojtasikowej. Wielka szkoda, że nie możemy się dowiedzieć, o czym rozmawiał wtedy w lesie z Marleną Weyman. Powiedz mi, Stefan, co masz zamiar zrobić? Jakiś konkretny plan działania?

Downar skinął głową. — Tak. Przekonałeś mnie. Postanowiłem pójść po linii twojego rozumowania. Trzeba zmusić przeciwnika do akcji. Spróbuj zabluffować. Dasz mi Pakułę do pomocy?

— Nie. Pakuła w dalszym ciągu musi emablować gosposię państwa Moszczyńskich.

— Szkoda. On by mi się nadał na chłopka roztropka. No, nic... Poradzę sobie inaczej.

— Pogadaj z Bartoszkim. On ma taką głupawą gębę, nie wzbudzącą podejrzeń.

— To dobra myśl — ucieszył się Downar i wstał. — No to cześć. Muszę zaraz zadzwonić do Grabickiego.

Leśniewski zatrzymał go ruchem ręki. — Zaczekaj. Może byś mnie jednak wtajemniczył w swój plan działania. — I wiesz, co mi w tej chwili przyszło na myśl? Że zupełnie zapomnieliśmy o narzeczonym Marleny Weyman.

Downar potrząsnął głową. — Mylisz się. Ja nie zapomniałem. Bardzo uważnie obserwuję pana Karola Pachockiego. Mamy natomiast inną, poważną lukę w naszej sprawie. Nie bierzemy pod uwagę kuzynów pani Małoborskiej, którzy po jej śmierci zajęli willę, a obecnie wyjechali na urlop do Bułgarii.

Leśniewski skrzywił się sceptycznie. — Bardzo wątpię, żeby po zamordowaniu staruszki ulokowali się w jej mieszkaniu. To wymagałoby ogromnej perfidii i niezwykle zimnej krwi. Ale oczywiście nie należy niczego zaniedbać. Jak wrócą, możesz ich przesłuchać, jeżeli oczywiście do tej pory definitywnie nie wyjaśnimy sprawy. A teraz zreferuj mi swój plan, nie kryję, że mnie to bardzo interesuje.

Wojtasik źle spał tej nocy. Najadł się na kolację tłustego bigosu z kielbasą i gniotło go w żołądku.

Miał jakieś koszarne sny. Budził się zlany potem. Parę razy wstawał z łóżka, żeby się napić wody, ale i to nie bardzo pomagało. Brzuch pęczył jeszcze bardziej. Nic więc dziwnego, że rano dźwignął się z posłania w fatalnym humorze i zaczął dzień od awantury z żoną.

— A mówiłem ci, psia twoja mać, żebyś mi wódki dała do tego cholernego bigosu. Bez wódki to trucizna. Calutką noc nie spałem. Myślałem, że zwariuję.

— Powiedziałam ci już, że wódki pić nie będziesz — burknęła Rozalia. — Póki ja tu mieszkam z tobą, kropli wódki nie dostaniesz. Po wódce gadasz byle co, awanturujesz się, bijesz ludzi.

— Uważaj, żebym ja cię i bez wódki nie złał — warknął Wojtasik. — Diabli cię tu nadali, cholero jasna.

Zmierzyła go ponurym spojrzeniem. — Mogłeś się nie godzić. Nikt cię nie zmuszał.

— A pewnie, że się mogłem nie zgodzić. I całkiem niepotrzebnie się zgodziłem. Teraz sobie w brodę pluje. Czort wie, co to jeszcze z tego wszystkiego będzie.

— Dobrze będzie. Żebyś tylko po gospodach nie łąził, nie rozrabiał, nie pił i nie gadał byle czego. A najważniejsze, żebyś się nie bał.

Wojtasik spuścił głowę. — Kiedy właśnie w tym sęk, że się cholernie boję.

— Czego się boisz, stary durniu? Czego?! — krzyknęła. Poruszył potężnymi ramionami. — Eee, bo to wszystko wcale mi się nie widzi. Faktycznie, kto to kiedy słyszał, żeby kobita za żeniączkę płaciła chłopu trzydzieści tysięcy złotych.

— Wiano ci wniosłam. Jeszcze ci źle?

— Jakie tam wiano? Co ty sobie wyobrażasz, że ja taki głupi chłop, że niczego nie rozumiem? Chciałaś ludziom z oczu zejść i tyle.

— Chciałam wreszcie wyjść za mąż — powiedziała uśmiechem Rozalia.

— E, tam. Bajdy mi tu opowiadasz. Za mąż ci się zachciało. Akurat. Chyba głupi w to uwierzy.

— Jak nie chcesz wierzyć, to nie wierz.

Machnął ręką. — Wielkiej pociechy to tam ze mnie nie masz. Ale pan Bóg z tobą. Nie będę sobie głowy łamał. Kto by tam babę wyrozumiał. Wziąłem pieniądze. Zgodziłem się. Mogłem się nie zgodzić. Teraz zaczynam się bać, żeby tego wszystkiego jakie nieszczęście mnie nie spotkało, już się nasiedziałem w kryminale.

— Zabrałbyś się lepiej do jakiej roboty — powiedziała ze złością. — Nie gadaj tyle, tylko idź drzewa narąbać. Palić nie ma czym.

Na drodze zawarczał motor. Oboje skoczyli do okien. — Milicja — szepnął Wojtasik, blednąc.

Rozalia uderzyła go pięścią w plecy z taką siłą, że aż się pochylił. — Bądź mężczyzną, do wszystkich diabłów. To co z tego, że milicja? Jeszcze nie raz tu przyjdą w sprawie Kazimierskiego.

— A jeżeli oni nie w sprawie Kazimierskiego?

Rozalia została sama. W pierwszej chwili doznała uczucia prawdziwej ulgi. W ostatnim okresie Wojtasik straszliwie działał jej na nerwy. W gruncie rzeczy byłaby zadowolona, gdyby go zamknęli za zamordowanie Kazimierskiego. Wtedy sprawa byłaby zupełnie jasna i ona miałaby większą swobodę działania. Zaraz jednak pojawiła się refleksja: milicja coś za często ich odwiedza. Przecież Michał już złożył zeznania w sprawie Kazimierskiego. Przesłuchiwali go parokrotnie. Jeżeli chcieliby go zamknąć, toby to już dawno zrobili. Dlaczego teraz go zabrali? O co im chodzi? O co go będą pytać? Co on im powie, a czego nie powie? Trudno było przewidzieć. To chłop miękki i jak go przycisną...

To były bardzo niepokojące rozmyślenia i Rozalia doszła do wniosku, że musi być przygotowana na każdą ewentualność. „Jeżeli nie wróci do wieczora, to jutro rano jadę do komendy — myślała. — Nie mogę inaczej. Nie mogę nie zainteresować się własnym mężem. To dopiero mogłoby wzbudzić podejrzenia.”

Na próżno usiłowała się uspokoić, przekonując wielokrotnie sama siebie, że Wojtasika na pewno zabrano w sprawie Kazimierskiego i że nie ma żadnych powodów do obaw. Pobudzona napięciem nerwowym wyobrażenia nie tak łatwo dawała się jednak opanować. Widziała Wojtasika siedzącego w urzędowym, milicyjnym pokoju. Słyszała szybkie, zaskakujące pytania, zadawane przez oficerów śledczych. Czuła tę przytłaczającą, ponurą atmosferę, w której obecnie tkwił Michał. W żaden

sposób nie mogła odzyskać swej zwykłej równowagi ducha. Im bardziej starała się opanować, tym większy ogarniał ją strach, który z każdą godziną rósł, wypełniał dom, ogród, pola, lasy, wszystko wokoło. „Nie wolno mi się poddawać, nie wolną mi wpadać w panikę — powtarzała, wynajdując sobie coraz to inne zajęcia gospodarskie. — To w sprawie Kazimierskiego, to na pewno w sprawie Kazimierskiego.”

Wojtasik nie wrócił na noc.

Grabicki przez dłuższą chwilę wpatrywał się w szeroką, obrzękłą twarz kłusownika. Milczał. Nie śpieszył się z rozpoczęciem rozmowy. Wiedział z doświadczenia, że milczenie działa często skuteczniej aniżeli najmocniejsze, najbardziej nawet sugestywne słowa. I tym razem nie omylił się. Początkowo Wojtasik uśmiechał się głupkowato, pragnąc najwidoczniej potraktować żartobliwie swoją wizytę komendzie. Następnie spowaźniał i, rzucając spode łba pytające spojrzenia, poruszył się niespokojnie na krześle, wreszcie nie wytrzymał i pierwszy zaczął mówić. — Ja, panie majorze, całkiem nie wiem, o co się rozchodzi. Już przecie wszystko powiedziałem. Pan major parę razy ze mną rozmawiał. Nic więcej nie wiem. Ja nie zabiłem Kazimierskiego. Ani mi to w głowie było. Taki głupi to ja znowu nie jestem, żeby z kryminału wyjść i zaraz się do mordowania brać. Co innego po pysku komuś nakłaść, pałą przez łeb, ale żeby strzelać do osoby urzędowej... Wariata by trzeba. Już powiem wszystko, jak było, bo faktycznie wtedy skłamałem. Tamtej nocy wyszedłem z domu. Z kobitą się spotkałem. Jak Boga kocham. Poszedłem do starej gajówki. Tam byliśmy umówieni. Słowo honoru, że nie łżę.

Grabicki ciągle milczał. Nie reagował. Zupełnie tak, jakby nic z tej całej przemowy nie doszło do jego świadomości.

Wojtasik był coraz bardziej zdenerwowany. — Słowo honoru, że nie łżę — powtórzył głośniej. — Byłem w gajówce. Z kobitą się spotkałem. Niechże pan major mnie zrozumie. Pierwej nie chciałem gadać, bo to mężatka. Ale teraz muszę. Nie mam nijakiej rady, Machowiakowa może poświadczyć, że ze mną była. A jeżeli byliśmy oboje gajówce, to w tym samym czasie nie mogłem zabić Kazimierskiego. Prawdę mówię. Żeby tak skonał, jeżeli łżę. Zresztą może pan major spytać Machowiakowej. Ona nie zaprzeczy.

— Gdzie poznaliście waszą obecną żonę? — spytał niespodziewanie Grabicki.

Zaskoczenie było kompletne. Chłop wybałuszył oczy i bezdźwięcznie poruszył wargami.

— Gdzie poznaliście waszą obecną żonę? — Tym razem pytanie powiedziane było z większym naciskiem.

— Żonę? Gdzie poznałem? — Wojtasik poruszył grdyką i przełknął ślinę — Ano... Na jarmarku...

— Gdzie na jarmarku?

— W Miechowie.

— To aż do Miechowa jeździliście na jarmark? Dlaczego tak daleko?

— Całkiem przypadkowo byłem na tym jarmarku. W tamtych stronach mieszka jeden mój znajomy. Jeździłem go odwiedzić i razem wybraliśmy się na jarmark. Myślałem, że tanio jakiego konia kupię, ale gdzie tam. W tamtych stronach konie jeszcze droższe aniżeli u nas.

— I na tym jarmarku w Miechowie poznaliście waszą obecną żonę?

— Tak wychodzi.

— I tak od razu zakochaliście się w tej kobiecie?

Wojtasik skrzywił się. — Tak jakoś wyszło, panie majorze. Pan wie, jak to w życiu bywa. Wypiło się trochę w gospodzie, potem tak gadu, gadu... Kobita dowcipna, inteligentna, wykształcona, a i grosza trochę miała. Sam nie wiem, jak to się wszystko stało. Tak się za mnie wzięła, że anim się spostrzegł, jakem się ożenił. Teraz to może i trochę żałuję. Jakbym w domu inną kobietę miał, tobym się nie musiał po gajówkach włóczyć.

— A jak się nazywa ten wasz znajomy, który pod Miechowem mieszka?

Kłusownik zawahał się. — Że co proszę? — spytał, pragnąc zyskać na czasie.

— Jak się nazywa ten wasz znajomy, który mieszka pod Miechowem? — powtórzył cierpliwie Grabicki.

— Pachocki — padła niechętna odpowiedź. Grabicki nie dał poznać po sobie, jakie wrażenie zrobiło na nim to nazwisko. — Czym się zajmuje ten pan Pachocki? — spytał.

— Ma ładny kawałek ziemi. Prowadzi badylarstwo, hoduje lisy. Bogaty człowiek.

— I razem z Pachockim byliście na tym jarmarku? — No przecie mówię, że z Pachockim.

— A w jaki sposób poznaliście waszą żonę? Pachocki ją znał?

— Nie pamiętam, chyba nie, ale nie pamiętam.

Grabicki nie miał wątpliwości, że Wojtasik doskonale pamięta, nie nalegał jednak. — Słyszeliście coś o hrabinie Małoborskiej? — spytał.

— O hrabinie Małoborskiej? — powtórzył chłop. — Nigdy w życiu nie słyszałem.

— Mówię o tej pani Małoborskiej, która mieszkała w Jabłonie.

— Nigdy o takiej osobie nie słyszałem.

— A wasza żona nie opowiadała wam przypadkiem o niej?

— Nie.

Zabrzmiało to tak szczerze, że Grabicki stracił na chwilę pewność siebie. Nie zrezygnował jednak z raz obranej linii postępowania. Po rozmowie z Downarem utwierdził się w przekonaniu, że Wojtasikowie są zamieszani w sprawę zamordowania Małoborskiej.

— Słuchajcie, Wojtasik, wydaje mi się, że będzie dla was lepiej, jeżeli szczerze ze mną porozmawiacie.

— Ja z panem majorem zawsze szczerze rozmawiam — powiedział skwapliwie kłusownik.

Grabicki uśmiechnął się. — Nie przesadzajcie. Może nie zawsze.

— Co pan major chce wiedzieć. Powiem wszystko jak na świętej spowiedzi.

— Chcę wiedzieć, co wam wasza żona opowiadała o pani Małoborskiej?

— Nic mi nie opowiadała. Powiedziałem już, że nigdy nic nie słyszałem o takiej pani.

Grabicki pochylił się nad biurkiem i zimne spojrzenie utkwiał w twarzy kłusownika. — Posłuchajcie mnie, Wojtasik — powiedział zniżając głos, jakby obawiając się, że ktoś niepowołany mógłby się zapoznać z treścią jego słów. — Ja was tu nie sprowadziłem w sprawie Kazimierskiego. Czy wiecie, o co jesteście podejrzani?

— Nie wiem, panie majorze. Ja jestem niewinny.

— Jesteście podejrzani o współudział w morderstwie dokonanym na osobie Anny Małoborskiej.

Wojtasik chwycił się za głowę.

— Rany boskie!

Rozalia zasnęła dopiero nad ranem. Dręczyły ją złe, męczące sny. Obudziła się zrana potem. Z trudem zwlokła się z łóżka, napiła się wody i dopiero wtedy trochę oprzytomniała. „A więc zatrzymali Wojtasika.” Ta myśl tłukła jej się uporczywie po głowie. „Nie wrócił. Zatrzymali. Czego od niego chcą? Trzeba jechać do komendy. Trzeba się dowiedzieć. Trzeba pojechać.”

Umyła się i zaczęła się ubierać. Miała zamiar na rowerze dojechać do PKS-u. Kiedy już była gotowa i usiadła, żeby napić się herbaty, wpadło coś przez okno, stuknęło o podłogę i potoczyło się pod szafę. Schyliła się, podniosła spory kamień, owinięty w biały papier. Na kartce było kilka słów, napisanych na maszynie: „Wojtasik zatrzymany w sprawie Małoborskiej. Wszystko gotowe. Spal tę kartkę.” Podpisu nie było.

Rozalia błyskawicznie wrzuciła papier pod blachę. Następnie rozejrzała się po izbie i wybiegła z domu, nie zamykając drzwi na klucz.

Pułkownik Leśniewski nie mijał się z prawdą mówiąc, że sierżant Bartoszek na pierwszy rzut oka nie robił wrażenia człowieka o błyskotliwej inteligencji. Twarz okrągła, puciołowata, zdradzała zamiłowanie do obfitych posiłków, co zresztą można było wywnioskować z całej jego korpulentnej postaci. Oczy duże, niebieskie, spoglądały na świat gapiowato, a wrażenie te potęgowały jeszcze grube, zawsze trochę rozchylone wargi. Specjalista laryngolog doradziłby zapewne usunięcie trzeciego migdału lub przypalenie muszli nosowej. Jednakże, jak wiadomo, pozory często mylą. Tak też było i z sierżantem Bartoszkem, o którym mawiali koledzy, że nie taki głupi, na jakiego wygląda. W rzeczywistości był to chłopak obrotny, sprytny, umiejący sobie poradzić w trudnych

nieraz sytuacjach, wymagających szybkiej orientacji i błyskawicznego refleksu. Bez obawy można mu było powierzyć najbardziej odpowiedzialną funkcję, a jego aparycja nieraz już wprowadzała w błąd przeciwnika.

Teraz stał na peronie, udając, że pasjonuje go lektura nekrologów w „Życiu Warszawy”.

Zbliżył się do niego wysoki, szczupły mężczyzna w zniszczonym prochowcu. — Czy mogę prosić pana o ogień? Bartoszek sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. — Bugała? — spytał szeptem.

— Tak — odparł równie cicho sierżant z komendy wojewódzkiej. — Dokąd kupiła bilet?

— Do Szczecina.

Bugała zapalił papierosa i oddalił się wolnym, niedbałym krokiem człowieka, który ma dużo czasu.

Nadjechał pociąg. Rozalia wsiadła do wagonu drugiej klasy, dla palących. Po chwili w drzwiach przedziału stanął sierżant Bartoszek i, obciążając na sobie przyciasną marynarkę, spytał z głupawym uśmiechem: — Czy jest tu wolne miejsce?

— Przecież pan widzi, że są wolne miejsca — odburknęła.

Usiadł, wyjął z podróżnej torby jajka na twardo, trzy bułki z kielbasą szynkową i zaczął się intensywnie pożywiać, jak człowiek, który przez dłuższy czas nic nie miał w ustach.

— Pani także do Szczecina? — spytał niezbyt wyraźnie. Kielbasa szynkowa fatalnie wpływała na jego dykcję.

Skinęła głową, nie zdradzając najmniejszej ochoty do nawiązywania żywszej konwersacji. Wprost przeciwnie, robiła takie wrażenie, jakby ten gapiowaty chłopak działał jej na nerwy.

— Ładną dzisiaj mamy pogodę — bąknął rozbijając o popielniczkę następne jajko.

Żadnej reakcji.

Westchnął i zabrał się do drugiej bułki.

Do przedziału weszli nowi pasażerowie: starsza dama, ucharakteryzowana na swawolną nastolatkę, tęgi jegomość o zaskakująco barwnym nosie i dobrotliwie spoglądających oczkach, przypominających zadowolonego z życia hipopotama, oraz młoda dziewczyna ze starannie rozczochranymi włosami.

Sierżant Bartoszek taksującym spojrzeniem obrzucił swych towarzyszy podróży, a następnie wrócił do jajka na twardo. Najwidoczniej suchy prowiant zaczynał rzeczywiście działać na niego wysuszająco, ponieważ po chwili wydobył z torby termos z herbatą oraz kilka jabłek.

— Może pani pozwoli jabłuszko? — spytał siedzącej naprzeciw niego kobiety o końskiej szczęce. Potrząsnęła głową. — Dziękuję. Nie jadam nie mytych owoców.

— Po pierwsze, jabłka umyłem, a po drugie, mogę obrać. Zawsze noszę przy sobie scyzoryk.

— Dziękuję. Nie mam ochoty na jabłka.

— Trzeba jeść witaminy. Racjonalna hodowla wymaga racjonalnego żywienia inwentarza.

— Nie zalicza mnie pan chyba do swojego inwentarza?

Roześmiał się. — No nie... Ja tylko tak powiedziałem. To był żart, proszę pani — wyjaśnił.

— Pan jest hodowcą?

— Poniękad.

— A co pan hoduje?

— Co się da. Hodowałem rasowe kury, indyki, nutrie. A teraz założyłem hodowlę srebrnych lisów. Jeżeli mi to nie pójdzie, to skombinuję sobie pieczarkarnię. Dobry interes. Trzeba tylko sporo forsy w to włożyć, a i o koński nawóz nie tak łatwo.

— Interesują mnie srebrne lisy — powiedziała Rozalia. — Bo ja także trochę z tej branży.

— Niemożliwe! — ucieszył się Bartoszek. — Aleśmy się dogadali. — To pani hoduje lisy?

— Ja nie. Mój szwagier. Ja mu tylko pomagam. Jeżdżę tu, to tam. Przywożę mu ładne, rasowe sztuki. Trzeba się kręcić, żeby coś z tego było.

— Gdzie pani szwagier ma tę hodowlę — spytał Bartoszek.

— Niedaleko Kołobrzegu. A pan?

— Trzydzieści kilometrów od Szczecina. My zza Buga, proszę pani. Ojciec, jako wysiedleniec, dostał pod Szczecinem kawałek ziemi. Trochę się zagospodarował. Po śmierci ojca ja objąłem gospodarkę, ale na tych kilku hektarach to tylko jaka hodowla. Żyta przecie nie opłaci się siać. A



pani do Szczecina może w sprawie lisów?

— Między innymi — powiedziała wymijająco Rozalia. — W Szczecinie mieszka moja przyjaciółka. Pisała, że zna pewnego hodowcę srebrnych lisów, który dochował się bardzo pięknych okazów i mógłby parę sztuk odsprzedać mojemu szwagrowi. I tak przy okazji...

— A może odwiedziłaby pani moją fermę? — zaproponował Bartoszek.

Uśmiechnęła się. — Widzę, że pan jest szybki do interesów. Ale możemy pogadać...

— Dlaczego nie? Pogadać zawsze można — powiedział wesoło Bartoszek i zagłębił zęby w soczystym jabłku. — Gdzie pani zatrzymuje się w Szczecinie?

— U przyjaciółki.

— A ja w hotelu. Nie wiem tylko, w którym. Trudno teraz o wolny pokój.

Znowu rozmowa zeszła na temat hodowli srebrnych lisów. Oboje oczywiście nie mieli o tym zielonego pojęcia. Rozalia była bardzo oszczędna w słowach i bardzo się pilnowała, żeby nie powiedzieć jakiegoś głupstwa, sierżant Bartoszek natomiast nie bardzo zważał na to, co mówi, wiedząc, że ma przed sobą wróżkę, nie mającą nic wspólnego ze srebrnymi lisami.

Zażywny jegomość, którego nos przypominał zupełnie inną część ciała pawiana, przez cały czas w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. Wreszcie nie wytrzymał i powiedział śpiewnym, wileńskim akcentem. — Ja kiedyś hodowawszy lisy. Ale z tego, co tutaj usłyszawszy, wydaje mi się, że pan szanowny nie bardzo fachowiec.

— Bo ja dopiero początkujący w tej branży — odparował przytomnie Bartoszek, nie dając po sobie poznać zmieszania. „To mnie nauczy nie gadać byle czego” — pomyślał kończąc gryźć jabłko. Przewornie zmienił temat rozmowy i sprowokował byłego hodowcę lisów do zwierzeń z okresu ostatniej wojny.

W pewnym momencie wstał i poszedł do ubikacji. Tam wyjął notes, ołówek, napisał kilka słów i, wracając do swojego przedziału, wsunął dyskretnie kartkę do kieszeni sierżanta Bugały, który stał w korytarzu przy oknie.

Pociąg wolno wtoczył się na peron. Szczecin. Zmięci długą podróżą pasażerowie poczęli tłoczyć się do wyjścia, dźwigając walizy, torby, paczki...

Bartoszek wmieszał się w tłum, nie spuszczać z oczu swojej podopiecznej. O kilka metrów za nim posuwał się sierżant Bugała, do którego po chwili zbliżył się jakiś łysy, chudy człowiek z zafrasowanym wyrazem twarzy. „Szafa gra” — pomyślał zadowolony Bartoszek i przyspieszył kroku, ażeby nie zgubić żony kłusownika. Spozrzegł, że Rozalia rozgląda się niespokojnie wokoło, jakby kogoś szukała. Poruszał się bardzo ostrożnie, tak, żeby się nie zorientowała, że jest śledzona.

Łysy zrezygnował z towarzystwa Bugały i podszedł do Bartoszka. — Jestem z komendy wojewódzkiej. Nazywam się Wacek Miłczewski. Mam tu przed stacją „Warszawę”. Taki stary, rozklekotany wóz.

— A lisy? — spytał cicho Bartoszek.

— Są, i lisy.

— Dobra. Idź do wozu i czekaj na mnie. Powiedz Bugale, żeby wziął z komendy motor i pojechał do tej lisiej fermy. Niech się zadekuje w jakiej szopie. Jeżeli wszystko zagra, nie powinna go widzieć.

Miłczewski cofnął się i wrócił do Bugały.

Tymczasem Rozalia wyszła przed budynek stacyjny i zatrzymała się niezdecydowana. Robiła wrażenie zawiedzionej. Najwidoczniej spodziewała się, że ktoś będzie jej tu oczekiwał. Postąpiła chwilę, następnie zaś zawróciła i poszła do bufetu.

Bartoszek bez trudu przewidział jej zamiar. Szybko wyprzedził ją i gdy pojawiła się na sali, on już siedział przy stoliku i popijał piwo z dużego kufła.

Zamówiła szklankę herbaty, zapaliła papierosa i znowu zaczęła się rozglądać. Spozrzegła domniemanego hodowcę srebrnych lisów i uśmiechnęła się.

Wstał i, trzymając w ręku kufel z piwem, podszedł do jej stolika.

— Czy można się przysiąść?

— Proszę bardzo. Myślałam, że pan już dawno w hotelu.

— Nie. Zmieniłem trochę moje plany. Kumpel przyjechał wozem i zaraz jedziemy na fermę.  
— A jak z naszą transakcją? — spytała. — Może mi pan zostawić swój dokładny adres.  
Chciałabym się z panem skontaktować w sprawie tych lisów, a może mój szwagier osobiście by przyjechał.

— Wie pani co? Mam myśl! — wykrzyknął z zapałem Bartoszek, mając taką minę, jakby co najmniej dokonał jakiegoś epokowego odkrycia. — Niech pani zaraz siada z nami i jedzie. Odwieziemy panią z powrotem wozem. A będzie pani miała ochotę, to może pani nawet u nas zanocować. Las, cisza, dobre powietrze. Na grzyby się można wybrać.

Zawahała się. Raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem restauracyjną salę i powiedziała: — Może to dobry pomysł. Ale odeślcie mnie wozem?

— Rzecz jasna. Na piechotę pani przecie nie będzie drałować.

Skończyła pić herbatę, Bartoszek swoje piwo, zapłacili i wyszli przed stację. Bartoszek bez trudu odnalazł Wacka Miłczewskiego, siedzącego za kierownicą starego grata.

— Czy my dojedziemy tą limuzyną? — zaniepokoiła się Rozalia, patrząc na zlepek zużytego żelastwa.

Przedstawiciel komendy wojewódzkiej uśmiechnął się, pokazując rzadkie, zniszczone zęby. — Spokojna głowa. To jest luksusowa maszyna. Nawet do Wietnamu możemy zajechać. Trzeba się tylko umieć z nią obchodzić. To powiedziawszy, włączył starter. Motor parsknął jak dziarski ogier, zakaszłał i „luksusowa” maszyna zaczęła trząść się jakby w ataku febry. — Siadajcie! — krzyknął Miłczewski. — Prędko!

Kiedy wydostali się na szosę, wóz przestał drżeć i posuwał się zupełnie spokojnie, nie rozwijając oczywiście przesadnej szybkości. — Musi się rozchodzić — wyjaśnił Wacek. — Najważniejsze, żeby jej z miejsca za ostro nie zerwać.

— To panowie obaj prowadzą tę fermę? — spytała Rozalia.

Bartoszek potrząsnął głową. — Nie. Mamy jeszcze jednego wspólnika. We dwóch nie dalibyśmy rady. To dużo roboty.

— Z tego pośpiechu zapomniałam zatelefonować — powiedziała zafrasowana Rozalia. — Chciałam się porozumieć ze szwagrem.

— Drobiazg. Zatelefonuje pani od nas z fermy.

— Macie, panowie, telefon?

— Jasne. Bez telefonu jak bez ręki.

Mniej więcej na dwudziestym kilometrze skręcili w lewo, w leśną, trochę wyboistą szosę. Wysłuzony wóz kołysał się jak stare czółno i grzechotał ostrzegawczo żelastwem. Miłczewski po mistrzowsku manewrował pomiędzy wybojami.

— Zawsze, panowie jeżdżą tą „Warszawą” do miasta?

— Różnie. Czasem „Warszawą”, czasem motorem. Jak się uda. W zależności od tego, który z naszych pojazdów jest na chodzie.

Eustachy Wróblewski był emerytowanym funkcjonariuszem milicji. Wraz z żoną i dwoma synami gospodarował na kawałku ziemi, pozostawionej mu przez teściów, którzy przybyli zaraz po wojnie zza Buga. Próbował już różnych hodowli, a ostatnio założył fermę lisią. Na prośbę komendy wojewódzkiej zgodził się wysłać na dwa dni z domu rodzinę i odegrać rolę wspólnika sierżanta Bartosza i sierżanta Miłczewskiego. Cała ta inscenizacja robiła tak przekonujące wrażenie, że żona kłusownika nie mogła mieć żadnych podejrzeń.

Zaraz po przyjeździe zwiedzili fermę. Wróblewski pokazywał lisy, udzielał fachowych informacji i powiedział, które sztuki byliby skłonni ewentualnie sprzedać.

Bartoszek i Miłczewski pozostali trochę w tyle, rozmawiając głośno o lisich interesach. W pewnym momencie Bartoszek szepnął: — Trzeba ją zatrzymać na noc. Niech telefonuje.

Wróblewski, stary wyga, błyskawicznie zorientował się, o co chodzi. Zabawił swojego gościa rozmową, pokazywał gospodarstwo, stajnię, obórkę, kurniki, mówił o zasiewach, o planach na przyszłość, zachwalał świeżo zrobioną kielbasę, wreszcie powiedział: — Coś pani zaproponuję. Niech pani zatelefonuje do szwagra. Jeżeli naprawdę chce kupić parę sztuk, to niech przyjeżdża.

Jestem pewien, że dobijemy interesu. Najlepiej kuć żelazo, póki gorące. Pani posiedzi tu u nas ze dwa dni. My postaramy się, żeby panią godnie ugościć. Skromnie u nas, ale głodu nie ma. Czym chata bogata...

— Nie chciałabym sprawiać panom takiego kłopotu.

— Żaden kłopot. Nam przyjemnie, jak nas ktoś odwiedzi. Żyjemy tu jak pustelnicy.

— Bez żadnej kobiety?

— A na co nam kobieta? Tylko kłopot.

— A kto panom gotuje?

— A ja gotuję. Jestem kucharz—amator. Zobaczysz pani, jaką przyrządzę kolacyjkę.

Rozalia zgodziła się spędzić noc na lisiej fermie. Po kolacji, która rzeczywiście była bardzo smaczna i obfita, przygotowano jej posłanie na małżeńskim łożu, stojącym w tym samym pokoju, w którym znajdował się telefon. — Niech pani sobie zamówi rozmowę ze szwagrem — powiedział Wróblewski. — Czasem trzeba długo czekać na połączenie i dlatego proszę się nie gniewać, że nie dotrzemy pani towarzystwa. Pójdziemy spać. Rano musimy wstawać o świcie do roboty.

Rozalia zaczekała, aż życie w całym domu ucichnie i pogasną światła, zanim podeszła do telefonu i zamówiła rozmowę z Warszawą.

Linia była przeciążona. Dopiero po dwóch godzinach sierżant Bartoszek doczekał się rozmowy zamówionej przez żonę kłusownika. W pół godziny potem cicho wymknął się z domu, odnalazł śpiącego w chlewiku na sianie Bugała, obudził go i powiedział: — Siadaj na motor i zasuwasz zaraz do Szczecina. Zamelduj w komendzie, że Wojtasikowa połączyła się z Warszawą i rozmawiała z jakimś Karolem Pachockim. Umówili się jutro w porcie szczecińskim o godzinie osiemnastej. Niech natychmiast zawiadomią majora Downara.

Bugała przeczesał palcami czuprynę i wyjął z niej kilka źdźbeł siana. — Z kim ja tam będę w nocy rozmawiał? — mruknął niechętnie, najwidoczniej niezadowolony, że mu przerwano smaczną drzemkę.

— Jak to z kim? Z oficerem dyżurnym. W razie potrzeby niech obudzą, kogo należy. Sprawa pilna. A motoru nie zapalaj zaraz. Wyprowadź do lasu i tak kombinuj, żeby tutaj nie było słychać.

— No, dobra, dobra — Bugała przeciągnął się i ziewnął. — Myślisz, że ta baba nie kapnęła się?

— Na pewno nie. Przecież tu wszystko gra na sto dwa. Chwała Bogu, że ten stary Wróblewski zna się na lisach. Zasuwał jej tak fachowo, że mucha nie siada. No, jedź, nie trać czasu.

Bugała był już zupełnie przytomny. — Więc mam powiedzieć w komendzie, że ta dziewczyna w starszym wieku telefonowała do Warszawy, do Karola Pachockiego, i że się z nim umówiła w Szczecinie, w porcie, jutro, o godzinie osiemnastej.

— Zgadza się.

— A co powiedział ten Pachocki?

— Czekaj, czekaj... — Bartoszek zmieszał się. — Dobrze, żeś mi przypomniał. Pachocki powiedział: „Nie mam jeszcze wiadomości od Hansa. Być może, że już jest w Szczecinie. Przygotuj towar.” Będziesz pamiętał?

— Na wszelki wypadek zanotuję — powiedział Bugała, wyjmując z kieszeni długopis. — Dobrze, że księżyc świeci. Nie trzeba latarki.

### Rozdział XIII

Podczas gdy Downar realizował swój plan, udoskonalony przez sierżanta Bartoszkę, Kociuba pilnie obserwował Moszczyńskiego i jego żonę. Pakuła w dalszym ciągu emablował gosposię, która od czasu do czasu zaczynała już skierowywać rozmowę na tematy matrymonialne.

Któregoś dnia, podczas narady z Downarem i Kociubą, Pakuła powiedział: — Ja, panie majorze, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, ale jeżeli każe mi pan żenić się z tą babą, to chyba będę musiał zrezygnować z pracy w milicji.

— Tego od was nie możemy wymagać — uspokoił go Downar. — Ale trzeba przyznać, że wyglądacie świetnie. Chyba przytyliście ostatnio.

— Niestety — westchnął Pakuła. — Musiałem dać wszystkie spodnie do poszerzenia. Moja Wikcia zgaga jest cholerna, ale gotuje pierwszorzędnie. Co prawda, to prawda.

— Czy u Moszczyńskich była ostatnio sarnina? — spytał Downar.

— Była. Znakomita. Przyrządzona na dziko. Marynowana w occie, z korzeniami. Wikcia zostawiła mi comber. Taką porcję, że trzech by się pożywiło. Z borówkami. I do tego kieliszek czerwonego wina. Palce lizać.

— Kto dostarczył tę sarninę?

— Moszczyński. Przywiózł wozem.

— Nie wiecie skąd?

— Nie mam pojęcia. Jeździ gdzieś na polowania.

— Sam?

— Czasem sam, a czasem z żoną.

Downar spojrział na Kociubę. — Co ty o tym myślisz, Franek?

— Myślę, że przy najbliższej okazji będę musiał za nim pojechać. Te polowania wydają mi się trochę dziwne. Poza tym pani Moszczyńska handluje kozłowymi skórami. Ostatnio kilka skór kupiła od niej jakaś babka z Gdańska. Podobno jej przyjaciółka.

— Czy tu chodzi o skóry wyprawione, czy surowe? — spytał Downar.

— To są skóry wyprawione. Fachowa robota.

— Z włosiem?

— Tak. Na serdaki, na czapki, na futerka.

Downar zamyślił się. — To rzeczywiście wygląda trochę dziwnie. Trzeba by zbadać, skąd pochodzą te skórki?

— A może zapytać wprost Moszczyńskiego albo jego żony? — zaproponował Kociuba. — To byłoby działanie przez zaskoczenie.

Downar potrząsnął głową. — Ten pomysł nie wydaje mi się dobry. Jeżeli za tymi sarninami pieczeniami kryje się rzeczywiście jakaś przestępcza działalność, to takim frontalnym atakiem możemy tylko spłoszyć przeciwnika. Powiedz mi, Franek, czym właściwie zajmuje się Moszczyński?

— To właśnie jest bardzo tajemnicze — odparł Kociuba. — Facet nic nie robi, a ma kupę forsy. Diabli wiedzą skąd.

— Nigdzie nie pracuje?

— Ma jakieś tam głupie pół etatu w „Orbisie”. Podobno obwozi wycieczki zagraniczne. Ale przecież z tej pensyjki nie mógłby prowadzić domu na takiej stopie.

— A czym się zajmuje jego żona?

— Chodzeniem do fryzjera, do kosmetyczki, urządzaniem przyjęć.

— Zarobkowo nie pracuje?

— Ale skąd. Ani jej to w głowie.

— Otrzymuje jakieś paczki z zagranicy — wtrącił Pakuła. — Ale co tam w tych paczkach jest, to nie wiem. W każdym razie na takie luksusowe życie na pewno nie starczy.

Downar pokiwał głową. — Tak, tak. To wszystko rzeczywiście wygląda trochę podejrzanie. Powiedz mi jeszcze, Franek, a co z Marleną Weyman?

— Normalnie. W dalszym ciągu zajmuje się archeologią i chyba rzeczywiście zakochana jest w tym Pachockim.

— Często się kontaktują?

— Prawie codziennie.

— Należałoby trochę rozpracować tego faceta — powiedział Downar, a po chwili namysłu dodał: — Czy wiesz, że stary Pachocki ma gospodarkę pod Miechowem?

— Wiem. Zajmuje się badylarstwem, hoduje lisy, pieczarki. Bogaty człowiek. Myślę, że odpala synowi sporo forsy.

— A młody Pachocki gdzie pracuje?

— Karol? Nigdzie.

— Co robi?

— Dobre wrażenie. Lubi sobie pograć w karty, na wyścigach. Od czasu do czasu pohandluje używanymi samochodami. Typowy niebieski ptak.

— Czy znał starą Małoborską?

— Oczywiście. Podobno bardzo go lubiła.

— Czy myślisz, że mógł ukraść jej biżuterię?

Kociuba skinął głową. — Z powodzeniem, panie majorze. Wcałe bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że to właśnie on wykończył hrabinę. Pasuje do niego taki numer.

— Mógł to zrobić w porozumieniu z Marleną — podsunął Downar. — Ale żona kłusownika także nam pasuje. Jakie masz plany na najbliższą przyszłość?

— Jak najprędzej muszę dojść do tego, skąd się biorą te sarnie pieczenie i te skóry — odparł Kociuba. — Jestem prawie pewien, że Moszczyński ma kontakt z jakąś nielegalną garbarnią.

— Dobrze — zgodził się Downar. — Pilnuj w dalszym ciągu Moszczyńskich i bądź ze mną w kontakcie.

— A ja co mam robić? — spytał Pakuła.

— Nie opuszczajcie gosposi.

— Nie mogę tak tyć, panie majorze. Do czego to podobne?

— Po skończonej akcji wyślemy was na kurację odchudzającą — uśmiechnął się Downar.

— Chyba że tak.

Zostawszy sam, Downar załatwił kilka telefonów i poszedł do szefa.

— Dobrze, że jesteś — ucieszył się Leśniewski. — Mam dla ciebie wiadomości.

— Od Bartosza?

— Tak. Przed chwilą otrzymałem telefonogram ze Szczecina. Masz, czytaj.

Downar przebiegł oczami kartkę papieru i gwizdnął z zadowoleniem. — Do licha — powiedział wesolo. — Nawet się nie spodziewałem, że nasza wróżka tak łatwo połknie przynętę.

Najwidoczniej uwierzyła w tę wiadomość, którą jej Bartoszek wrzucił przez okno. To był najsłabszy punkt naszego planu.

Leśniewski pokiwał głową. — Mnie także to dziwi, że dała się na to nabrać. Bo właściwie skąd jej ewentualny informator mógł wiedzieć, że Wojtasik został zatrzymany w sprawie zamordowania Małoborskiej?

— Albo straciła głowę i nie zastanowiła się nad tym, albo przypuszczała, że jej współnik ma kogoś w milicji — powiedział Downar. — Zresztą to w tej chwili nie jest istotne. Najważniejsze, że ten numer przeszedł. Z tą lisią fermą także niezły pomysł.

— A mówiłem ci, że Bartoszek nie taki głupi, na jakiego wygląda — uśmiechnął się Leśniewski.

— Co masz zamiar zrobić?

— Natychmiast lecę do Szczecina.

— Tak. To chyba słuszna decyzja. Zaraz zawiadomię ich, że przylatujesz, i powiem, żeby kogoś wysłali po ciebie na lotnisko.

Downar wyciągnął rękę na pożegnanie. — Dziękuję ci. Cześć.

— Telefon do pana, panie poruczniku.

— Dziękuję. — Kociuba wstał z tapczanu i wyszedł do przedpokoju. W słuchawce postłyszał podniecony głos sierżanta Pakuły.

— Do Moszczyńskich przyjechał jakiś facet czarnym „Jaguarem”. Wikcia mówi, że wybierają się na polowanie.

— Jesteście pewni, że to czarny „Jaguar”? — spytał Kociuba.

— Widziałem na własne oczy.

— A ten facet sam przyjechał?

— Sam.

— Nie wiecie, jak się nazywa?

— Zdaje mi się, że Lechocki, ale nie jestem pewien. Podobno jakiś inżynier. Co mam robić?

— Zaczekajcie na mnie. Zaraz przyjeżdżam. Czy motor macie z tłumikiem?

— Oczywiście.

Wjechali w las. Wczesny jesienny mrok kładł się szerokimi plamami na drzewach i krzakach. Od ziemi, pokrytej kolorowym listowiem, szedł wilgotny chłód.

— Gdzie oni tak zasuwiają? — powiedział Pakuła, pochylając się.

Kociuba wzruszył ramionami i dodał gazu. Zastanawiał się nad tym, co mają zrobić, jeżeli czarny „Jaguar” skręci z szosy na jakąś leśną drogę. Wtedy łatwo mogliby zauważyć, że motor jedzie za nimi.

Pakuła, jakby czytając w jego myślach, spytał: — A co będzie, jak wjadą w las?

— Nie wiem — odparł Kociuba. — Spróbujemy jechać bez światła, w znacznej odległości. Może nie zauważą.

— Trudna sprawa.

Na razie nie skręcili w boczną drogę. Minęli las i zwiększyli szybkość.

— Gdzie oni tak zasuwiają? — powtórzył Pakuła. — Zrobiliśmy już ze sto pięćdziesiąt kilometrów.

Kociuba znowu wzruszył ramionami. — Diabli ich wiedzą. Na razie ciągle jadą w kierunku Lublina.

Pakuła ze świstem wciągnął nosem powietrze. — W Lubelskiem cholerne lasy. Byłem tam w partyzantce. Wąwozy, parowy. Było się gdzie zadekować. Niemcy bali się wchodzić do lasu. Nawet i duże oddziały nie dawały rady.

— To dobrze znacie te strony.

— Jasne. Wszędzie trafię z zamkniętymi oczami.

— Może teraz wy poprowadzicie motor.

— Dobra.

Przesiedli się. Pakuła muskularnymi rękami mocno ujął kierownicę. Kiedy minęli Lublin, powiedział: — Widzi mi się, że w parczewskie lasy jadą. Oj, tam kiedyś było nam gorąco. Dostaliśmy się w okrażenie. Ale jakoś daliśmy radę przebić się. Było trochę strachu, ale i Niemcy także się bali.

— Macie broń? — spytał Kociuba.

— Ma się rozumieć, że mam. Ja bez pistoletu na takie akcje się nie ruszam. Nigdy nie wiadomo, co z tego może być. Tamci w wozie mają sztucery.

Kociuba mimo woli dotknął swojego pistoletu. — Nie przypuszczam, żeby doszło do strzelaniny — powiedział.

— Lepiej się zabezpieczyć. Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Jechali teraz szosą biegnącą pomiędzy sosnowymi lasami, gęsto poszytymi młodą dębina, jałowcem i krzakami leszczyny. Mrok stawał się coraz gęstszy i coraz mniej wozów spotykali po drodze.

— Musimy zwolnić — mruknął Pakuła — żeby się nie kapnęli, że posuwamy za nimi.

Wreszcie stało się to, czego się obaj najbardziej obawiali. Czarny „Jaguar” skręcił gwałtownie z szosy na leśną drogę.

— Zgaście reflektor — powiedział Kociuba. — Musimy zaryzykować.

Pakuła spełnił polecenie. Jechali teraz w zupełnych ciemnościach, kierując się tylko dalekimi światłami czarnego „Jaguara”.

— Cholera jasna. Cud boski, jak tu sobie gdzieś łbów nie porozwalamy. Ciemno, choć w pysk daj. Tamtym dobrze. Nie tylko, że mają zapalone reflektory, ale jeszcze do tego cztery koła, a my tylko dwa.

Kociuba dotknął ramienia sierżanta. — Uwaga. Skręcają w lewo.

— Gdzie oni się tłuką po takich wertepach, do wszystkich diabłów? — zaklął Pakuła, opierając się mocniej na kierownicy.

Myśliwi zatrzymali swój wóz na krawędzi głębokiego parowu. Wysiedli. Ich sylwetki rysowały się wyraźnie w świetle reflektorów. Potem nagle reflektory zgasły i wszystko pograżyło się w zupełnych ciemnościach.

— Co robimy? — spytał Pakuła, zatrzymując motor.

Kociuba zeskoczył z siodełka. — Spróbujemy do nich podejść.

Pakuła był w pesymistycznym nastroju. — Czort wie, czy ich teraz znajdziemy. Możemy się kręcić w kółko po tym cholernym lesie. Latarki przecież nie mogą zapalić. Niech ich diabli wezmą. — Idziemy — zdecydował Kociuba.

Poczęli się ostrożnie posuwać, usiłując utrzymać właściwy kierunek. Nie było to rzeczą łatwą. Ratowało ich tylko to, że obaj byli ludźmi otrzaskanymi z leśnym terenem. Pakuła, stary partyzant, niejedną akcję musiał przeprowadzić w nocy w lesie, a Kociuba całe dzieciństwo spędził na polach, łąkach i w lasach. Poruszali się więc dosyć pewnie i stosunkowo cicho.

Niebawem znaleźli się na krawędzi rozległego i bardzo głębokiego parowu, którego zbocza porośnięte były gęstymi krzakami. Na dnie tego wąwozu błyszczało słabe, anemiczne światełko.

— Chata albo szałas — szepnął Kociuba. — Widzicie?

— Widzę — odparł sierżant. — To taka buda sklecona z gałęzi, jak to czasem pastuchy sobie robią. Świecą światło. Może świeca, a może karbidówka. Widocznie jednak nie zorientowali się, że ich śledzimy. Co robimy, panie poruczniku?

Kociuba zawahał się przez chwilę. — Spróbujemy podejść bliżej — powiedział.

Z zachowaniem jak największej ostrożności zaczęli schodzić w głąb parowu, zatrzymując się za każdym krzakiem i nasłuchując, czy tamci nie zauważyli ich obecności. Pakuła wyjął z kabury pistolet i zarepetował. Kociuba poszedł za jego przykładem. Teraz już nie było wątpliwości, że mają do czynienia z działalnością przestępczą. Przeciwnik był uzbrojony.

Pakuła miał rację. To była buda sklecona naprędce z pniaków i grubych gałęzi. Ściany zostały umocnione mchem, gliną i suchym listowiem. Przez niewielki otwór wejściowy sączyło się wątłe światło.

Kociuba ścisnął Pakułę za ramię. — Ciiicho — szepnął, mimo iż sierżant nie powiedział ani słowa.

Światło zgasło. Z szałasu wyłoniło się trzech mężczyzn. Jeden z nich podszedł do stojącego opadał wozu i zaczął zaprzęgać konia, który dotychczas posilał się pracowicie sianem. Następnie wszyscy trzej siedli na wóz i odjechali. Moszczyński i Lechocki mieli sztucery. Woźnica, niski, barczysty chłop, był bez broni,

— Co robimy? — spytał Pakuła.

— Musimy poczekać. Przecież wrócą po swojego „Jaguara”.

Noc była pogodna. Nad koronami starych drzew błyszczały gwiazdy. Chłodne powietrze wypełnił zapach gnijących liści i igliwia. Od czasu do czasu coś zaszeleściło w krzakach. Mysz, jeż albo łasica.

— Zimno, psia mać — mruknął Pakuła. — Zdałby się termos z grzany piwem albo jakaś maleńka piersióweczka.

Kociuba uśmiechnął się. — A potem na sianko i lulu.

Czas płynął w zwolnionym tempie. Godziny oczekiwania ciągnęły się w nieskończoność. Zerwał się północny wiatr. Szeleścił krzakami i kołysał koronami drzew.

— A jak nie wrócą? — szepnął Pakuła, zacierając zmarznięte dłonie.

— Wrócą — uspokoił go Kociuba. — Nie zostawią tu wozu. To byłoby za duże ryzyko. Za dnia mógłby ktoś tutaj zabłądzić.

Pakuła potrząsnął głową. — Wykluczone. Po takich jarach i wertepach ludzie nie chodzą. Nawet żeby nie wiem ile tu grzybów było, nikt nie przyjdzie. To straszny las.

Stracili ochotę do rozmowy. Czekali w milczeniu.

Dopiero przed samym świtem posłyszeli skrzypienie kół i ciężkie kroki zmęczonego konin.

— Jada — powiedział cicho Kociuba.

— Jada — powtórzył jeszcze ciszej Pakuła.

Zza wybujałych krzaków tarniny wynurzył się wóz, zaprzężony w tego samego siwka, który ciągnął mozolnie, zwiesiwszy łeb.

Zeskoczyli na ziemię i poczęli wyładowywać „towar”.

Kociuba o mało nie gwizdnął. — Do licha. Patrzcie. Dwie sarny i jeden kozioł. Nieźle się obłowili.

— Założę się, że ta większa sarna złapana w żelaza — szepnął Pakuła. — Idziemy do nich? Kociuba przytrzymał go za rękę. — Zaczekamy. Zobaczymy, co oni z tym zrobią. Tyle tego nie załadują przecież do samochodu.

Tymczasem Lechocki, Moszczyński i woźnica zabrali się energicznie do ściągania skóry z przywiezionej zwierzyny. Z szałasu chłop wyniósł jeszcze kilka sarnich skór i worki. Następnie wepchnęli skóry do worków, które załadowali na wóz i przykryli dużą ilością siana. Mięso poćwiartowali z ogromną wprawą i także wsunęli do worków. Moszczyński i Lechocki zapakowali sarnie udźce do ogromnych waliz, które zanieśli z wielkim trudem do „Jaguara”.

— Jedziemy za nimi? — spytał Pakuła.

— Nie — odparł Kociuba. — A po co? Przecież doskonale znamy ich adresy. Pojedziemy za skórami. Musimy zobaczyć, gdzie oni mają tę garbarnię.

Lechocki i Moszczyński odjechali. Chłop popasł z pół godziny konia, po czym siadł na wóz, ujął niedbale lejce i ruszył wolno w kierunku leśnej drożyny, wychodzącej z parowu.

Kociuba, wspomagany przez Pakułę, sprowadził ostrożnie motor w dół. Pospiesznie obejrzeni wewnątrz szałasu, nie znaleźli w nim nic godnego uwagi, i ruszyli za transportem sarnich skór.

I tym razem Pakuła prowadził motocykl. Kociuba usiadł z tyłu. Był w doskonałym humorze. — Zdaje się, że dobiegamy do mety — powiedział wesoło.

— A mnie się zdaje, że już nie będę jadał sarniny z czerwonym winem — westchnął żałośnie Pakuła. — Chyba, że sobie jaką nową Wikcie przy grucham. Ciekawe, kto mi zapłaci za krawca?

— Za krawca? — zdziwił się Kociuba.

— No tak. Przecież teraz będę musiał znowu zwęzić wszystkie spodnie. Jak przejdę na milicyjną stołówkę, to raz dwa odzyskam linię. Ale może to i lepiej. Ostatnio już mi zaczynała nawalać wątroba. Wikcia doskonale gotuje, ale trochę za tłusto.

#### Rozdział XIV

Przesłuchanie prowadził major Grabicki. Downar i Kociuba siedzieli pod oknem na małych, zgrabnych fotelikach.

Grabicki nie spieszył się. Zmienił wkład w długopisie, wyjął z szuflady biurka kilka kartek papieru, a następnie poczęstował swego klienta papierosami. — Proszę, może pan zapali, panie inżynierze.

Lechocki potrząsnął głową. — Dziękuję. Nie palę. — Był bardzo blady. Z trudem panował nad rosnącym zdenerwowaniem.

— Czy pan wie, o co jest pan oskarżony? — spytał Grabicki.

— Wiem — padła krótka, bezbarwna odpowiedź. Wobec oczywistych faktów wszelkiego rodzaju kłamstwa i wykręty nie miały najmniejszego sensu.

— Nie jestem zupełnie pewien, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, o co pan jest oskarżony — mówił dalej Grabicki. — Chyba będzie dobrze, jeżeli tę sprawę dokładnie sobie wyjaśnimy.

Lechocki przez chwilę przyglądał się w milczeniu swojemu rozmówcy, jakby z jego twarzy pragnął wyczytać właściwy sens tych słów.

— Jestem oskarżony o kłusownictwo i o prowadzenie nielegalnej garbarni skór — powiedział na pozór spokojnie, wyraźnie akcentując każdą sylabę.

Grabicki westchnął. — Bardzo żałuję, panie inżynierze, ale to są tylko dodatkowe punkty oskarżenia.

Lechocki pobladł jeszcze bardziej. — Nie rozumiem.

— Czyżby pan zapomniał o Stanisławie Kazimierskim? Jeżeli tak, to przypomnę panu tę sprawę. To był strażnik łowiecki, który został zamordowany. Polował pan kiedyś razem z nim na kozła w towarzystwie dyrektora Stefaniaka. Pamięta pan?

Lechocki z trudem poruszył wargami. — Pamiętam.

— Stanisław Kazimierski został zamordowany przez pana, panie inżynierze.

— To kłamstwo. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

— Przykro mi, ale to prawda — powiedział zdecydowanym głosem Grabicki. — Mogę pana



zapewnić, że nie wysuwalibyśmy takiego oskarżenia, nie mając dostatecznych dowodów pańskiej winy. Kazimierski został zastrzelony z własnej strzelby, z bardzo małej odległości. Na kolbie tej strzelby nasi fachowcy od daktyloskopii znaleźli odcisk pańskiego kciuka. Miał pan wprawdzie wtedy rękawiczki, ale nie zauważył pan, że jedna z nich przetarła się, właśnie na tym palcu. No cóż, oszczędność nie zawsze popłaca. Należy częściej kupować nowe rękawiczki. A teraz może pan zechce nam opowiedzieć, jak to się wszystko stało, jak doszło do tego, że pan zamordował Kazimierskiego?

Lechocki milczał. Na jego bladej twarzy malowała się całkowita rezygnacja. Patrzył gdzieś w przestrzeń, ignorując całkowicie obecnych w pokoju oficerów.

— Widzę, że nie jest pan skłonny zrelacjonować nam przebiegu wypadków. Wobec tego może ja pana wyręcę. Jeżeli spostrzegłby pan jakąś nieścisłość, proszę o korektę. Otóż w następujący sposób zrekonstruowaliśmy sobie przebieg wypadków owej nocy, kiedy został zamordowany Stanisław Kazimierski. Wyjechał pan wozem do lasu w celach kłusowniczych. Towarzyszyła panu pani Moszczyńska, którą pan często zabierał ze sobą na takie wyprawy. Towarzystwo atrakcyjnej kobiety działa w pewnych wypadkach łagodząco. Zastrzelił pan dwie czy trzy sarny i już miał się pan likwidować ze swoją zdobyczą z terenu, kiedy nagle pojawił się Kazimierski. Znał go pan i on znał pana. Przecież razem polowaliście. Być może, że Kazimierski nie od razu zorientował się w sytuacji. Pani Moszczyńska poczęstowała go nawet czekoladą. Próbowaliście go zagadać. Ale Kazimierski był człowiekiem doświadczonego. Bardzo szybko zauważył, że coś tu nie gra. W wozie znalazł zabite przez pana sarny. Wytworzyła się groźna sytuacja. Być może, że próbował go pan przekupić, ale to nie dało rezultatu. Groziła poważna kompromitacja, sprawa prokuratorska, więzienie. Zdecydował się pan na zlikwidowanie niebezpiecznego świadka pańskiej kłusowniczej działalności. Zastrzelił pan Kazimierskiego z jego własnej strzelby i być może, że ta zbrodnia nigdy nie zostałaby wykryta, gdyby pan nie kontynuował kłusowniczych wypraw razem ze swym współnikiem, panem Moszczyńskim. Czy ma pan coś do dodania, panie inżynierze? Słucham.

Lechocki nie odezwał się ani jednym słowem. Twarz jego przybrała wyraz tępej apatii. Mogło się здаwać, że nic z tego, co powiedział Grabicki, nie dotarło do jego świadomości.

Pachocki okazał się człowiekiem bardzo słabym psychicznie. Niczemu nie zaprzeczał. Nie próbował się nawet bronić. Tylko na początku przesłuchania spytał, czy przyznanie się do winy przyczyni się do zmniejszenia wymiaru kary. Zresztą sytuacja była zupełnie wyraźna i żadne, nawet najbardziej pomysłowe kłamstwa nie zdałyby się na nic.

- Czy dawno znał pan panią Małoborską? — spytał Downar.
- Poznałem ją na parę lat przed jej śmiercią.
- W jakich okolicznościach to się stało?
- Marlena Weyman przedstawiła mnie swojej ciotce.
- Czy pani Weyman wiedziała o istnieniu tej cennej biżuterii?
- Nie wiem. Ona nie ma nic wspólnego z tą sprawą.
- Czy pani Rozalia Wojtasikowa to jakaś pańska krewna?
- To moja matka.
- Matka? — Downar nie potrafił ukryć zdziwienia.
- Tak. Jestem jej nieślubnym synem.
- Pan nazywa się Pachocki. Czy pański ojciec...?
- Tak, usynowił mnie. Nie chciał jednak mieć nic wspólnego z moją matką.
- Czy dawno nosił się pan z zamiarem zamordowania pani Małoborskiej?
- Ja nie zamordowałem pani Małoborskiej.
- A kto?
- Nie wiem.
- Może pańska matka?
- Nie. Ona tylko ukradła tę przeklętą biżuterię.
- Jakie mieliście plany w związku z tą biżuterią?
- Ukryliśmy ją w Szczecinie w piwnicy domu, w którym miałem wynajęty pokój.

— To wiem. A potem?  
— Potem mieliśmy zamiar przerzucić ją za granicę. Miał nam w tym dopomóc pewien holenderski marynarz, z którym się zaprzyjaźniłem. — Jego ojciec jest antykwariuszem. Handluje takimi rzeczami. Zna się na tym.  
— Dlaczego od razu nie próbowaliście uciekać z tym łupem?  
— Chcieliśmy poczekać, aż sprawa trochę przycichnie. Poza tym czekaliśmy na Hansa. Był na Dalekim Wschodzie.  
— I matka pana wyszła za męża za Wojtasika, żeby zniknąć z terenu i poczekać, aż...  
— Tak.  
— Czy Wojtasik wiedział coś o tej biżuterii?  
— Skądże. Nie miał pojęcia. Złakomił się na posag mojej matki. Dała mu kilkadziesiąt tysięcy złotych.  
— Skąd wzięła tyle pieniędzy?  
— Jako wróżka dobrze zarabiała. Żyła oszczędnie...  
— Ale kto zamordował panią Małoborską?  
— Nie wiem, panie majorze. Słowo honoru, że nie wiem. Może ta gosposia, która przychodziła sprzątać? Nie wiem.  
— A ja sądzę, że pan raczej nie chce powiedzieć. Ale mniejsza z tym — Downar machnął ręką. — My i tak już w tej chwili znamy prawdę.  
Zapanowało milczenie. Przez chwilę siedzieli bez słowa, obserwując się wzajemnie. Pierwszy odezwał się Pachocki.  
— Panie majorze...  
— Słucham?  
— Mam do pana ogromną prośbę.  
— Niech pan mówi.  
— Widzi pan... Ja zdaję sobie przecież sprawę z tego, że na wiele lat pójdę do więzienia, ale... — głos mu się załamał. W oczach błysnęły łzy.  
— Proszę, proszę, niech pan mówi dalej — zachęcił go Downar.  
Pachocki otarł łzy i ogromnym wysiłkiem woli zapanował nad wzruszeniem. — Chodzi o mojego ojca. To bardzo porządny i szlachetny człowiek. To byłoby dla niego tragedią, gdyby się dowiedział, że jego syn... Błagam pana... Niech pan nic nie mówi mojemu ojcu. Napisz do niego, że nagle musiałem wyjechać za granicę. Potem może mi się uda poprosić kogoś, kto wyjeżdża, żeby z Francji czy z NRF wrzucił mój list, adresowany do ojca. Może mój adwokat. Nie powie pan, panie majorze, mojemu ojcu?  
— Ja nie powiem, ale nie jestem pewien, czy pański ojciec i tak nie dowie się prawdy. Wielka szkoda, że pan wcześniej nie zastanowił się nad tym wszystkim.  
— Matka mnie namówiła. Teraz żałuję. Za późno.  
— Tak — Downar skinął głową. — Ja także myślę, że teraz już za późno na żale. Czy ma pan jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie?  
— Nie, chyba nie. Już pan wie wszystko, panie majorze.  
— Szkoda, że pan nie jest ze mną zupełnie szczerzy — powiedział Downar. — Chciałem się z pańskich ust dowiedzieć, kto jest mordercą hrabiny Małoborskiej.  
Pachocki milczał.

Rozalia Wojtasikowa obrała taktykę milczenia. Podczas pierwszego przesłuchania przyznała się do kradzieży biżuterii. Wobec oczywistych faktów nie mogła się nie przyznać. Sierżant Bartoszek wraz z Bugałą i Miłczewskim zatrzymali ją w momencie, gdy wyjmowała swą zdobycz z pomysłowo skonstruowanej skrytki w piwnicy. Zaskoczenie było całkowite. Nie próbowała ani uciekać, ani się bronić. Ciągłe jednak uparcie twierdziła, że to nie ona zamordowała panią Małoborską.

Downar w podobnych wypadkach okazywał dużą cierpliwość. Wiedział, że czas spędzony w aresztanckiej celi pracuje na jego korzyść. Nie śpieszył się. Dopiero po kilku dniach postanowił raz

jeszcze porozmawiać z żoną kłusownika.

— Proszę, niech pani siada. Może papierosa?

Zapaliła i z całkowitą obojętnością patrzyła na swojego prześladowcę. Robiła wrażenie kobiety siedzącej w kawiarni w towarzystwie dobrego znajomego. Najmniejsze nawet drgnienie twarzy nie zdradzało zdenerwowania.

— Zaprosiłem panią na tę rozmowę — powiedział uprzejmie Downar — ponieważ chciałbym wyjaśnić jeszcze niektóre niedopowiedziane sprawy.

— Wydaje mi się, że już wszystko zostało wyjaśnione. — Rozalia zaciągnęła się dymem i powolnym, opanowanym ruchem strzepnęła do popielniczki popiół.

Downar uśmiechnął się. — Właśnie, że nie wszystko. Brakuje nam pewnych ogniw tej sprawy, a właściwie głównego ogniwa. Chodzi mi mianowicie o zamordowanie Anny Małoborskiej.

— Ja jej nie zamordowałam.

Downar nie zareagował. Wyglądał na człowieka, który myśli o czym innym. — Aha — powiedział nagle. — Zupełnie zapomniałem. Pani syn prosił o widzenie z panią.

— Mój syn? — Była wyraźnie zaskoczona.

— Tak. Karol Pachocki.

Na bladej twarzy Rozalii pojawiły się ceglaste wypieki. — Skąd pan wie, że to mój syn?

— Och, przecież to żadna tajemnica — odparł lekko Downar, jakby nie przywiązując większej wagi do tego faktu. — A poza tym on sam nam to powiedział.

— Karol?

— Oczywiście. To bardzo miły i szczerzy młody człowiek. Szkoda, że sprowadziła go pani na złą drogę.

— Gdzie on teraz jest?

— W aresztanckiej sali.

— Aresztowaliście go? Dlaczego? Na jakiej podstawie?

— Czyżby pani zapomniała o telefonie? — uśmiechnął się łagodnie Downar. — Dzwoniła pani do swego syna z lisiej fermy. W nocy. Przypomina już sobie pani?

Milczenie. Rdzawe plamy na twarzy Wojtasikowej pociemniały.

— Sądzę — mówił dalej Downar — że w tej sytuacji pani przyzna się do zamordowania Anny Małoborskiej.

— Ja tego nie zrobiłam.

— No cóż... — Downar rozłożył ręce. — Wydaje mi się, że oboje zupełnie niepotrzebnie tracimy czas. Chyba będzie lepiej, jeżeli pani powie prawdę.

— Nie zabiłam pani Małoborskiej.

Downar raz jeszcze postanowił zabluffować. — Jeżeli pani sądzi, że nie posiadamy dostatecznych dowodów pani winy, to jest pani w dużym błędzie. Po pierwsze, znaleziono odciski pani palców na szyi pani Małoborskiej, a po drugie, z rozmowy z panem Karolem Pachockim wynika, że to właśnie pani jest autorką tej zbrodni.

Wybuchnęła gwałtownym, spazmatycznym płaczem.

W przeciwieństwie do Wojtasikowej, Krystyna Moszczyńska mówiła bardzo dużo, jakby chciała oszołomić swoich rozmówców wartkim potokiem słów. Pragnęła ratować się za wszelką cenę, nie oszczędzając ani Lechockiego, ani swojego męża.

— ...Byłam sterroryzowana, panie majorze, zupełnie sterroryzowana... — mówiła z przejęciem. — Początkowo nie zdawałam sobie sprawy z tego wszystkiego. Sądziłam, że to zwykłe, legalne polowanie. Przecież zarówno mój mąż, jak i inżynier Lechocki mieli pozwolenie na broń, należeli do kółka łowieckiego. Ani przez myśl mi nie przeszło, że coś jest nie w porządku. My, kobiety, nie znamy się na tych wszystkich przepisach, skądżeż mogłam wiedzieć... A kiedy się zorientowałam, było już za późno. Grozili mi, straszili... Daję panom słowo, że w pewnym momencie znalazłam się w sytuacji bez wyjścia. To nie są frazesy, to szczerza prawda. Tak mnie omotali, tak sterroryzowali, że nie wiedziałam, co robić. Byłam w skrajnej rozpacz. Myślałam nawet o samobójstwie... Bo przecież...

— Czy często pani brała udział w tych kłusowniczych wyprawach? — spytał Grabicki.

— Różnie... Dosyć... chyba dosyć często... To zależało...

— Jak pani sądzi, dlaczego zabierali panią?

— Myślę, że dla towarzystwa...

— A może dlatego, że obecność kobiety w wozie mogła w pewien sposób oderwać uwagę od rzeczywistych celów tych wycieczek w teren? — podsunął Downar.

Spojrzała na niego niespokojnie. — Nie wiem. Być może... W każdym razie ja... ja naprawdę nie zdawałam sobie sprawy... nie wiedziałam...

— Ale wiedziała pani o istnieniu nielegalnej garbarni? — spytał Grabicki.

— Wiedziałam, że istnieje garbarnia, ale nie miałam pojęcia, że to coś nielegalnego. Gdybym przypuszczała, to nigdy...

Grabicki przerwał jej ruchem ręki. — Niech się pani nie fatyguje. Nie warto tracić energii na tyle zbędnych słów. Nie wiem, dlaczego uważa nas pani za niezwykle naiwnych ludzi. Nic pani nie wiedziała, nic pani nie rozumiała, z niczego pani nie zdawała sobie sprawy... Zupełnie tak, jakby pani była maleńką dziewczynką. Ale mniejsza o to. Owej nocy, kiedy to został zamordowany strażnik łowiecki, Stanisław Kazimierski, pani towarzyszyła inżynierowi Lechockiemu. Tak przynajmniej wynika z jego zeznań. Otóż chcieliśmy panią prosić, żeby nam pani opowiedziała, jak to się wtedy wszystko zdarzyło.

Zakryła twarz dłońmi. — To było straszne, straszne — powiedziała cicho. — Nie mogę o tym myśleć. Nigdy nie przypuszczałam, że Lechocki... Wolałabym zapomnieć, nie mówić o tej całej okropnej historii. To było potworne.

— Niestety, zmuszeni jesteśmy nalegać, żeby nam pani dokładnie to opowiedziała. — Grabicki podsunął jej papierosa. — Proszę, może pani zapali.

Zapaliła i łąpczywie zaciągnęła się dymem. — Dobrze... Powiem... To było w nocy... Noc widna, księżycowa... Pojechałam z Lechockim... na... na polowanie. Tłumaczył mi, że na kozły zawsze poluje się w nocy. Był jakiś zdenerwowany. Zastrzelił dwie sarny, pasące się w lucernie. Przyniósł jedną do wozu, włożył do worka i ulokował na tylnym siedzeniu.

— A dlaczego nie w bagażniku?

— Bo w bagażniku mieliśmy już koziołka... więc...

— Co potem?

— Potem chciał wrócić po drugą sarnę, ale właśnie w tym momencie wyszedł z zarośli ten człowiek w mundurze, ten strażnik... To okropne. Lechocki nie powinien był...

— I cóż wtedy Lechocki? — indagował dalej Grabicki.

— Zaczął z nim rozmawiać. Znali się. Kazimierski powiedział, że posłyszał strzały i przyjechał zobaczyć, co się dzieje w lesie, bo żadne polowanie nie było przewidziane. Lechocki bardzo się zmieszał i mówił, że on także słyszał strzały, ale dalej, i dlatego zatrzymał się. Zaproponował, że podwiezie strażnika. Bał się, że Kazimierski znajdzie w lucernie świeżo zastrzeloną sarnę.

— Kazimierski się zgodził.

— Tak. Usiadł koło Lechockiego i pojechaliśmy parę kilometrów. Ale Kazimierski zauważył, że Lechocki ma powalaną krwią rękę. Widocznie przy przenoszeniu sarny...

— Rozumiem — skinął głową Grabicki. — Kazimierski zaczął coś podejrzewać.

— Właśnie. Odwrócił się. Zauważył sztucer na tylnym siedzeniu i worek. Kazał Lechockiemu stanąć. To było straszne.

— I Kazimierski wysiadł, żeby sprawdzić, co jest w tym worku?

— Tak.

— A Lechocki uderzył go w tył głowy, a następnie zastrzelił z jego własnej strzelby.

— To było straszne... straszne...! Myślałam, że zemdleję. Jak on mógł to zrobić? Jak on mógł?

— Czy pani poczęstowała Kazimierskiego czekoladą?

Skinęła głową. — Tak. Chciałam jakoś załagodzić to wszystko. Miałam akurat w torebce parę tabliczek czekolady szwajcarskiej. Dostałam od Marleny...

— Po dokonaniu morderstwa Lechocki zaciągnął trupa w krzaki — powiedział Grabicki. — Ale dlaczego umieścił przy zwłokach strzelbę?

— Nie wiem. Może chciał upozorować samobójstwo, a może bał się zabierać. Działał w panice.

Jak zwykle po pomyślnym zakończeniu akcji pułkownik Leśniewski zaprosił jej uczestników do swego gabinetu na filiżankę kawy i kieliszek winiaku. W spotkaniu tym wzięli udział: Downar, Grabicki, Kociuba, Pakuła, Bartoszek” i Bugała.

— Przed wszystkim pragnę kolegom podziękować za efektywną współpracę, uwieńczoną pięknym sukcesem — powiedział pułkownik Leśniewski. — Sprawa, a raczej dwie sprawy, które zostały definitywnie wyjaśnione, raz jeszcze dowiodły znanej prawdy, że jedynie działalność dobrze zgranego kolektywu może w stosunkowo krótkim czasie dać pożądane rezultaty. Mieliliśmy do czynienia z bardzo skomplikowanymi sprawami, które pozornie nie posiadały ze sobą punktów styecznych. To były właściwie dwie zupełnie różne sprawy: zamordowanie Anny Małoborskiej i zabójstwo strażnika łowieckiego, Stanisława Kazimierskiego. Różne sprawy, różne motywy zbrodniczej działalności, różni ludzie, a jednak...

— Zabójstwo Kazimierskiego przyczyniło się do wyjaśnienia zbrodni, dokonanej na osobie Anny Małoborskiej, i vice versa. Bo gdyby w toku śledztwa nie wyszło na jaw, że żona oborowego widziała, jak Kazimierski rozmawiał w lesie z jakąś panią, siedzącą w czerwonym „Jaguarze”, to porucznik Kociuba nigdy nie skojarzyłby sobie tego wozu z osobą Marleny Weyman.

— Tylko ciągle jeszcze nie bardzo rozumiem, dlaczego Marlena Weyman, która przecież nic nie miała wspólnego z tą sprawą, tak bardzo spieszyła się ze sprzedażą swojego „Jaguara”.

— To proste. Nakłonił ją do tego Pachocki — wyjaśnił Downar. — Bał się, żeby któryś z nas nie skojarzył sobie czerwonego „Jaguara” z domem Wojtasika, z zamordowaniem Małoborskiej i z Rozalią Wojtasikową. Trzeba trafu, że akurat Lechocki kupił ten wóz. Do jego kłusowniczej działalności potrzebna mu była maszyna rozwijająca dużą szybkość. Przemalował „Jaguara” na czarno i był przekonany, że taki wóz zapewni mu bezpieczeństwo. I; być może, do tej pory uprawiałby swój proceder razem z Moszczyńskim, gdyby Kociuba, jedząc sarnią pieczeń, nie natrafił na ziarno śrutu. W ten sposób zorientował się, że sarna została zabita przez kłusownika. Jak wiadomo, sarny, kozły i jelenie wolno strzelać kulą ze sztucera albo breneką. Nigdy śrutem.

— Nie rozumiem, dlaczego strzelali śrutem — powiedział Grabicki.

— Dlatego — wtrącił się do rozmowy Kociuba — że Moszczyński miał dryling. Przymuszczałnie wystrzelał kule, nie zdążył naładować i palnął z trzeciej lufy śrutem. Być może, że natrafił na stadko saren, pasących się gdzieś na łące pod lasem. Chciał szybko zrobić użytek ze wszystkich trzech luf. Zamiast breneki wsunął śrutowy nabój. Nie wykluczone, że przy okazji chciał sobie ustrzelić zająca na pasztet.

— Wikcia mi mówiła, że Moszczyńscy bardzo lubili pasztety — dodał Pakuła. — I rzeczywiście często tam u nich bywały, i to jakie pasztety — westchnął melancholijnie i sięgnął po papierosy.

— Widzę, że trochę wam żal kuchni pani Wiktorii — uśmiechnął się Leśniewski.

Pakuła znowu westchnął. — Czy mi żal? Panie pułkowniku, takiego wikt, jak u Wikci, to już nigdy w życiu nie będę miał. Ale cóż... Mówi się trudno. Trzeba złożyć, jak to powiadają, na ołtarzu sprawiedliwości sarnie pieczenie i pasztety z zającej.

— Kiedy Rozalia Wojtasikowa przyznała się wreszcie do morderstwa? — spytał Leśniewski, zwracając się do Downara.

— Na wiadomość o aresztowaniu syna i o tym, że Pachocki ją sypnął, załamała się ostatecznie.

Leśniewski spojrział na sierżanta Bartoszkę. — Udał wam się ten numer z lisią fermą, ale przecież mogła się na to nie nabrać.

Pucołowata twarz Bartoszki rozjaśniła się szerokim uśmiechem. — Spróbowałem, panie pułkowniku. Liczyłem się z tym, że ten numer może nie przejść. Ale przeszedł. Babka spodziewała się, że w Szczecinie będzie na nią czekał albo Pachocki, albo ten marynarz. Nie spotkała ani jednego, ani drugiego i wtedy postanowiła skorzystać z mojej propozycji. Wygodnie jej było zadekować się w lesie, na lisiej fermie. Woląla nie pętać się po Szczecinie. A gdyby nawet to nie chwyciło, to i tak mieliśmy ją na oku. Wreszcie przecież musiała zabrać z piwnicy tę biżuterię. Sytuacja wytworzyła się taka, że musiała wiać. Miała paszport. Mogła próbować jakoś inaczej przerzucić te skarby. Do Szczecina przyjechałby Pachocki i wtedy oboje by wpadli. Nie mieli szans.

— Tak, wtedy już nie mieli szans — powtórzył Leśniewski.  
Odprawa dobiegła końca. Powoli opuszczali gabinet szefa, rozmawiając jeszcze między sobą o szczegółach sprawy.  
— Panie majorze — powiedział nieśmiało Pakuła.  
Downar pytająco spojrział na sierżanta: — Słucham?  
— Bo jakby... jakby jeszcze kiedyś trzeba było inwigilować jakąś gosposię, to ja bardzo chętnie...

Białka, lipiec 1971r.